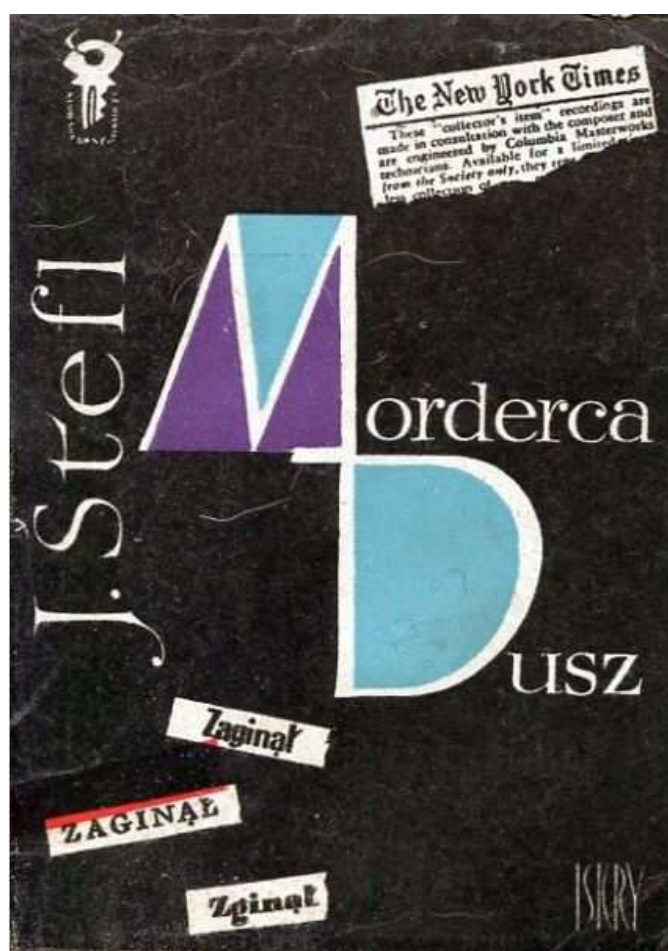


JIŘI ŠTEFL

MORDERCA DUSZ

TYTUŁ ORYGINAŁU: VRAH DUŠI
PRZEKŁAD: RUDOLF JANIČEK



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1959

Podaj mi rękę, drogi Czytelniku, i pójdź ze mną. Udamy się razem w drogę, przede wszystkim w niedawną przeszłość, to jest mniej więcej do roku 1937. Potem powędrujemy za morze, do kraju dobrobytu i przygód, do Ameryki, gdzie rozum w przeciwieństwie do uczuć ludzkich odniósł zwycięstwo nad przyrodą, do Ameryki, gdzie obok znanych na całym świecie bogaczy żyją miliony nie znanych nikomu biedaków, ponieważ nawet socjalista Upton Sinclair i drugi socjalista Upton Lewis woleli pisać o milionerach aniżeli o prostym amerykańskim człowieku, który jest tak prosty, jak każdy inny prosty człowiek na świecie, tak prosty, jak amerykańskie domki rodzinne, tak bardzo różne od dumnych amerykańskich wieżowców. Tak, z Ameryki importujemy tylko krańcowości, a przecież jest to również kraj solidnej przeciętności, nie różniącej się chyba od naszej, i to bez względu na fakt, że każdy amerykański chłopak, który czyści buty, wyobraża sobie, że zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych, ponieważ wbijają mu to w szkole do głowy. Gdyby miało tak być w istocie, musieliby w Ameryce żyć prezydenci jeszcze wówczas, gdy słońce dawno już wystygnie, a życie na ziemi wygaśnie, o ile nie ocali go rozbicie atomu.

Ale droga nasza prowadzić będzie jeszcze dalej niż do Ameryki i do niedawnej przeszłości. Powędrujemy razem po zwojach kory mózgowej człowieka, po szlakach, na których odgrywa się właściwie cały nasz świat, pójdziemy tam razem jako bezstronni obserwatorzy, ciekawi, co zobaczymy. Zobaczymy tam niejedno — to, czego prawdopodobnie nie znamy, a nawet się nie spodziewamy. Wśród owych zwojów istnieje bowiem wiele miejsc, do których nie dotarła jeszcze myśl ludzka, mimo że w tych właśnie miejscach się rodzi. Zagłębimy się we własne i cudze „ja” i może nie dostaniemy zawrotu głowy od tych głębin, jakie spotkamy, bowiem będą one tak wielkie, że rozum nasz nie potrafi ich ogarnąć. Człowiek dostaje zawrotu głowy tylko z tego, co widzi; są ludzie, którzy nie cierpią na zawrót głowy podróżując luksusowym statkiem przez największe głębiny Oceanu, ponieważ tych głębiny nie widzą, natomiast zakreśli im się w głowie, gdy spojrzą w przepaść nie większą niż sto metrów. Znałem człowieka, linoskoczka, który chodził po sznurze pewniej niż ty po chodniku, potrafił na nim tańczyć, a wieczorem po przedstawieniu nie wystarczała mu szosa, ponieważ komórki mózgowe miał zatrute alkoholem.

Pójdziemy więc razem po tych znanych i nieznanym szlakach, a ty będziesz miał tę wygodę, że kiedykolwiek cię podróż znudzi, będziesz mógł puścić mą rękę i wrócić do rzeczywistości. A ja, który zamierzam tę dziwną historię opowiedzieć, mam nadzieję, że uda mi się ją skończyć tak, jak ją obecnie ochoczo zacząłem, i że podróży naszej nie przerwie ani twój brak zainteresowania, ani nieprzychylny los lub okoliczności.

I

Na siedemdziesiątym drugim piętrze w Empire Building w Nowym Jorku, najwyższym budynku w największym mieście świata, siedziało w jednym pokoju pięciu mężczyzn. Jeden z nich miał na sobie mundur amerykańskiego policjanta, pozostali czterej byli po cywilnemu, ale wszyscy bez bluz, ponieważ na dworze był czerwcowy upał, ciepły i wilgotny, jaki może zdarzyć się tylko tutaj, w tym mieście wybrukowanym asfaltem i otwartym na wszystkie wpływy klimatu północnego i południowego. Nawet policjant był bez bluzy, bowiem od pewnego czasu policja pełniła służbę w czasie upałów w mundurowych spodniach i w szaroniebieskich koszulach, ale bez bluz. Doszło do tego prawdziwie po amerykańsku. Kierujący ruchem policjanci przestali pewnego dnia do dyrekcji policji podanie, prosząc, aby w czasie upałów mogli pełnić na skrzyżowaniach ulic służbę bez bluz. Dyrektor policji, który otrzymał to podanie w swoim ochłodzonym kilkoma wentylatorami gabinecie, oświadczył z uczuciem człowieka sytego, który głodnemu nie wierzy, że policjanci amerykańscy od czasu, gdy ubywa gangsterów i szantażystów, stają się coraz bardziej zniewieściali. Gdyby dyrektor był Europejczykiem, na tym by się też prawdopodobnie skończyło i podanie zostałoby odrzucone — zresztą w Europie istotnie nie widać na ulicy policjantów bez bluz. Ale ponieważ było to w Ameryce, więc nawet taki dygnitarz jak dyrektor policji miał w sobie tyle sportowego ducha, że nacisnął guzik, zawołał szofera, wsiadł do samochodu, kazał się zawieźć na skrzyżowanie Piątej Avenue i Broadwayu, na najbardziej ruchliwe miejsce w Nowym Jorku, i wezwał pełniącego służbę policjanta, żeby go wpuścił do kabiny punktu obserwacyjnego. Rzecz jasna wszyscy policjanci na prostych ulicach zauważyli to i patrzyli z szacunkiem, jak ich dyrektor obejmuje na chwilę posterunek swego podwładnego, nie po to, żeby się przekonać, czy jest tam gorąco, czy nie, lecz widocznie dlatego, żeby im pokazać, iż da się to wytrzymać. Kierowanie ruchem w tym największym mieście świata jest daleko łatwiejsze niż na przykład w Brnie, mimo że Nowy Jork ma 15 milionów mieszkańców, a Brno tylko 300000. Ale w Nowym Jorku są wszędzie automatyczne sygnały świetlne, kierowcy są doskonale wyszkoleni i w rezultacie policjant kierujący ruchem musi jedynie uważać, żeby nie dać innego znaku, jak sygnał świetlny. Poza tym widzi na lewo i prawo, z przodu i z tyłu, ponieważ ulice są równe jak lineal, widzi innych kierujących ruchem policjantów i nie czuje się osamotniony. W ten sposób policjanci mieli możliwość widzieć chociażby z daleka swego wielkiego bossa, jak wstępuje na kazalnicę i zaczyna kierować ruchem. Mimo że, jak już wspomnieliśmy, jest to tam o wiele prostsze aniżeli w Brnie czy nawet Uherskem Hradišti — które ma jedno tylko skrzyżowanie, ale za to niebezpieczne — panował w kabinie odpowiedni upał, który pan dyrektor uświadomił sobie nagle po kilku ruchach, skwar, który różnił się w sposób zasadniczy od chłodu jego sztucznie ochłodzanego gabinetu. Pot wystąpił mu na czoło, ale trzymał się jeszcze mężnie przez jakieś dwadzieścia minut, kiedy nagle zauważył, że asfalt na przeciwnym chodniku jest tak rozpalony, że Murzyn smaży sobie na nim na patelni jajecznicę. Gdy pan dyrektor to zobaczył, a nawet odniósł wrażenie, że usłyszał — chociaż w ulicznym zgiełku było to niemożliwe — jak skwierczy tłuszcz i jak przezrocyste białko ścina się w białą masę, zrobiło mu się słabo, pomyślał, że zemdleje, i w tej sytuacji rozpiął kołnierz i zdjął bluzę. Poczul natychmiast ulgę, a gdy przyszedł do siebie, ujrzał po czterech stronach, jak okiem sięgnąć, kierujących ruchem policjantów, odejmujących bluzy. W rzeczy samej chłopcy ci uważali to za komendę, wydaną w amerykańskiej, romantycznej formie i w całym mieście na trasach długości kilku kilometrów policjanci zdjęli tego dnia bluzy i wdziali je dopiero w jesieni. Na drugi dzień Times zamieścił na ten temat wzruszający i wesoły artykuł i od tego czasu wszyscy amerykańscy policjanci chodzą w lecie bez bluz i jest im w tym do twarzy.

A więc w pokoju, o którym mowa, wszyscy byli bez bluz, wszyscy siedzieli przy biurkach i pracowali każdy na swój sposób albo przynajmniej udawali, że pracują. Policjant drzemał, dwaj cywile coś czytali, trzymając nogi na biurku, jeden coś zapisywał, a jeden siedział beczynnym przy oknie. Na biurku leżały przed nim jakieś papiery, ale nie zwracał na nie uwagi, tylko patrzył z okna na płynące pod nim w dole chmury (nie zapominajmy, że znajdował się na 72 piętrze) i obserwował ze słabym zainteresowaniem samolot, okrążający pod nim budynek. Była to otwarta sportowa maszyna i widział wyraźnie pilota, trzymającego drążek sterowy. Zaczęło mu się robić niedobrze, zupełnie jak wtedy, gdy tu przyjechał przed dwoma miesiącami. Miał wówczas w ogóle pecha; przyjechał z Europy na starym parowcu, który miał dwa zbiorniki na naftę, a w podróży zużył zawartość tylko jednego, w rezultacie czego parowiec płynął od połowy drogi przechylony w jedną stronę. Nasz znajomy przyzwyczaił się do tego stopnia chodzić z jedną nogą skurczoną, że na lądzie sprawiało mu to pewne trudności i kiedy pierwszego dnia po przyjeździe przyszedł przedstawić się w dyrekcji policji, dyrektor, ten sam, który rok przedtem pojechał zdjąć oficjalnie bluzę na najbardziej ruchliwym skrzyżowaniu, poczęstował go uwagą:

— W liście nic pan nie pisał, że ma pan jedną nogę drewnianą.

Nie była to zresztą jedyna złośliwość, jaką go przywitał. Znajomy nasz, kiedy przyjechał na 72 piętro po raz pierwszy w życiu i wyjrzał z okna, dostał zawrotu głowy. Stan jego pogarszał jeszcze fakt, że od chwili gdy wysiadł na ląd, ciągle miał wrażenie, że statek się kołysze. Uprzejma i urocza sekretarka wzięła go za ramię i zaprowadziła do dyrektora, który po pierwszej uwadze o sztuoznej nodze — dodał:

— Już pierwszego dnia chodzi pan pod rękę z moją sekretarką. To poważny postęp jak na cudzoziemca.

Znajomy nasz nie dał się wyprowadzić z równowagi, choć w gruncie rzeczy był tak zmieszany, że było mu wszystko jedno. Dziewczyna natomiast przestraszyła się i puściła go, w rezultacie czego nasz bohater zatoczył się.

— Przedpołudnie, a już pan pił? — brzmiała dalsza uwaga dyrektora, zanim znajomy nasz zdążył zgromadzić kilka obcych wyrazów i przedstawić się.

Obecnie zawrotów głowy już nie miał i mógł spoglądać w dół na panujący pod nim ruch na ziemi i w powietrzu, ale ogarniała go dziwna tęsknota. Czuł się samotny, opuszczony i niepotrzebny. Nie miał apetytu, właściwie nie miał ochoty na nic, nawet do życia, a przy tym bał się śmierci, bał się, że w tym dalekim kraju umrze niepotrzebnie, że nie wróci do domu i daremnie wmawiał w siebie, że ma tylko starych rodziców że jest kawalerem i nie musi się nikim opiekować. Jechał do Ameryki z takim zapałem; spodziewał się, że zawojuje świat, a tymczasem świat zawojował jego. Jako młody urzędnik środkowoeuropejskiego państwa otrzymał wysokie stypendium, po raz pierwszy jechał przez Ocean, wszystko było wspaniałe i naraz ogarnęło go przygnębienie, jakiego w życiu nie zaznał, które przeszkadzało mu w jakiegokolwiek pracy. Początkowo sądził, że dolegliwości jego są natury fizycznej, ale w końcu doświadczony lekarz, rodak nazwiskiem Hulka zdradził mu, że są to dolegliwości czyisto psychiczne, fachowo nazywa się to depresja. Wyraz ów zna każdy Amerykanin, od czasu gdy chorobę tę przechodziła gospodarka amerykańska i kiedy to leczenie pochłonęło wszystkie oszczędności Amerykanów, zdeponowane w rozmaitych bankach. Dowiedział się również, że objawy trapiącej go choroby nazywają się po łacinie *odium vitae*, czyli wstręt, względnie niechęć do życia. Stan jego był tak godny pożałowania, że nie zainteresowało go nawet zapewnienie lekarza, że choroba przejdzie sama, że objawy jej nie są zaawansowane i że nie trzeba będzie wysyłać go do sanatorium lub szpitala. Niech się stara coś robić, nic wprawdzie z tego nie wyjdzie, ale przynajmniej zabije jakiś czas, zanim mu to nie minie. Nasz bohater czekał więc cierpliwie, żeby mu to minęło, czekał niczym podróżny, którego niedaleko od celu złapał deszcz i któremu nie pozostało nic innego, jak czekać. Doktor Hulka przemilczał jedno, że choroba, zanim przejdzie, trwa nieraz parę tygodni, a niekiedy parę lat, ale tego się

chorym nie mówi. Niemniej jednak, podobnie jak wszyscy tego rodzaju pacjenci, nasz bohater w diagnozę zbyt nie wierzył, sądząc, że dolegliwości jego muszą mieć podłoże fizyczne. On sam był człowiekiem na tyle wykształconym, żeby mieć jakieś pojęcie również o medycynie, mimo że był w gruncie rzeczy prawnikiem. Zawód komisarza policji wymagał bowiem od niego ogólnego bodaj zorientowania również w pozostałych dziedzinach.

Tak, nasz nieszczęsny bohater był komisarzem Salakiem z Praskiej Dyrekcji Policji. Otrzymał stypendium na roczny pobyt w Stanach Zjednoczonych, wybrał się tam pełen nadziei, a teraz siedzi tutaj i nie tylko, że się do niczego nie nadaje, ale również nic go nie interesuje. Pocieszało go tylko to, że nie jest sam, że tego rodzaju chorych jest wielu, że neurozy i depresje mnożą się, zwłaszcza w Ameryce i zwłaszcza wśród ludzi inteligentnych.

„Oho — powiedział sobie, gdy mu to przyszło na myśl o tych inteligentnych ludziach — zdaje się, że powraca mi próżność. Bądź pozdrowiona pierwsza jaskółka powracającego zdrowia psychicznego. Oby was wkrótce było całe stado”.

Albowiem Salak przy swoich dolegliwościach stracił nie tylko swe dodatnie cechy, ale również złe. Nie był już ambitny, nie był również próżny, było mu obojętne, co zje, i było mu zupełnie obojętne, co pomyśla o nim inni ludzie. Czuł się jak człowiek po przejeździe, któremu jest niedobrze i którego nic nie interesuje. Powtarzał sobie, że przez całą podróż po morzu ani razu nie cierpiał na morską chorobę, a teraz, teraz ją przechodzi — co prawda bez torsji, ale ze wszystkimi oznakami wstrętu. Starał się przebywać w towarzystwie, tak jak poradził mu doktor Hulka, ale nie przydało się to na nic; mimo że dość często bywał zapraszany do rodaków i swoich amerykańskich kolegów, nie zmieniło to jego nastroju. Od czasu do czasu ogarniały go ataki smutku i wołał wtedy siedzieć w domu. „Co jest warte życie — powtarzał sobie — i tak doczekam się chwili, kiedy umrę, doczekam się na pewno”. I ta myśl natrętna prześladowała go do tego stopnia, że kilkakrotnie miał już ochotę ową chwilę w sztuczny sposób przybliżyć, ale mimo wszystko zaufał rozumnemu lekarzowi; wiedział, ponieważ jego intelekt i zdolność rozumowania pozostały nienaruszone, że wszystko to przejdzie, albo przynajmniej w to wierzył.

Kiedy po raz pierwszy przyłapał się na tym, że zastanawia się, iż jego dolegliwości psychiczne trafiają się ludziom inteligentnym, zrozumiał, że oto powraca jego dawna próżność, że dusza jego znów otrzymuje wreszcie jakąś barwę, pomimo że jest to barwa poniekąd czarna, ponieważ próżność ciągle uważamy za cechę ujemną, choć jest ona w gruncie rzeczy głównym motywem ludzkiej działalności. Zaczął więc znowu zastanawiać się nad tym, jak się leczyć.

— Powinien pan sobie znaleźć jakieś hobby lub w ogóle jakąś pracę, na przykład fizyczną, która zaprzętnęłaby pańską uwagę — radził mu Hulka.

Ale to się tylko łatwo mówi; „konika” żadnego nie miał, nic go nie interesowało, dawniej bawiła go praca, a teraz była dlań wstrętą. Zupełnie automatycznie kontynuował naukę języka angielskiego, mechanicznie przeglądał registraturę dyrekcji policji, odwiedzał różne miejsca, gdzie popełniono zbrodnie, i brał udział w dochodzeniach na miejscu; chodził niczym automat do prosektorium, do zakładu medycyny sądowej i miał wrażenie, że wszystko to do niczego nie prowadzi. I nie podejrzewał w ogóle, że podczas gdy jego strona uczuciowa jest chora i słaba i nie pozwala kierować się rozumem, sam rozum pracuje bez jego udziału, gromadząc materiał, który wkrótce, gdy dusza jego będzie znowu zdrowa, zrobi z niego człowieka bardziej wydajnego niż kiedykolwiek przedtem. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ miał uczucie, że zadziwiająca maszyna jego ciała zawiodła i że gdy ocknie się ponownie do życia, nigdy nie będzie już takim, jak dawniej. Zapominał, że ataki smutku mogą zmienić się w poważne rozumowanie, że jego mędrkowanie może nabrać głębi i że pewnego dnia owe nagromadzone, chociażby mechanicznie, wiadomości nabiorą kształtów i wydadzą owoce, tak jak musi je wydać wszystko, co w naturze padło na właściwą glebę, chociażby gleba ta była w porze zimowej stwardniała od mrozu i niepłodna. Zapominał, że wszystko

czeka jedynie na chwilę, w której delikatna tkanka „międzymózgowia” — owego siedliska wszystkich uczuć i odruchów automatycznych — przejdzie rytmicznie do innego okresu i osnuje wszystkie jego przeżycia tym czarem kolorytu, który miewały dawniej, zanim zmieniły się w bezbarwną pustynię. Bowiem tu właśnie mieści się siedlisko rytmu, w międzymózgowiu, który w tej chwili przejawia słabą działalność, czemu nie należy się dziwić, dostatecznie długo bowiem przytępiony był przez siedlisko rozumu — korę mózgową.

„Gdyby przynajmniej z tej pracy coś było” — powtarzał sobie z uczuciem niezadowolenia tak głębokim, że zbierało mu się na wymioty. Tu traktowali go jak idiotę. Pokazywali mu wszystko, ale nie powierzali samodzielnej roboty. Przydzielali mu tylko podrzędne zadania, jakich u nas nie wykonuje nawet stenotypistka. Podziwiał na przykład metody praktykowane przez policję drogową, pozwalające stwierdzić z zupełną dokładnością, czy kierowca pił i ile. W Pradze w tym czasie sprawdzano to jeszcze w sposób prymitywny, kazało się szoferowi podejrzanemu o nietrzeźwość wymówić szybko „Prvni pražska parovlavba”, a kiedy zamiast tego powiedział „prtprt” był uznany za pijanego i odbierano mu prawo jazdy; ta metoda właśnie pozbawiła prawa jazdy jękającego się kierowcę autobusu w Zbraslaviu.

W Ameryce natomiast kazano podejrzanemu o nietrzeźwość dmuchać przez rurkę do słabego roztworu hipermanganicum i zależnie od tego, w jakim stopniu roztwór uległ odbarwieniu, to jest w jakim stopniu uległ redukcji, ustalano natychmiast dokładnie ilość wypitego alkoholu; zgadzało się zawsze z wyjątkiem niektórych chorych na cukrzycę, mających oddech przesiąknięty acetonem. Salakowi pozwolono jednak zapisywać wyłącznie zidentyfikowane numery rejestracyjne, a do samego badania go nie dopuścili. A kiedy pewnego razu zwrócił uwagę, że kierowca być może nie pił, ale najadł się jabłek, co rzeczywiście miało miejsce u pewnego ogrodnika, najpierw mu nie uwierzyli, że jabłka mogą zawierać aceton, który co prawda nie upija, ale również odbarwia hipermanganicum, a kiedy uwierzyli, zapomnieli o tym, że tym, który zwrócił na to uwagę, był Salak i całą sprawę udokumentowaną tysiącem cyfr opublikował pewien młody Amerykanin.

A więc tego rodzaju praca nie dawała mu satysfakcji i był zdecydowany, gdy tylko będzie mu lepiej, rzucić wszystko w ką, wrócić do domu i ścigać jakiegoś niefortunnego złodzieja. Siedział więc i spoglądał w przepaść pod sobą, a w duszy jego panowała gęsta mgła, tak gęsta jak kłębiące się pod nim chmury, przez które, jak już powiedzieliśmy, tylko w jednym wąskim miejscu przeświecało słońce. A owa mgła czekała, żeby zadał w nią potężny wiatr jakiegoś zainteresowania, by rozedrzeć się na strzępy i by życie jego ponownie opromienione zostało słońcem radości — gdy jego godzina wybiję naprawdę, a nie jedynie w chorej wyobraźni przewrażliwionego międzymózgowia.

II

— Mister Zejlejk do pana dyrektora — zawołał policjant, wchodząc gwałtownie do pokoju i wołając Salaka tak, jak jego nazwisko tutaj wymawiali. — Salak wstał — reszta obecnych nawet się w tym upale nie poruszyła — naciągnął marynarkę i powoli wyszedł. Tylko przelotnie zastanowił się, czego też może chcieć od niego ten człowiek, którego widział może dwa razy w życiu i do którego, z racji jego złośliwości, nie żywił żadnej sympatii. Doszło nawet do tego, że przy drugim spotkaniu, kiedy domagał się samodzielnej pracy, a dyrektor powiedział mu, że samodzielna praca jest tylko dla Amerykanów, ponieważ inni nie daliby sobie z nią rady, Salak zaprotestował i oświadczył, że prędzej czy później będzie taką pracę wykonywać bez względu na to, czy zostanie mu przydzielona, czy nie i czy będzie to

tutaj, czy gdzie indziej, i wyszedł z pokoju, ponieważ miał dość tej rasowej wyższości dyrektora. Rozmowa ta miała miejsce przed tygodniem. Salak mówił już dosyć dobrze po angielsku, więc mógł sobie pozwolić na to, żeby zamknąć drzwi i zostawić dyrektora samego. Czego teraz od niego chce, Bóg raczy wiedzieć.

Wszedł do jego gabinetu i natychmiast owiał go przyjemny chłód. Dyrektor siedział za błyszczącym biurkiem, na którym obok kałamarza (mimo że działa się to w kraju wiecznych piór) leżały akta, książka i nogi dyrektora (mimo że było to w ojczyźnie dobrych manier).

— He — powiedział dyrektor zamiast pozdrowienia, kiedy Salak wszedł z uprzejmym: *How are you*. Salaka to zirytowało, więc powiedział „he”. Dyrektor był tym najwidoczniej zaskoczony i zawołał:

— Co to „he“?

— Przekład pańskiego „he“ na język czeski — powiedział Salak, któremu było wszystko jedno. Dyrektor milczał przez chwilę, a następnie rzekł: — Niech pan siada. — Wskazał na sąsiednie krzesło i najwidoczniej starał się być uprzejmy, ale mu to nie wychodziło, ponieważ powiedział tylko: — Niech pan da nogi tutaj — i wskazał na biurko, odsuwając trochę własne nogi na bok.

— Dziękuję, nie jestem w ciąży ani nie mam żylaków — powiedział Salak, który nauczył się odpowiadać na zjadliwość dyrektora pięknym za nadobne. Dyrektor nie odpowiedział nic, chwilę patrzył na niego zielonymi, zimnymi, purytańskimi, nowoangielskimi oczyma, a potem powiedział:

— Mister Zahlak, z naszej ostatniej rozmowy zrozumiałem, że się panu u nas nie podoba i nawet mówił pan coś w tym sensie w swoim konsulacie, o czym naturalnie dowiedzieliśmy się. Co jest tego przyczyną?

— Nie wykonuję pracy odpowiadającej memu wykształceniu i memu stanowisku — powiedział Salak, który do tej pory nie zmienił swej europejskiej skóry. Dyrektor wyczuł to natychmiast i rzekł:

— Nie jest pan w Europie, mister Zahlak, tutaj pańskie stanowisko i wykształcenie jest bez znaczenia; mamy ludzi na wyższym stanowisku niż pan i z większym wykształceniem, a kiedy im się powinie noga, na drugi dzień sprzedają chociażby mydło po domach; tak to już jest w Ameryce, *my dear*.

— Rozumiem, panie dyrektorze, ale wam Amerykanom nie przynosi to zaszczytu.

— *Don't speak of honour*, niech pan nie mówi o zaszczycie — powiedział dyrektor — tego żaden Amerykanin nie zrozumie, to przecież nie jest kwestia zaszczytu.

— Więc wyjaśnię to panu po amerykańsku — powiedział Salak. — Krótko mówiąc wykonywanie pracy nie odpowiadającej memu wykształceniu i stanowisku jest nieekonomiczne.

— Nie rozumiem — powiedział dyrektor — nie jestem w Czechosłowacji, żebym pojmował tego rodzaju średniowieczne sylogizmy.

— Nie dziwię się, że pan nie rozumie, ponieważ jesteśmy w Ameryce — powiedział Salak i natychmiast dodał — mówię to tylko dlatego, żeby się zrewanżować za tę Czechosłowację.

Wy tłumaczę to panu w takim razie tak, żeby pan zrozumiał, mimo że jesteśmy na zachodniej półkuli. Wy daliście mi wysokie stypendium, tak czy nie?

— *Yes*.

— To stypendium bywa tym wyższe, im wyższe posiada petent wykształcenie i stanowisko.

— *Yes*.

— A przy tym przydzielacie mi robotę, którą mógłby wykonywać zupełnie dobrze mój służący, ponieważ dla mnie nie jest to nic nowego. I również ten służący nauczyłby się wszystkiego — czego mnie tu uczyacie — przez tydzień i nie musiałyby siedzieć tutaj rok. Czyli moglibyście zaoszczędzić na tym dwie trzecie tej sumy, jaką inwestowaliście we mnie.

— *Well*, a co by pan chciał robić? Przecież zapisywanie numerów rejestracyjnych jest rzeczą, której się u was nie praktykuje.

— Naturalnie, że nie, ponieważ albo je sobie zapamiętujemy, albo zapisuje je jakaś tam panieczka; ja w ogóle się dziwię, że nie uczycie mnie tutaj zamiatać pokoi i ścierać kurzu.

— Powiedziałem już panu, mr Zahlak, podczas naszej ostatniej rozmowy, że samodzielna, odpowiedzialną pracę może u nas wykonywać tylko urzędnik z nominacją, będący obywatelem Stanów Zjednoczonych i posiadający odpowiednie wykszolenie, a oprócz tego zatwierdzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. A więc nie może tego rodzaju pracy wykonywać pan...

— A nie szkodzi temu waszemu nominowanemu, wykszolonemu i zatwierdzonemu urzędnikowi, że na przykład kiedyś sprzedawał po domach mydło i że jutro będzie sprzedawać znowu?

— Nie rozumiem.

— Jak to, przed chwilą sam pan mówił, że w Ameryce te rzeczy są bez znaczenia; najwidoczniej są bez znaczenia, gdy chodzi o cudzoziemca, a mają znaczenie, gdy idzie o waszego człowieka.

— Oczywiście, to jest przecież zupełnie naturalne.

— Owszem, ale teraz ja z kolei nie rozumiem, dlaczego w takim razie daliście mi stypendium? Pod względem turystycznym Ameryka mnie w ogóle nie interesuje.

— Ja również nie rozumiem, dlaczego nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych panu to stypendium przydzieliło. To nie nasza sprawa.

— Dobrze, mogę z niego zrezygnować, nie jestem ciekaw pańskiego braku logiki, tego bym się naprawdę nie chciał nauczyć.

— *Look here*, mr Zahlak, w ten sposób nigdzie byśmy nie doszli. Chcę pana o coś spytać.

— *Please*.

— Pije pan alkohol?

— Piję od czasu do czasu.

— Więc niech pan przyjdzie dziś do mnie o piątej na cocktail party, będzie u mnie kilka osób z naszego urzędu, upijemy się razem, a potem być może będziemy się rozumieć. Mieszkam na *West 628 Sixty Fifth Street*.

Salak był nareszcie zadowolony. Byłby spędził ten wieczór znowu sam, a w ten sposób przynajmniej mu jakoś czas zleci. Przygotowywał się do rozmowy z dyrektorem i w ten sposób cały dzień upłynął mu stosunkowo dobrze. Nie zauważył nawet, że upłynął mu lepiej aniżeli dzień poprzedni, ani też nie uświadomił sobie, że stan jego zaczyna się naprawdę polepszać. W ten sposób zbliżyła się godzina piąta, i to tak szybko, że Salak nawet spóźnił się trochę i zadzwonił do mieszkania 628 na ulicy Zachodniej nr 65 dopiero o pół do szóstej.

Za drzwiami słyhać było wesoły zgiełk i śpiew. Przez chwilę nikt nie otwierał, dopiero za kilka minut dał się słyszeć dziewczęcy chichot, jakieś skrobanie po klamce i drzwi się wreszcie otworzyły. Otworzyła je śliczna, jasnowłosa sekretarka, ta sama, która wówczas zaprowadziła Salaka do dyrektora, a teraz znajdowała się w szczególnej pozie. Jechała mianowicie na plecach dyrektora policji, siedząc okrakiem i pokazując stosunkowo ładne jak na Amerykankę kolana. Dyrektor był czerwony na twarzy, ale raczej z picia aniżeli z powodu kolan i przywitał Salaka hałaśliwym: *Hello, how are you*. Salak wprowadzony został wraz z owym dziwnym orszakiem do pokoju, w którym na dywanie siedzieli w nieładzie urzędnicy oddziału Salaka, urzędniczki i sekretarki i objąwszy się śpiewali chórem popularną w tym czasie piosenkę: *There is a tavern n the town*.

Salak był poniekąd zakłopotany, ale blondyna, która się nim wówczas po raz pierwszy zaopiekowała, zsiadła ze swego wierzchowca, podała mu pełny kieliszek whisky, a dyrektor się z nim trącił.

— Za pańskie sukcesy — powiedział, a Salak podziękował w oczekiwaniu, że będzie mowa o tym, co powinien by robić. Nie zamieniono jednak na ten temat ani słowa, nastrój był zbyt podniosły, dyrektor był dlań bardzo łaskawy; ale w miarę tego, jak pili, wszystko jakoś rozwiewało się we mgle. Największą część wieczoru pochłonęła gra w żywe rebusy, która Europejczykowi nie wydaje się zbyt dowcipna, a która polega na tym, że do pokoju wchodzi przebrany jeden z gości, a reszta odgaduje, kogo wyobraża. Na przykład ktoś włoży po prostu kapelusz na głowę i stoi. Pozostali łamią sobie głowy, aż wreszcie ktoś na to wpadnie i zawoła: Manhattan, co oznacza centrum Nowego Jorku, ale w rzeczywistości może również znaczyć *man* (człowiek) *hat* (kapelusz) *on* (na sobie).

Zabawa toczyła się tak, jak to na cocktail party normalnie bywa. Pito, debatowano, a kiedy zbliżyła się godzina ósma, wszyscy wstali z przeświadczeniem, że powinni to byli zrobić przed godziną. Pożegnanie było serdeczne i po chwili Salak był znowu sam i jechał kolejką podziemną do swego mieszkania na 123 ulicy. Był w niezłym humorze, jak każdy neurastenik, kiedy się trochę zamroczy alkoholem, i rozglądał się z zainteresowaniem po wagonie, wypełnionym ledwie do połowy, ponieważ wieczorne nasilenie ruchu już minęło. Zresztą nie tyle się rozglądał, ile czytał różnego rodzaju rozporządzenia rozlepione przez wszechmocne Ministerstwo Zdrowia. Podlegają mu mianowicie sprawy bezpieczeństwa, a ministerstwo sprawia kłopoty technikom, wydającym rozporządzenia, które niejednokrotnie dość trudno zrealizować. Był tu napis głoszący, że jedno splunięcie w wagonie kosztuje 200 dolarów grzywny i dwa lata więzienia, co zawsze wydawało się Salakowi okrutne, ale za to istotnie nikt nie odważył się w wagonie splunąć. Widział natomiast kilkakrotnie pijanych wymiotujących bezpośrednio w wagonie albo na platformie, a kiedy zapytał, ile tego rodzaju zanieczyszczenie kosztuje, dowiedział się ze zdumieniem, że nic, ponieważ nie ma w tym nic złego — człowiek, który wymiotuje, jest chory, *you know*, natomiast ten, który pluje, jest chuliganem.

Pociąg wreszcie zahamował, drzwi otworzyły się i Salak wysiadł na 125 ulicy w pobliżu Riverside Prive. Od rzeki zalaływał zapach ryb, w dole pod wiaduktem trąbiły samochody i tramwaj, ponieważ tramwaje na Broadwayu trąbią podobnie jak samochody i nie umieją dzwonić. Salak poszedł wprost do domu, na kolację już nie wstąpił, posiedział chwilę w *lobby*, wypalił papierosa i poszedł spać, zanim zdążył go ogarnąć smutek samotności.

W łóżku chwilę jeszcze zastanawiał się, dlaczego zaproszony został na tę popijawę, co to ma wspólnego z jego sprawą, nie rozumiejąc, że jest to sposób jeśli nie zbratania, to zbliżenia ludzi w tym zimnym kraju, tak zimnym, że dewizą życiową stały się tu słowa „pomóż sam sobie” (*help yourself*) i gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby mógł pomóc drugiemu.

Wszystko to odnosiło się, rzecz jasna, do roku 1937, ponieważ Ameryka jest krajem zmieniającym się bardzo szybko, nie tylko jeśli idzie o postęp techniczny, ale również w dziedzinie obyczajów i moralności. To, 'co było prawdą o Amerykanach w roku 1937, nie jest już prawdą w kilka lat później. W owym czasie Amerykanie byli ludźmi twardymi, wierzącymi jedynie w indywidualną siłę przedsiębiorczej jednostki.

Rozmyślając w ten sposób lub podobnie, nasz bohater usnął, a rano zbudził się znowu bardziej świeży i energiczny niż dawniej i udał się tą samą drogą do dyrekcji policji.

III

— Mr Zejlejk do pana dyrektora — powiedziała śliczna sekretarka, zaledwie zdążył usiąść — a mnie jest przykro, że trzeci rozdział zaczynam tymi samymi słowami co drugi, ale nic lepszego nie przyszło mi na myśl. Salak podniósł się i udał się do szefa, ciekaw, czy dy-

skusja będzie równie ostra jak wczoraj. Ale za ledwie wszedł, wyczuł, że coś się tu zmieniło.

— Jak się pan czuje po wczorajszej orgii? — spytał dyrektor niemal życzliwie.

— Zupełnie dobrze, było bardzo wesoło.

— Cieszy mnie, że się panu podobało. Ale my w Ameryce powiadamy: po zabawie praca — podczas gdy wy w Europie mówicie na odwrót, po pracy zabawa, jeśli się nie mylę.

— Istotnie, ale jak to mam rozumieć konkretnie?

— Chciał pan, żeby przydzielić panu samodzielne zadanie, więc mam coś dla pana — powiedział dyrektor. Salak ucieszył się, a jego rozmówca uśmiechnął się kwaśno.

— Nie będę panu przydzielał czegoś łatwego — ciągnął dalej dyrektor — na pewno by się pan obraził, więc przygotowałem panu coś trudniejszego.

Dyrektor skrzywił się po raz drugi i wyjął z registratury grube, widocznie wcześniej już przygotowane akta. Salak milczał, a na twarzy jego malowało się zainteresowanie.

— *Look here*, Salak. Przy tej sprawie, ściślej mówiąc przy tych sprawach, utknęliśmy w miejscu. Chodzi tu o dwustu trzydziestu dwu mężczyzn, którzy zaginęli nam w ostatnich trzech latach, a my nie wiemy gdzie.

Salak był zawiedziony. Umiął sobie wyobrazić, że z Ameryki i w Ameryce można łatwo zginąć. Wystarczy wsiąść na okręt i gdzieś pojechać. Nie ma się czemu dziwić, że w ciągu kilku lat zginie dwustu ludzi z tak liczego narodu. „Gdzieś sobie puciekali, a ja będę ich gonić po świecie” — pomyślał sobie w duchu, a na głos powiedział:

— Dlaczego daje mi pan, panie dyrektorze, na początek dwieście trzydzieści dwie sprawy? Mnie by zupełnie wystarczyła jedna lub dwie, może nawet trzy.

— To by nie było żadne zadanie dla takiego człowieka jak pan — powiedział dyrektor.

— Może to wasza narodowa cecha, że lubujecie się w dużych cyfrach i przydzielacie zadania setkami?

— W tym wypadku nie. Podejrzewamy mianowicie, że zaginieni, o których mowa w tych aktach, mają z sobą coś wspólnego.

— Czy mógłbym wiedzieć co?

— Ze szczegółami. zapozna się pan po przestudiowaniu akt. W ubiegłych latach zginęło nam bez śladu oczywiście daleko więcej osób, ale wszędzie był jakiś powód zaginięcia. Albo taki człowiek pokłócił się z żoną, albo uciekł przed długami itp. Tego rodzaju wypadków w pańskich aktach nie ma. Wszyscy zaginieni zniknęli bez powodu. Idzie wyłącznie o mężczyzn, wszyscy prowadzili regularny tryb życia i żadnego nie można było podejrzewać, że chciał gdzieś uciec; wszyscy zniknęli w drodze do pracy lub z powrotem i żaden z nich nie był do ucieczki przygotowany.

— Czy macie bodaj cień podejrzenia, gdzie zniknęli?

— Nie. W przeciwnym razie nie dawalibyśmy panu sprawy. W pięciu czy sześciu wypadkach stwierdziliśmy, że w drodze do pracy lub z pracy zostali zaproszeni przez jakiegoś automobilistę, który im zaproponował, że ich podwiezie i była to — jak twierdzą świadkowie — propozycja całkiem przyjacielska. U innych nie stwierdziliśmy w ogóle nic.

— Może idzie więc o zwykłe porwanie?

— Nie sądzę. W żadnym wypadku nie żądano okupu i żaden z zaginionych nie był na tyle bogaty, żeby warto go było porwać.

— Ale przecież możemy mieć do czynienia w tym wypadku z jakimś zorganizowanym, masowym porwaniem — trzymał się swojej koncepcji Salak — być może, że komuś wystarczyło to, co ci ludzie mieli, i może okoliczność, że było ich tylu, wyrównała ich niezamożność.

— Gdzież tam, co panu przychodzi do głowy! Gdy idzie o parę dolarów, każdy Amerykanin jest uczciwy; a poza tym za porwanie są tak wysokie kary *, żeby się to nie opłacało.

* W owym czasie za porwanie była jeszcze kara śmierci, a nie dożywotnie więzienie, jak to wprowadzono później.

Byłby to zły interes; to już lepiej byłoby porwać jednego porządnego milionera.

— A myśl, że szło o dobrowolne zniknięcie lub ucieczkę, odrzuciliście również?

— Nie tylko odrzuciliśmy, ale również wyklucziliśmy, ponieważ nie jest przecież rzeczą możliwą, ażeby dobrowolnie zniknęło tyle osób i nie przekazało o osobie wiadomości, nie mając ponadto żadnego powodu zniknięcia.

— Jest to jednak prawdopodobne, nie można więc jeszcze wykluczyć. Możliwe, że nie znam tutejszych stosunków, możliwe, że tych dwustu trzydziestu ludzi reprezentuje tylko pewien procent spośród wszystkich zaginionych, procent, przy którym powód co prawda istnieje, ale nie udało go się do tej pory wysledzić.

— *Right*, Salak — powiedział dyrektor z pewną dozą uprzejmości, ponieważ dopiero teraz, podczas tej fachowej dyskusji, zaczął się przekonywać, że Salak rozumuje zupełnie dobrze i mózg jego, mimo że nie obeznany z miejscowymi warunkami, pracuje tak samo prawidłowo, jak ich własne. — Rzeczywiście, pomyśleliśmy o tym również i postaraliśmy się o dokładną statystykę zaginionych w ostatnich dziesięciu latach. Jeszcze przed trzema laty ginęło rocznie bez powodu dwóch do trzech ludzi w naszym stanie. Na terenie całych Stanów Zjednoczonych ginęło co roku pięć do dziesięciu osób. Ale w ciągu ostatnich trzech lat tylko na terenie naszego stanu zginęło ich sto osiemdziesiąt, reszta zaginęła w Pensylwanii, Dakocie, Connecticut i jedna lub dwie osoby w Rhode Island. W pozostałych Stanach cyfra zaginionych została w przybliżeniu taka sama; czyli jak pan widzi, teren masowych zaginięć był przede wszystkim w Nowym Jorku.

Teraz dla odmiany Salaka zaczął ogarniać podziw, ponieważ umiał sobie doskonale wyobrazić, co znaczyło sporządzenie tego rodzaju statystyki i jak mądry był sam pomysł.

Dyrektor ciągnął dalej:

— Dokładną statystykę ma pan tutaj w aktach. Jej projektantem i wykonawcą był nasz Theiler, który siedzi razem z panem w jednym pokoju. Dzięki niej zdobyliśmy w ogóle ciekawe informacje. I tak na przykład na terenie stanu Nowy Jork najludniejszym miastem jest miasto Nowy Jork, a mimo to z tego miasta, którego ludność reprezentuje niemal połowę ludności całego stanu, zniknęło zaledwie dwanaście osób i to — przypadkiem, względnie celowo — jedynie osób pracujących poza miastem, a w mieście zamieszkałych.

— Rozumiem — powiedział Salak po chwili — ale w takim razie musiałby tu istnieć inny wspólny mianownik aniżeli zróżniczkowanie ludności na podstawie ich zatrudnienia, zamieszkania, rodzaju pracy itp.

Jak widać Salak również zaczął już ulegać amerykańskiej metodzie rozwiązywania problemów, metodzie idealnej i opartej na matematyce, lecz zawodzącej tam, gdzie problemu niepodobna rozwiązać matematycznie.

— Istnieje tu jeden szczegół, który nam ów stosunek wyjaśnia i który nam również nasz Theiler wyjaśnił. Stosunek ludności miejskiej w Nowym Jorku do ludności całego stanu wyraża się w przybliżeniu cyfrą 1:1, natomiast stosunek zaginionych cyfrą 12:178, czyli przeszło dziesięciokrotnie wyższą. Theiler obliczył to na wszystkie sposoby, aż wpadł na interesujący szczegół. Ludzie zamieszkali w Nowym Jorku są tam również z reguły zatrudnieni i tylko mały procent mieszka w mieście, a pracuje poza miastem. Na odwrót — istnieje daleko więcej osób, mieszkających poza miastem i dojeżdżających do miasta do pracy. Również wszystkich dwunastu zaginionych mieszkało w mieście i dojeżdżało do pracy poza miastem, podczas gdy 178 dojeżdżało do pracy bądź do Nowego Jorku, bądź do innego miasta. Żaden z zaginionych nie był zatrudniony w miejscu zamieszkania, wszyscy dojeżdżali do pracy. To właśnie wyklucza, ażeby uciekli sami, i wskazuje na ingerencję osoby trzeciej względnie innych jeszcze osób, mających w tym pewien niezrozumiały cel.

W tym momencie Salak zrozumiał, że dyrektor przekazuje mu isticie danajski dar. Że przydziela mu sprawę wyjątkowo trudną, na której połamie sobie przypuszczalnie zęby, skoro połamali sobie na niej zęby jego systematyczni ludzie. Ale trudno mu było odmówić, skoro

tak gorączkowo starał się o przydzielenie mu samodzielnego zadania. Niemniej wyraził swe uczucia słowami:

— Chętnie to sobie przestudiuję, ale nie wiem, czy temu podołam.

— Tego nikt z góry nie wie. Chciał pan samodzielnej roboty, więc ją panu dałem. My z naszej strony pomożemy panu w każdej rozumnej koncepcji. Nie ma chyba sensu, żebyśmy dłużej na ten temat dyskutowali. Niech pan sobie przestudiuje akta, naradzi się z Theilerem, który pracował nad tą sprawą i oficjalnie dalej pracuje. Siedzicie w jednym pokoju. Potem niech mi pan tylko zamelduje, co zamierza pan przedsięwziąć. *Good luck!*

Dyrektor wstał, uważając posłuchanie za skończone. Salak się uklonił. Nie mógł się od tego odzwyczaić, kiedy zegnał się z wyżej postawioną osobą. Nie mógł odzwyczaić się od zdejmowania kapelusza i jeszcze się w dodatku kłaniał, gdy chodziło o damę. Krótco mówiąc ciągle jeszcze spoczywał na nim kurz starej Europy.

Wrócił do swego gabinetu i miał minę bardzo zakłopotaną. Zatrzymał się przy biurku Theilera i opowiedział mu pokrótce o swej rozmowie z dyrektorem.

— Ty biedaku — zawołał Theiler, szczupły Amerykanin o wesołej twarzy. — Nasz boss istotnie nie bardzo pana lubi, podobnie jak mnie. Ten zaginiony regiment, jak go nazywamy, to zadanie, które przydziela każdemu, kogo nie chce awansować. Ja się z tym morduję już od roku.

— Dla mnie ciągle nie jest wszystko jasne, ale dyrektor mówił mi o tej pańskiej statystyce; wydaje mi się bardzo użyteczna i prawdopodobnie prowadzi do jakichś wniosków.

— Prowadzi wprawdzie do wniosku, ale nie do rozwikłania sprawy. Potwierdziła tylko jedno, że wszyscy zaginęli prawdopodobnie w drodze do pracy lub z pracy. Przynajmniej w tych wypadkach, któreśmy mieli możliwość bezpośrednio śledzić, istniała zawsze ciekawa okoliczność, a mianowicie, że poszukiwany ginął wtedy, gdy spóźnił się do pracy lub gdy wracał do domu sam, krótco mówiąc, gdy nikt mu nie towarzyszył.

— Czy zaginał wam również ktoś, kto jechał samochodem?

— Nie, nikt.

— A czy któryś z zaginionych był właścicielem samochodu?

— Widzi pan, byli tacy, nawet wielu. Ale również i ci zaginęli wówczas, gdy mieli przypadkiem auto w remoncie lub gdy jechali do miasta czy z miasta nie własnym samochodem, ale publicznym środkiem lokomocji.

— Nie rozumiem, dlaczego miałby ktoś dojeżdżać do miasta pociągiem, skoro ma samochód, a benzyna jest u was tania.

— Przyjacielu, widać, że nie zna pan jeszcze Ameryki. Czy jechał pan kiedyś po południu samochodem do Nowego Jorku?

— Nie jechałem.

— Więc musi pan wiedzieć, że rano i wieczorem wszystkie prowadzące do miasta szosy są tak przepełnione, iż jazda samochodem trwa naprawdę długo i jest poza tym męcząca. Temu, kto mieszka bardzo blisko, opłaci się jeździć raczej pociągiem albo autobusem, mimo że jest to nieco droższe. Jazda autobusem również trwa długo, ale nie jest tak nużąca, skoro nie musi pan kierować samochodem i jechać na przykład godzinę krok za krokiem.

Salak zamyślił się i zrozumiał, że zanim będzie mógł podjąć się rozwikłania tej sprawy, będzie musiał poznać Amerykę trochę dokładniej, żeby nie natrafiać na rzeczy dla Amerykanina zupełnie normalne, a dla niego całkowicie obce. Wyrzwał przez okno na niebieskie czerwcowe niebo, a w biurze zapanowała na chwilę cisza, przerywana jedynie szumem wentylatora. Łagodny wietrzyk owiewał mu głowę, a on zdołał nawet zauważyć, że wiaterek ów jest całkiem przyjemny. Tak rzadko odczuwał przyjemność w owych dniach depresji, że umiał ocenić każdy szczegół, budzący przyjemne uczucia. Wiaterek z wentylatora ustąpił miejsca fali gorąca z zewnątrz i Salak się ocknął.

— Tak, jedno jest pewne, że ci ludzie nie zniknęli sami, ale że ich ktoś uprowadził,

ktoś, kto miał w tym pewien cel.

— Tak, to prawie pewne, lub jeśli pan woli, zupełnie pewne. Tylko że nie chodzi nawet tak dalece o to, że zostali uprowadzeni, jak o to, kto ich uprowadził i w jakim celu.

— To — w j a k i m c e l u — nie byłoby może nawet takie ważne, jak — kto. Chociaż przyznaję, że motyw czynu pozwala często ujawnić jego sprawcę — powiedział Salak.

— Motyw jest w tym wypadku niezwykle istotny, ponieważ prawdopodobnie nie będzie pospolity. Niech pan szuka motywu, a znajdzie pan sprawcę. My nie znaleźliśmy ani jednego, ani drugiego i stanęliśmy na tym, że ci ludzie zaginęli, że ich ktoś bez wątpienia uprowadził, i to prawdopodobnie ten sam osobnik lub grupka współpracujących z sobą ludzi, o czym świadczy identyczna metoda we wszystkich wypadkach.

— I pan wyobraża sobie, że ja to rozwiążę?

— Dlaczego nie, rozumuje pan całkiem logicznie, mimo że jak na Europejczyka przystało, niezbyt precyzyjnie.

— Widzi pan, boję się, że tego nie rozwikłam, mimo iż moja logika nie jest nieprecyzyjna. Istnieje tylko przecież jedna logika, podobnie jak jedna matematyka, czy to w Europie czy w Ameryce.

— Nie zna pan Ameryki — powiedział Theiler pochylając się nad aktami. Salak również zagłębił się w aktach i w pokoju znowu zapanowała cisza. Teraz dopiero Salak uświadomił sobie, że dwaj pozostali nie zabrali w dyskusji głosu. Nie był to ich *business*, więc się do niego nie mieszała, ponieważ Amerykanin nie odznacza się zbyteczną ciekawością.

IV

Na dworze było przyjemnie; słońce, teraz około godziny dziewiątej, świeciło pełnym blaskiem, ale ze splukiwanych hydrantami ulic wionął chłód, mieszając się ze świeżym wiatrem z rzeki. Salak zjadł śniadanie w mleczarni na rogu, nawet z apetytem, w sąsiednim sklepie kupił sobie dwadzieścia papierosów Phillip Morris, otrzymał na dodatek, jak zawsze, bezpłatnie pudełko zapalek, które mu się w domu zbytecznie gromadziły, na drugim rogu wziął sobie ze stosu dzienników gazetę, rzucił w zamian dziesięć centów i nie zwracając niczyjej uwagi poszedł w stronę kolejki podziemnej, by poczekać w tunelu na pociąg pośpieszny. W kolejce podziemnej nie wolno palić, dlatego pewnie jest ona „wybrukowana” odpadkami gumy do żucia. Salak również sobie kupił gumę, a teraz stał na peronie i żując ją przeglądał gazety.

To żucie gumy jest szczególnym zwyczajem; przez długi czas nie podobała się Salakowi żadna Amerykanka, ponieważ wszystkie wydawały mu się stare, a on nie wiedział dlaczego. Dopiero później uświadomił sobie, że miały bez przerwy szczękami, żując nie skórkę od chleba, jak nasze bezzębne babunie, kaleczące sobie w ten sposób dziąsła, ale różne gatunki gumy, najczęściej tę najmniej smaczną pepsynową, która jednak ma tę zaletę, że usuwa rano przykry zapach z ust, ponieważ pepsyna pochłania wszystkie resztki jedzenia.

Kiedy tak stał pogrążony w lekturze, usłyszał za sobą wypowiedziane po czesku słowa:

— Człowieku, z pana zrobił się już prawdziwy Amerykanin, nie można pana odróżnić od otoczenia.

Salak odwrócił się gwałtownie i sprawa się wyjaśniła. Był to konsul generalny Hancz, który również jechał do miasta.

— To prawo mimikry, panie konsulu, jak panu wiadomo, detektyw nie może zwracać na siebie uwagi.

— Jak się tu panu powodzi, panie komisarzu, długo już pana nie widziałem, podobno pan chorował?

— Dziękuję, czuję się już lepiej, nabawiłem się czegoś w rodzaju depresji.

— To z pana prawdziwy Amerykanin, tutaj przychodzi to od czasu do czasu na każdego. Niech pan sobie z tego nic nie robi. U pana to chyba nic poważnego?

— Teraz już nie, znowu zaczynam pracować, a także te ataki smutku są coraz rzadsze. Myślę, że się z tego wkrótce wygrzebię.

— Wie pan, bałem się o pana. Mówił mi Hulka, nie była to chyba zdrada tajemnicy lekarskiej, że się obawia, by nie zaczęły prześladować pana z czasem myśli samobójcze.

— To nie jest wcale zdrada tajemnicy urzędowej, ponieważ zgodziłem się na to, ażeby pana poinformował. Myślałem wprawdzie o samobójstwie, ale czułem straszny lęk przed śmiercią, tak że bezpośrednio niebezpieczeństwo mi nie groziło. Niezależnie od tego umówiliśmy się z doktorem Hulką, że z chwilą gdybym zaczął się czuć niewyraźnie, natychmiast mu o tym doniosę.

— Ale widzę po panu, że się pan już całkiem dobrze trzyma, to mnie cieszy. Co pan teraz robi, czy do czegoś pana dopuścili?

— Nareszcie tak, ale mam wrażenie, że umyślnie wybrali coś takiego, żebym przypadkiem nie odniósł sukcesu. Przydzielili mi mianowicie sprawę, której sami nie mogli rozwiązać i którą odłożyli ad acta jako niemożliwą do rozwiązania.

— W takim razie może im pan pokazać, co pan potrafi, no nie?

— To będzie bardzo trudne, ponieważ chodzi o dziedzinę, którą się nigdy nie zajmowałem. Zaginęło dwustu ludzi w ciągu trzech lat; zniknęli oni w ten sam sposób, a wszystko wskazuje na to, że ludzie ci zostali uprowadzeni, tylko nikt nie wie dlaczego i dokąd.

— Do pioruna, że też o tym nigdzie nie czytałem.

— Poszczególne wiadomości były zamieszczane w gazetach; nie pisali tylko, że zniknięcie tak wielkiej ilości ludzi jest bez wątpienia dziełem jednego człowieka i że dokonane zostało prawdopodobnie w jakimś celu, ponieważ wszyscy bez wyjątku zaginęli bądź w drodze do pracy lub w drodze powrotnej.

— To przecież strasznie ciekawe, a dla pana jest to wyjątkowa okazja. Niech pan sobie wyobrazi, gdyby się tak panu powiodło!

— Trudno mi to sobie wyobrazić, raczej wyobrażam sobie, że mi się to nie uda. Jestem mimo wszystko za mało Amerykaninem, żeby znać tutejsze zwyczaje, stosunki, charaktery osób, w ogóle wszystko... Myślę, że do tego rodzaju roboty nadawałby się tylko ten, kto się tu wychował.

— Ma pan rację i jest to całkiem zrozumiałe. Jeśli się panu nie uda, niech pan sobie z tego nic nie robi. Siedzi pan tu po to, żeby poznać zagraniczne metody pracy, a nie po to, żeby stać się amerykańskim detektywem. My chcemy, żeby pan tutejsze metody pracy importował do nas, a nie żeby pan tutaj zaprowadzał nasze. Niech się pan tym pobawi, a jeśli się panu nie uda, pojedzie pan spokojnie na wiosnę do domu, a ja o panu wydam i tak bardzo dobrą opinię. Wie pan, jedna rzecz mi się u pana podoba, że pan tu pracuje. W większości wypadków każdy, kto od nas wyjedzie na jakieś stypendium, uprawia tutaj turystykę i nic poza tym.

Pociąg wjechał na stację, drzwi otworzyły się automatycznie, odezwał się zgrzyt hamulców, powiał wiatr i obaj mężczyźni wsiedli. Znowu zgrzyt, drzwi się zamknęły i zabrzmiał śpiew elektrycznych silników. Pociąg szarpnął nagle i ruszył. W tym czasie był już do połowy pusty, ponieważ było parę minut po dziewiątej.

Konsul Hancz ciągnął dalej:

— Przy pracy najgorsza jest świadomość, że musi się ją zrobić. O tym niech pan nawet nie myśli. Niech pan pracuje codziennie po trochu i albo będzie pan miał jakieś wyniki, albo nie. Ale niech pan nie zamierza zakończyć pracy wcześniej niż za kilka miesięcy.

Konsul nie wiedział nawet, jak tymi mądrymi słowami Salakowi pomógł. Dla człowieka cierpiącego na depresję, który sam siebie nie docenia i obwinia, nie ma nic gorszego, jak przydzielenie mu zadań ponad jego siły. Może go to rzeczywiście doprowadzić do ciężkiego rozstroju, a nawet do samobójstwa. Salak poczuł głęboką wdzięczność dla tego mądrego człowieka i naprawdę mu ulżyło, ponieważ do tej chwili dręczyła go podświadoma myśl, że nie nadaje się do niczego, że nie da sobie rady i że lepiej byłoby w ogóle do pracy się nie zabierać. Teraz zrozumiał, że w gruncie rzeczy oczekują od niego czegoś innego, zrozumiał, że inni ludzie wierzą jego mózgowi bardziej niż on sam i że nie potępia go za to tylko, że nie udało mu się jedna rzecz, i to w dodatku pewnie niemożliwa do przeprowadzenia.

Pociąg zatrzymał się gwałtownie na czterdziestej drugiej ulicy, na którą jechał Hancz. W Ameryce zawsze hamuje się tak gwałtownie, że cały pociąg podskakuje w górę, a ludzie są do tego przyzwyczajeni i nic sobie z tego nie robią. Obaj mężczyźni pożegnali się, Hancz wysiadł, a Salak pojechał do następnej stacji. Potem wyszedłszy z dworca koło Empire State Building wsiadł do szybkościowej windy i bez zatrzymania dowiezony został na 72 piętro. Przyszedł jak zwykle trochę później, inni siedzieli już na swoich miejscach. Przywitał się z Theilerem i resztą i natychmiast poprosił Theilera o chwilę rozmowy. Uczynny Amerykanin odłożył swoje papiery i z uprzejmym „jestem zawsze do pańskiej dyspozycji” podsunął mu krzesło.

— Myślałem nad tą sprawą — zaczął Salak — i nie wiem, jak się do niej zabrać.

— Wcale się nie dziwię, żaden z nas tego nie wie, dlatego właśnie *boss* ją panu przydzielił.

— Jednej tylko rzeczy tam nie znalazłem, a mianowicie, czy wszyscy zaginieni byli biali czy kolorowi względnie w ogóle jakiej byli narodowości.

— Wszyscy byli Amerykanami, o ile sobie przypominam.

— To na pewno. Tylko że Amerykanie są różnego pochodzenia. Macie tu u siebie taką mieszaninę narodowości, że nie jest wykluczone, iż szło o jakąś akcję pozostającą w związku z zemstą polityczną lub coś w tym rodzaju. O ile pamiętam, to właśnie Amerykanie irlandzkiego pochodzenia zorganizowali całą irlandzką rewolucję, a także ją finansowali. De Valera nie mógł być nawet w Anglii powieszony dlatego tylko, że był obcym obywatelem, Amerykaninem, co mu nie przeszkadzało być w tym czasie w Irlandii prezesem Rady Ministrów. Zresztą jest nim do tej pory.

— Ma pan rację. Kto wie, czy nie jest pan na właściwym tropie?

— U was panowie każdy podaje się zaraz za Amerykanina, jak tylko tu przyjedzie. A równocześnie całe pokolenia nosi w sobie resztki swego dawnego pochodzenia. Gdyby na przykład wszyscy zaginieni byli kolorowymi, to bym podejrzewał Ku-Klux-Klan.

— Pan zna Amerykę lepiej niż Amerykanin, gdzie się pan tego nauczył?

— W przeciwieństwie do pana, w młodości czytałem powieści indiańskie i historie z Dzikiego Zachodu, których wy nie czytacie.

— Dla nas taka lektura jest mniej więcej tak popularna jak normalne opowiadania z życia wsi, coś jak dla was Szmiłowski.

Teraz z kolei zdumiał się Salak.

— Skąd pan zna to nazwisko?

— Kupiłem sobie kiedyś w czeskiej dzielnicy jego powieść. Rozumie pan, dla mnie jest to równie egzotyczna lektura, jak dla pana powieści cowboyskie.

Nie powiedział naturalnie powieść cowboyska, lecz *wild west story*. Ale gdybym to przetłumaczył dosłownie, to znowu nasz czytelnik dobrze nie zrozumie. Salak w tym momencie uświadomił sobie, że jeśli w tych amerykańskich powieściach przygodowych słowo cowboy tłumaczono tak jak należy: pastuch albo chłopiec od krów, toby tego nikt nie czytał.

Theiler ciągnął dalej:

— My naturalnie w poszczególnych protokołach zanotowaliśmy rasę i narodowość

zaginionych, ale nie ujęliśmy w cyfry, ponieważ nikt nie uważał tego za istotne.

— Przyznam się panu, że protokołów wszystkich spraw nie czytałem. Będzie tego chyba z pięćset stron. Teraz widzę jednak, że będę musiał przeczytać.

— Nie musi pan, mamy tutaj wydział statystyczny. Tam to panu zrobią. To dobry pomysł, nawet gdyby do niczego nie doprowadził.

— Co mam teraz zrobić?

— Chwileczkę, zaraz tam zatelefonuję — i zgodnie z amerykańskim zwyczajem zaraz zadzwonił do działu statystyki i poprosił sekretarkę, żeby przysłała po akta.

Theiler był żywego usposobienia, bystry, uczynny, krótko mówiąc — prawdziwy Amerykanin, który z uwagi na zbyt wiele zalet nie może w swoim kraju zrobić wielkiej kariery i jest taki, jakim jest przeciętnie cały amerykański naród.

Weszła uśmiechnięta dziewczyna, pozwoliła sobie wytłumaczyć, o co chodzi, zakręciła się jak wrzeciono. Theiler zawołał posterunkowego i kazał zanieść akta do działu statystyki, ponieważ w Ameryce nawet sekretarka sama niczego nie nosi. Salak nie ruszał się z miejsca.

— Jeszcze jedno — powiedział Theiler. — Czy dobrze się tu panu siedzi?

— I tak, i nie — odrzekł Salak. — Wie pan, mało znam wasz kraj i dlatego będę musiał udać się w teren, ażeby poznać którąś z rodzin tych zaginionych i wyrobić sobie własne zdanie.

— Jeśli tak, to rozumiem, myślałem, że chce pan szukać tam śladów zbrodni, ale to byłoby daremne, wszystko przeszukaliśmy dokładnie.

— Wiem, że nie znajdę śladów w sensie materialnym, ale gdy czytam tylko akta, mam wrażenie, że pracuję jak gdyby w powietrzu i nie wgryzam się w sedno sprawy; czuję się, jak gdybym stał przed namalowanym krajobrazem.

— To jest takie europejskie przyzwyczajenie, ale ostatecznie ma pan rację. Jak chce pan to zrobić? Postaram się panu o wóz, asystentów i odwiedzi pan tych kilka rodzin.

— Tego bym nie chciał, może byłoby lepiej, gdybym pojechał sam lub z którymś ze znajomych, z kimś, kto jest czeskiego pochodzenia i zna dobrze angielski.

— Dobrze. Dlaczego by nie, cała sprawa nie jest żadną tajemnicą. Jutro jest sobota, więc mógłby pan gdzieś pojechać. Wolałbym jednak przedtem zatelefonować, żeby pana w tej rodzinie zapowiedzieli. Mogłoby się zdarzyć, że gdyby pan pojechał sam, nie udzieliliby panu żadnych informacji.

— Byłbym panu szczerze wdzięczny. W takim razie zatelefonuję do któregoś ze znajomych, czy będzie miał jutro czas. Pojechalibyśmy na przykład do Passaic, gdzie jeden z wypadków miał miejsce. To jest zastanawiające, ponieważ Passaic leży bardzo daleko od Nowego Jorku.

— Dobrze, jak się umówicie, proszę mi powiedzieć, a ja tam zatelefonuję. Naturalnie nie jest to już nasz rejon. Passaic leży w innym stanie, w New Jersey.

— Strasznie panu dziękuję i niech się pan nie gniewa, że pana tak fatyguję. W gruncie rzeczy zwałam całą pracę na pana, a sam nic nie robię.

— *That's all right* — to było wszystko, co mu Theiler odpowiedział.

Nasz komisarz usiadł przy biurku i poprosił telefonicznie operatora, to jest człowieka siedzącego w centrali telefonicznej każdego przedsiębiorstwa i załatwiającego wszystkie polecenia, żeby zatelefonował do National City Bank, gdzie pracował niejaki Bożiwój Brzecziczka, z którym zaznajomił się w International House i który kilkakrotnie zapraszał go na wycieczkę samochodową. Ten z lekka otyły człowiek był wybitnym matematykiem i przez długi czas nie mógł zrobić w Ameryce kariery ze względu na swoje nazwisko, na którym kilku Amerykanów dosłownie połamało sobie język. Dlatego po wahaniach zmienił niedawno nazwisko i wybrał sobie nazwisko krótkie i nawet jak na Amerykę niezwykle, ponieważ nazwał się Rob Bert — i od tej chwili musiał przy każdym przedstawianiu się wyjaśniać, że

jest to jego pełne imię i nazwisko, a nie samo imię; wyjaśnienie takie było dlań krańcowo nieprzyjemne, ale mimo wszystko nie skłoniło go do tego, by zmieniać nazwisko po raz drugi. Jego amerykańscy przyjaciele mówili bądź Rob, bądź Bert albo Bob, Czesi Bobek, a dziewczyny nie mówiły o nim inaczej, jak o człowieku wielu imion. Ale zmiana nazwiska dała rezultaty i w krótkim czasie mianowany został dyrektorem działu statystycznego, czyli innymi słowy zrobił karierę. Bobek odezwał się natychmiast, połączono go z Salakiem i ucieszył się bardzo, że mogliby pojechać razem. „To będzie niezły pomysł, mam w Passaic znajomych, weźmiemy coś na drogę, wykąpiemy się w jeziorze, a na wieczór wrócimy albo gdzieś zanocujemy i pójdziemy w góry”.

Salak podziękował i zaczął się cieszyć na myśl o wycieczce. Ciągłe temu Brzeczicze odmawiał, ponieważ perspektywa zobaczenia Ameryki przy jego stanie duchowym w ogóle go nie pociągała, a teraz wreszcie po raz pierwszy się z czegoś cieszył.

— Powiem jeszcze Maksowi Raynowi — powiedział Brzecziczka — żeby pojechał z nami. Zna go pan, prawda?

— Widziałem go raz, dobrze, niech go pan weźmie ze sobą.

Rozmowa skończyła się i Salak wziął się do roboty. Przewertował swoje notatki i stwierdził, że lepiej będzie pojechać zamiast do Passaic do Phoenicii, ponieważ tam wypadek zaginięcia zdarzył się niedawno, a w Passaic przed dwoma laty. Poprosił więc Theilera, żeby go zameldował w Phoenicii u pani Brown na sobotę po obiedzie, co Theiler natychmiast uczynił przy pomocy telefonu i komisariatu policji w Phoenicii.

— To nawet lepiej, że pan tam pojedzie, ponieważ jest to nasz komisariat, w stanie New York — dodał i Salak uświadomił sobie, że wielkie federalne państwa z różnymi urzędami i różnymi kompetencjami oprócz zalet mają również wady, bo co by było, gdyby te różne urzędy nie chciały ze sobą współpracować.

Na tych przygotowaniach upłynął mu czas, łącznie z przerwą obiadową, aż do popołudnia i o godzinie piątej w czasie popołudniowego upału pojechał znowu do domu, żeby się przebrać i zdążyć na spotkanie z panną Leonią Freeze, która zamierzała wypróbować na nim swe filozoficzne umiejętności. Zastał ją w *lobby* w International House. Długie nogi miała założone jedna na drugą, a kilku chińskich studentów spoglądało na nią z oddali z upodobaniem; na ich twarzach malowało się przekonanie, że widok ten jest przyjemniejszy aniżeli widok na rzekę, którą się ów dom pysznił. Dziewczyna przywitała Salaka serdecznie, zaprowadziła go do pustego pokoiku, a Salak nie wiedział, co ma zrobić. Czy ma ją pocałować, czy też zachować się przyzwoicie, czy ma jej wyznawać miłość, czy też zachowywać się neutralnie. Wybrnął z tego tak, że powiedział:

— Czy pozwoli pani, ażeby cudzoziemiec nie znający tego kraju o coś panią prywatnie zapytał.

— Oczywiście.

— Niech mi pani powie, jak się ma zachować cudzoziemiec, kiedy znalazł się sam na sam z uroczą dziewczyną? Czy ma wyznać jej miłość, czy bez wstępu być poufały, czy też okoliczność, że znalazł się sam na sam, w nieuprzejmy sposób ignorować?

— To bardzo ładnie powiedziane i widać z tego, że ów niedoświadczony cudzoziemiec potrafi mówić. Ale w tym wypadku robi najlepiej, gdy poświęci się wyłącznie testom filozoficznym, ponieważ dziewczyna jest zaręczona i nie ma ochoty na flirt, mimo że cudzoziemiec jest sympatyczny.

— To szkoda. Ale niech mi pani powie, co ma robić cudzoziemiec w innym podobnym wypadku, gdyby na przykład ta dziewczyna nie była zaręczona lub gdyby była zaręczona i mimo to miała ochotę poflirtować.

— Niech robi to samo co teraz i grzecznie się zapyta. Amerykanka bowiem, jeżeli życzyć sobie będzie zbliżenia, powie mu to zupełnie otwarcie. Tutaj kobiety, jeśli mówią nie, to naprawdę myślą nie, a jeśli myślą tak, to wtedy powiedzą.

— Namowy nie odnoszą skutku?

— Żadnego — odpowiedziała rezolutnie, a Salak nie odważył się dalej pytać. Dziewczyna nie kontynuując więc tego tematu rozłożyła na biurku papiery z testami Rohrschacha. Są to testy badające zdolność do parsidolii, chodzi w gruncie rzeczy o plamy z atramentu rozmazane przez założenie kartki papieru. Badana osoba podaje, co dla niej te plamy wyobrażają, podobnie jak człowiek, który dopatry się w chmurach ludzkiej twarzy lub na księżycu Dawida z harfą. Rohrschach przytacza, że sadystyczni schizofrenicy widzą w czerwonych plamach krew, inni w ciemnych plamach twarz, jeszcze inni całą scenę, drzewo lub kwiaty; to ostatnie zdarza się zwłaszcza duszom bardziej subtelnym, krótko mówiąc można tą metodą wywnioskować, co badany myśli, jaką ma fantazję, jak rozumuje — trzeźwo czy ze skłonnością do przesady, czyli niemal wszystko, i to z kilku zaledwie plam.

Dziewczyna położyła przed Salakiem pierwszy kawałek papieru i spytała:

— Niech mi pan powie, co to jest?

— To jest plama z atramentu rozmazana przez złożenie papieru.

Dziewczyna zmieszana się, nie wiedziała, co odpowiedzieć, wreszcie odzyskała równowagę i rzekła:

— Pan to już zna, prawda?

— Nie znam.

— Więc niech pan nie mówi, co pan widzi, ale co pan sobie pod tym wyobraża, dobrze?

— Nie da rady, wyobrażam sobie tylko plamę z atramentu, rozmazaną na dwie strony.

— Możliwe, że ten pierwszy test nie jest dla pana odpowiedni — powiedziała filozofka i wyjęła drugą kartę papieru, na której były rozmazane dwa kleksy, jeden niebieski a drugi czerwony.

— Niech się pan nie namyśla i powie, co to przypomina na pierwszy rzut oka?

— Dwa rozmazane kleksy, jeden czerwony, a drugi niebieski i nic innego w tym nie widzę.

Tak wyglądało do końca. Umysł Salaka był tego typu, że doprowadził cały ów test do absurdu. Raz tylko oświadczył, że mógłby to być świerk, ale że on namalowałby lepszy. Dziewczyna nie wiedziała, co robić, pożegnała się z nim z uśmiechem upajającym jak pięćdziesięcioprocentowa whisky i wybiegła, żeby, jak oświadczyła, opracować jego test, chociaż miała wrażenie, że próba się właściwie nie udała. Zapomniała, że Salak oglądał kilka wystaw nowoczesnego malarstwa, że był na tego rodzaju tricki przygotowany i że zdecydowany był pod tym względem myśleć zawsze realistycznie. Kiedy po kilku dniach zapytał młodą filozofkę, jak się skończyła sprawa z jego testem, powiedziała mu, że pytała się swego profesora, a ten wyraził się o Salaku, że to musi być albo zupełny idiota, albo geniusz.

— To dosyć przeciwstawne pojęcia, nie myśli pani? — spytał Salak. — Niech mu pani powie, że zapomniał o trzeciej możliwości. A mianowicie, że jestem urzędnikiem policji, który w każdej rzeczy musi widzieć to, co ona naprawdę przedstawia, a nie to, co sobie pod nią wyobraża. Każde wyobrażenie jest do pewnego stopnia błędne, słuszna jest tylko czysta, obiektywna prawda.

Tego wieczora zjadł kolację bez towarzystwa, a na drugi dzień o godzinie ósmej rano stał już przed garażem Brzecziczki na 123 ulicy, ponieważ się umówił, że się tam spotkają.

Był świeży poranek, trotuary wilgotne — tym razem nie tylko od polewania, ale również od deszczu — ulice pełne aut, a Salakowi wydawało się, że wszyscy ludzie umówili się, iż tego właśnie dnia pojedą gdzieś autem na wycieczkę. Za chwilę przybiegł Brzecziczka z Raynem, Brzecziczka gruby, Rayn chudy; gruby niósł pod pachą bochenek chleba i wydzielające obrzydliwy zapach pudło, o którym natychmiast powiedział, że to jest ser Camembert, nadający się specjalnie na wycieczki.

— *How are you* — zawołali wszyscy po amerykańsku i wszyscy wsiedli do samochodu.

Był to piękny, czarny Ford, który natychmiast ruszył w kierunku Broadwayu, a następnie na 126 ulicę w stronę parowego promu.

— Tak wypada o wiele taniej niż po moście, kosztuje tylko dwadzieścia pięć centów, a na moście pół dolara.

Natychmiast się okazało, dlaczego wypada taniej. W ten sam sposób kalkulowała, jak się zdaje, przynajmniej połowa mieszkańców, ponieważ stał tu nie kończący się sznur samochodów czekających na swoją kolej. Kiedy tak stali mniej więcej już pół godziny, Brzecziczka powiedział na usprawiedliwienie:

— Powinniśmy byli mimo wszystko jechać przez most, diabli niech wezmą dwadzieścia pięć centów.

— Tak byś się przekonał — powiedział Maks — że w ten sam sposób rozumowała druga połowa właścicieli aut — że lepiej dołożyć i czekać krócej — i czekałbyś równie długo, ponieważ dzisiaj jest sobota.

Czekali jeszcze pół godziny i po godzinie spóźnienia — w tym kraju szybkości — dostali się wreszcie na mały parowiec, przejechali na nim wraz z autem przez rzekę i znaleźli się po drugiej stronie pod Palisadami. Szosa wiodąca w górę, prostopadle do rzeki, była tak zapchana samochodami, że musieli przez chwilę czekać, zanim się na nią dostali, a następnie ruszyli powoli w górę przeciwko prądowi.

Cztery rzędy aut jechały w górę, a naprzeciw nich cztery rzędy aut zjeżdżały w dół do miasta, ponieważ naprawdę była sobota i każdy wyjeżdża z miasta na wieś, i każdy przyjeżdża do miasta ze wsi, żeby pójść do teatru i zatańczyć, i w ogóle żyć życiem miejskim. Tylko chwilami wydawało się, że ilość aut wyjeżdżających z miasta jest większa aniżeli ilość aut jadących do miasta, co dowodziło, że Amerykanie mimo wszystko przekładają naturę nad rozkosze cywilizacji w tej letniej porze roku. W ten sposób wlekli się mniej więcej godzinę i w miarę jak wzrastał upał, wzrastał również przykry zapach benzyny, a przede wszystkim sera, który cuchnął tak silnie, że kierującemu ruchem policjantowi na moście Waszyngtona zakreśliło się w głowie i krzyknął: — Czy wieciecie trupa? — Dodajmy, że z uwagi na ilość aut przejeżdżali obok niego z szybkością drabiniastego wozu ze złamaną osią. Salak rzeczywiście sądził, że wszyscy mieszkańcy miasta umówili się po kryjomu i że wszyscy jadą na wycieczkę do Phoenixii. Wkrótce jednak za mostem na drodze się przeredziło, a samochód jechał coraz szybciej. Wyjechali wreszcie na jakąś równinę, zjechali na piękną i pustą zupełnie szosę. Nie było tu żadnych pól, tylko łąki, lasy i sady, otoczone żywopłotami, tu i ówdzie farma, ale poza tym kraina była opuszczona, wskazująca na to, że ludność wyemigrowała do miast i na Zachód i że nie opłaca się tej skalistej gleby uprawiać. Opuszczone farmy miały przed drzwiami wielkie żelazne obręcze, przywiązane łańcuchem do słupa i służące do alarmu w czasie pożaru. Ziemia pachniała kwiatami późnych gatunków jabłoni i miodem różnych gatunków koniczyny. Z oddali dolatywał wytrwały gwizd lokomotywy ciągnącej nie kończący się pociąg towarowy i dzwoniącej jak wszystkie lokomotywy w tej okolicy, ażeby odegnąć z szyn przypadkiem znajdujące się na nich bydło lub stado bawołów, które jednak wyginęły już przed pięćdziesięciu laty, nie mówiąc o tym, że bydła również się tu już nie hodowało. Lokomotywy gwizdały jednak wytrwale w dalszym ciągu, ponieważ i tutaj istniał szacunek dla tradycji.

— Teraz pokażę wam, co ten samochód potrafi — powiedział Brzecziczka do Salaka i dodał gazu. Wóz świstał po gorącym asfalcie i niebawem osiągnął szybkość ponad stu kilometrów na godzinę.

— Daj spokój, Bobek, ten komediancki wóz rozleci się pod tobą — powiedział Rayn, trzymając się konwulsyjnie przedniego siedzenia. Zanim Brzecziczka zdążył odpowiedzieć, w tyle odezwał się gwałtowny warkot i z cienia jednego z krzewów wypadł motocykl marki Indian Scout, na którym siedział człowiek o dzikim wyglądem, w odzieniu przypominającym do pewnego stopnia mundur skautowski. Motocykl zbliżył się do nich, a Salak myślał, że

idzie o napad. Istotnie szło o napad, ale o inny, niż to sobie wyobrażał zwykły urzędnik policji. Brzecziczka zahamował, a przedstawiciel policji drogowej oświadczył:

— Jechaliście z niedozwoloną szybkością.

Nikt nic nie powiedział, zjechali na krawędź chodnika, policjant wyrwał z bloku kartkę, podpisał się na niej i podał ją Brzecziczce, a ten wydobył portfel i zapłacił.

Kosztowało to drobiazg, 50 dolarów, na ówczesne czasy 1508 koron czechosłowackich. Policjant przyjął pieniądze, zasalutował, a nasze towarzystwo ruszyło dalej już z dozwoloną szybkością. Obaj współpasażerowie zapłacili trzecią część kwoty i od tej chwili jechali cicho i powoli jak karawan. Wjechali w pagórkowatą okolicę, znaleźli się u podnóża Catskill, którego kocie grzbiety, porośle bujnym lasem, wznosiły się na wszystkie strony bez ładu i składu. Do samochodu wpadła woń trawy i sośniny, walcząc skutecznie z zapachem sera. Mimo wszystko nie od razu jednak udało się zupełnie unieszkodliwić ten zapach. Stało się to dopiero po chwili... Samochód jechał pogrążoną w cieniu szosą, doliną pomiędzy młodymi drzewami, lasem, który nie mógł liczyć więcej niż dwadzieścia lat. Kiedyś ludność splądrowała bowiem wszystkie lasy w stanie New York, a następnie wyemigrowała na Zachód, pozostawiając przyrodzie przywrócenie wszystkiego do dawnego stanu.

Auto jechało cicho po szosie, na pniach drzew siedziały zdziwione małe, pręgowane gryzonie, nie obawiające się niczego, wydające krótkie, piskliwe dźwięki; tu i ówdzie obok szosy stał na tylnich łapkach dziki królik, jak gdyby o coś prosił, zresztą wcale nie dziki, ponieważ zwierzyna nie była tu płochliwa. Od czasu do czasu niczym zielona iskra mignął w słonecznym blasku koliberek; krótko mówiąc okolica tchnęła pogodą i spokojem. Aż naraz tuż przed autem wyskoczył pręgowany cień, Brzecziczka krzyknął: — Koniec, jesteśmy zgubieni. — I natychmiast w samochodzie rozszedł się straszliwy smród, tak straszny, że ser był wobec niego zagonem fiołków. Zniknęła woń lasu, zniknął zapach benzyny, tylko ohydny smród unosił się w dalszym ciągu.

— Co to jest? — spytał Salak.

— Niestety, ot co — powiedział Brzecziczka.

— Tego jeszcze twojemu samochodowi brakowało, świntuch jeden — dodał Rayn — nie uważa i przejedzie.

Brzecziczka zatrzymał samochód na krawędzi szosy, a Salak poszedł popatrzeć na zabitego drapieznika. Był większy od tchórza, a także nieporównanie więcej cuchnący. Cała okolica skąpana była w tym smrodzie, a samochód cuchnął tak, że nie można było w nim jechać. Dlatego też podróżni zdecydowali, że zjadą do pobliskiego strumyka i umyją w ten sposób opony. Znaleźli taki bród całkiem blisko. Brzecziczka cicho klnąc wjechał samochodem tak głęboko, że połowa kół zanurzyła się w wodzie. Przykry zapach złagodniał, ale nie zniknął. Cofnął auto, żeby zanurzyć drugą połowę kół, ale smród natychmiast spotężniał znowu, co wskazywało na to, że zanurzona część przesiąknięta była jeszcze bardziej i że się tego w ogóle zmyć nie da. Prawdopodobnie zbryzgana była również karoseria...

— Jedź, jak najszybciej się da, może uciekniesz przed tym smrodem — radził Rayn.

— To by się mogło udać, tylko żebym znowu nie płacił kary.

— Jak myślisz, z jaką szybkością smród się rozszerza? Uczyłeś się tego z fizyki, no nie? — ciągnął dalej Rayn.

Brzecziczka wycofał wóz, miotając przekleństwa z wprawą starego marynarza, na szosie poprosił towarzyszy, żeby wsiedli, i powiedział:

— Szybkość dźwięku wynosi 330 metrów na sekundę, szybkość światła 300000 metrów na sekundę, ale jaka jest prędkość smrodu, tego nas nie uczyli, z czego widać, jak niedostateczne jest średnie wykształcenie. Przed dźwiękiem nie uciekniemy, przed smrodem tylko wtedy, jeżeli jego prędkość jest mniejsza niż 60 mil na godzinę, bo to jest najwyższa dozwolona szybkość w tym cuchnącym kraju. Chłopcy, jedziemy!

Nie było mowy o tym, żeby zamknąć okno, ponieważ upał był nie do zniesienia, a

Brzecziczka nie miał jeszcze wówczas w samochodzie urządzeń klimatyzacyjnych. Sytuacja wobec tego dojrzała do hamletowskiego problemu: smród czy upał, a na razie postanowili jechać szybko i zostawić smród za sobą.

Autor przyznaje, że również nie wie, jaka jest szybkość smrodu, ma jedynie niejasne wrażenie, że zgodnie z pewnym prawem dyfuzja gazów w gazach jest stosunkowo wolna i że — co za tym idzie — można by przed smrodem łatwo uciec. Chociaż wszystkie podręczniki fizyki twierdzą, że gazy podlegają tym samym prawom, co roztwory w cieczach, zgodnie z czym prędkość smrodu miałyby być bardzo niewielka, zdawało się, że zabity tchórz żadnego podręcznika fizyki nie czytał. Przynajmniej jego zapach wcale na to nie wskazywał — smród był przy szybkiej jeździe łagodniejszy, ponieważ był rozrzedzony powietrzem, ale mimo wszystko ciągle jeszcze był silny, tak że wzmiankowany ser zupełnie się w nim rozpuścił.

— *By the way*, Bobeczku, dlaczego pan nie wziął ze sobą pani dobrodziejki — spytał złośliwie Maks.

— Mnie to także martwi. Użyłaby sobie. Nie wziąłem jej z sobą dlatego, żeby mnie ciągle nie strofowała, ale teraz z uwagi na ten smród chętnie bym ją tu widział.

Brzecziczka był mianowicie żonaty, a jego małżonka była dawniej nauczycielką, która swoją zawodową namiętność przeniosła na męża i daremnie, ale wytrwale pracowała nad jego wychowaniem. Była to ta sama dama, o której opowiadano następującą, obecnie już powszechnie znaną anegdotę; przechodziła pewnego razu przez jezdnię, mimo że policjant upomniał ją podniesieniem ręki, by poczekała. Szła dalej, a policjant krzyknął: — Pani nie wie, co to znaczy, kiedy podnoszę rękę?

— Jakżeż bym miała nie wiedzieć? Byłam przecież przez dziesięć lat nauczycielką. Może pan wyjść, ale niech pan nie siedzi tam długo.

Przykry zapach ustąpił więc trochę, ale samochód jadący z maksymalną dozwoloną szybkością (patrz: mandat karny) wymykał mu się tylko częściowo. Trzech pasażerów rozwiązywało sytuację na przemian: przez chwilę mieli otwarte okno tak długo, dopóki jednemu z nich nie zebrało się na wymioty, następnie zamykali okno i dusili się z gorąca, dopóki Brzecziczka za kierownicą nie był bliski omdlenia.

Wyjechali z lasu i znaleźli się w okolicy bardziej zamieszkałej. Spotykali co pewien czas przechodniów i za każdym razem obserwowali, jak każdy z nich chwycił się za nos i odwracał z przerażeniem w oczach.

— Najlepiej byłoby, gdybyśmy postawili gdzieś samochód, a sami uciekli — zauważył rzeczowo Maks. Ale Brzecziczka odpowiedział stekiem przekleństw czeskich i angielskich. Dojechali w ten sposób do Phoenixii, małego miasteczka schowanego w górach, miasteczka, które wyludniło się natychmiast z chwilą, gdy zatrzymali się na głównej ulicy przed komisarzatem policji. Wysiedli wszyscy naraz i wszyscy rzucili się w kierunku kancelarii, żeby nareszcie odetchnąć.

— Co się stało? — spytał policjant, zdziwiony tym nagłym wtargnięciem, i natychmiast wykrzywił twarz, ponieważ znaczna porcja zapachu przedostała się wraz z nimi i nie dała się zamknąć za drzwiami.

— Zostaliście napadnięci przez tchórze, że aż tak cuchniecie?

— Nie zostaliśmy — powiedział Brzecziczka — ale przejechaliśmy go.

— Nie musicie tego meldować, to nie jest karalne — powiedział policjant i usiłował ich wypchnąć za drzwi.

— My przychodzimy w innej sprawie — powiedział Maks. — To jest mój przyjaciel mr Salak. O jego przybyciu powiadomiono was telefonicznie z dyrekcji w Nowym Jorku.

— *Oh yes, Zahlak, I know. How do you do?* — zwrócił się do Salaka i podał mu rękę. — Cieszę się, że pana widzę, możemy zaraz pójść do tej pani. No, ale mieliście pecha. Przejechać tchórze, to straszne. Zdarzyło się to raz naszemu byłemu staroście, musiał całe auto zanurzyć w rzece, a sam cuchnął tak, że jeszcze po pół roku przegrał wybory. Było to

przed dwoma laty.

— Cuchnie jeszcze teraz? — spytał Maks.

— Nie wiem, nikt się z nim nie styka. No, panowie, możemy iść.

Puścił ich przodem, a nieustraszony Brzeciczka pierwszy otworzył drzwi na pustą już teraz ulicę. Do środka wpadła taka fala smrodu, że wszyscy czterej zachwiali się na nogach.

Brzeciczka natychmiast zatrzasnął drzwi i spojrzął z zakłopotaniem na towarzyszy.

— To auto nie może tutaj stać. Musicie je zawieźć gdzieś za miasto, nie możecie zostawić tutaj auta, którym przejechaliście tchórza.

Policjant wyrzekł te słowa całkiem grzecznie, ale sam daleki był od tego, by otworzyć drzwi.

— No, to ja odwiozę auto — powiedział poczciwiec Brzeciczka. — Poczekajcie tu na mnie.

— Moglibyśmy chyba pójść do tej kobiety i następnie spotkać się tutaj — Powiedział Salak

— *Oh no* — zaprotestował Brzeciczka. — Poczekajcie tu na mnie. Tymczasem na dworze smród wywietrzeje, a poza tym ja także chcę widzieć tę wdowę. Trzeba jej powiedzieć kilka pocieszających słów.

— *Weil* — zdecydował policjant — poczekamy tu na pana. Niepodobna wyjść na ulicę przy tej bezwietrznej pogodzie. Niech pan to zawiezie gdzieś na południe, pojedziecie tamte dy z powrotem, a ponadto około południa spodziewamy się północnego wiatru.

Brzeciczka wciągnął głęboko powietrze i wypadł na zewnątrz, pozostawiając za sobą drzwi otwarte. Do środka wpadła nowa fala smrodu, Maks zamknął kopnięciem drzwi i trzej mężczyźni pozostali sami, czekając na czwartego. Powoli na ulicy poczęli gromadzić się ludzie, rozglądając się ze złością za intruzem, który do ich czystego miasteczka przyniósł obrzydliwy zapach.

— To pech — powiedział po chwili policjant. — Żał mi panów. Tym wozem nie zajdziecie w ogóle do domu. To potrwa parę dni, nim ten zapach wywietrzeje.

— *Never mind*. — powiedział Maks — my się do tego przyzwyczaimy. Zresztą są na świecie gorsze rzeczy aniżeli ten zapach.

— Na przykład? — spytał policjant.

— Na przykład mundur policyjny, *you know*, zwłaszcza kiedy człowiek ma płacić karę.

— *May be* — zgodził się chętnie policjant, ponieważ w tym kraju ludzie nie lubią się obrażać i nie lubią się kłócić, i wolą większość impertynencji uważać za żart.

— Pan przyjechał z Czechosłowacji? — powiedział, zwracając się do Salaka.

— Tak.

— Ciekaw jestem, jak tam u was wygląda komisariat?

— Tak samo jak u was. Także mamy w każdym komisariacie biurko, telefon, krzesła, szafy; krótko mówiąc zupełnie tak samo.

— Macie u siebie telefony? — spytał zdziwiony policjant. — Myślałem, że to czysto amerykański wynalazek.

— Nauczyliśmy się tego od was, ale myślę, że z trudem znalazłby pan tutaj coś, czego nie mamy u siebie.

— To ciekawe! A więc Europa to całkiem postępowy kraj.

— Tak, może nie każdy człowiek ma tam łazienkę i nie każdy ma telefon i samochód, ale wielu ludzi te rzeczy posiada. Ale za to każdy człowiek w moim kraju ma bibliotekę!

— Co to jest? Ma pan na myśli biblioteki, jakie bywają w dużych miastach?

— Nie, ale mam w domu kilka książek, co znowu nie zawsze jest tutaj w zwyczaju.

— To u was ludzie nie czytają gazet?

— Czytają, ale czytają również książki i również je kupują. U nas nawet robotnik ma w domu kilka ulubionych książek.

— To sobie ich nie może gdzieś wypożyczyć?

— Może, ale niektóre książki człowiek ma chętnie na własność.

— To bardzo ładnie — powiedział policjant, uciekając się do amerykańskiego sposobu przytakiwania, żeby uniknąć dyskusji, do której nie dorósł.

W tym momencie przez oszklone drzwi ujrzeli, jak kilka osób na ruchliwej, głównej ulicy splunęło z obrzydzeniem, następnie ukazał się Bożiwój Brzeciczka i wszedł z przyjemnym uśmiechem do pokoju, wnosząc ze sobą obłok zwierzęcego odoru.

— *Well*, już jestem, możemy iść. — Wybuchnął śmiechem, a gdy go spytali, z czego się śmieje, powiedział: — Kiedy odchodziłem od tego auta, zobaczyłem, jak zbliżają się do niego z lasu trzy tchórze.

— Jezus, Maria! — zawołał Maks. — A ty poszedłeś?

— Mnie jest już wszystko jedno — powiedział Brzeciczka i towarzystwo ruszyło w drogę. Brzeciczka mruczał do siebie po angielsku: — Jeśli mi te tchórze zasmrodzą auto jeszcze bardziej, to daruję je żonie na gwiazdkę — i uśmiechnął się filuternie.

Wszyscy czterej wyszli na ulicę, a policjant poinformował ich:

— Pani Mottowa, do której idziemy, mieszka na górze, na rogu głównej ulicy. Ma tam mały bar: sprzedaje parówki, wodę sodową, kanapki kilku tutejszym funkcjonariuszom. Na ogół powodzi jej się dobrze. Czeka na nas już od dziesiątej. Niestety spóźniliście się.

— Szosy były zatłoczone, a poza tym ten tchórz — powiedział Maks.

— Ma pan na myśli tego policjanta, który wam wlepił mandat? — spytał posterunkowy. (Przy czym trzeba wam wiedzieć, że słowo „tchórz” jest ulubionym amerykańskim wyzwiskiem).

— Nie, nie tego, ale tego, któregośmy przejechali.

— *I see*, ten was jeszcze zatrzyma, zobaczycie.

Kroczyli po rozpalonej głównej ulicy Phoenicii, nie różniącego się niczym od innych amerykańskich miasteczek. W Ameryce wystarczy zobaczyć jedno miasteczko, żeby nie odróżnić jednego od drugiego. Czy to będzie Princeton, czy Fairfield, czy Yonkers, dokąd jeszcze wraz z Salakiem zawitamy, wszędzie wygląda tak samo. Główna ulica, będąca zarazem główną szosą, na niej z reguły skrzyżowanie z sygnalami świetlnymi; jednakowe, na ogół drewniane domy, powódź plakatów i rozporządzeń, apteka, w której sprzedają whisky, lody, środki na przeczyszczenie i środki przeciw przeczyszczające, ewentualnie wraz z gorącą czekoladą i śmietaną, jakiś sizzling bar, gdzie smażą befsztyki na rożnie, i to wszystko. Gdybyście wzięli rodowitego Amerykanina z zamkniętymi i zawiązanymi oczyma i gdybyście mu je następnie w takim miasteczku rozwiązali, nigdy by nie wiedział, gdzie jest, tak bardzo są do siebie podobne. Główna ulica jest zazwyczaj szeroka i wysadzana starymi jaworami — tym narodowym amerykańskim drzewem, które się na wiosnę nacina i z wyciekającej żywicy wyrabia się syrop, będący jedną z podstawowych przypraw kuchennych, podawany do kiełbasy zamiast musztardy. Z jaworu wyrabia się meble; jaworowy liść jest ulubionym motywem artystycznym; krótko mówiąc jawor jest narodowym drzewem amerykańskim. Phoenicia była o tyle lepsza od innych miasteczek, że otaczały ją góry, których zalesione szczyty tworzyły szlachetną ramę dla jego wulgarnych domów.

Nasi bohaterowie doszli już w cieniu jaworów na róg ulicy na skrzyżowanie; poczekali, dopóki czerwone światło sygnalizatora nie zmieni się na zielone, poczekali, mimo że jak okiem sięgnąć nie widać było żadnego pojazdu. (W Ameryce czeka się jednak ze zwyczaju i z zasady). Następnie przeszli przez rozpaloną upalną ulicę i weszli do drewnianego, przytulnego baru. Przywitała ich młoda, przystojna kobieta o uderzająco jasnych włosach, smukła, jak kryształ o przedłużonej w nieskończoność osi. Policjant przedstawił przybyłych; Brzeciczka musnął pod nosem wąsiki i oświadczył:

— Szkoda, że jestem żonaty z kobietą, która mnie nigdy nie opuści.

Pani uśmiechnęła się do niego przychylnie i powiedziała spokojnie:

— To nie musi być szkoda. Może to zaleta, może i ja chcę zachować wolność.

Dla Salaka ta kokieteria u kobiety, która zaledwie przed rokiem straciła męża, wydała się dość dziwna, ale on ciągle nie znał Ameryki.

— Proszę bardzo, czym mogę panom służyć? Wiem, że chodzi o mojego męża, ale nie wiem, co byście chcieli wiedzieć.

— To jest mr Zahlak, europejski komisarz policji, który studiuje tu nasze metody pracy i chętnie by z panią porozmawiał o wypadku, jaki panią spotkał, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu — powiedział policjant uprzejmym tonem, jakim w tym kraju zawsze rozmawia mężczyzna z kobietą, nawet wówczas, gdy jest policjantem.

— Nie mam nic przeciwko temu. Oczywiście powiedziałam już to panu wczoraj, kiedy pan telefonował. Ale proszę, niech panowie siądą — i pani Mottowa poprowadziła ich do jednego z większych stołów. Brzeczciczka zapomniawszy, że ma w samochodzie ser, zaczął węszyć za jakimś jedzeniem.

— Wprawdzie nie ma jeszcze dwunastej, ale chyba nigdzie indziej nie moglibyśmy dostać nic lepszego do jedzenia. Czy nie zechciałaby pani nam czegoś sprzedać? Pani twarz pobudza apetyt.

— Coś tak jak cebula, prawda? — powiedziała pani.

— Musi mu pani wybaczyć — usprawiedliwił go Maks. — On jest z zawodu drwalem i nie umie zachować się wobec dam.

— Ja nie mam nic złego na myśli. Chciałem tylko powiedzieć, *you know*, że wydaje pani taką woń, jak przyprawa do zupy. Krótko mówiąc — cieknie mi ślinka.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziała ironicznie pani. — Ale co się tyczy tej woni, to panowie wybaczą, ale od chwili, gdyście tu weszli, czuję wyraźnie tchórza i nie wiem, czy to nie jakieś przecucie.

— Nie należy robić niewłaściwych uwag — powiedział trochę ostrzej posterunkowy. — Przypominam sobie, że raz, kiedy tu urzędowo interweniowałem, nazwała mnie pani tchórzem.

— To możliwe, ponieważ mnie pan wtedy zaskoczył. Bardzo mi przykro, ale dzisiaj tego tchórza wyraźnie czuję, na pewno bardziej niż przyprawę do zupy.

Teraz dopiero Brzeczciczka, który podobnie jak jego towarzysze przyzwyczaił się do przykrego odoru, zorientował się, o co chodzi, i rzekł:

— Tak, to pech, to ja tak cuchnę. Byłem przypadkiem obecny, jak pewien myśliwy zastrzelił tego śmierdziela z odległości dwustu jardów.

— Ty, Jardo — powiedział Maks po czesku — tchórze strzela się tylko w zimie.

— I tak pana czuć jeszcze teraz? — spytała pani ze śmiechem. — Od zimy upłynęły już co najmniej cztery miesiące. Mamy tu zupełnie przyzwoity prysznic.

— No, byłoby to zbyt uczte. Cóż robić? Przyznam się. Przejechaliśmy go.

— *Never mind*, więc na co mieliby panowie ochotę?

— Z pani rąk na wszystko — powiedział z galanterią Brzeczciczka.

Pani wybiegła i po chwili wróciła wraz z Murzynką niosącą na tacy mielone kotlety, musztardę, indyjski relish, czyli słodkie krajane ogórki i smażone ziemniaki, a ponadto dla każdego garnek kawy ze śmietaną.

— Będzie to *all right*, dla wszystkich?

Wszyscy byli zadowoleni, tylko miejscowy policjant oświadczył, że ma obiad w domu, ale w końcu również dał się namówić. Brzeczciczka, który znał się na sprawach kulinarnych — patrz zjełczyła ser w samochodzie — rzekł:

— Brakuje tu jednej porcji. Sądzę, mianowicie, że pani pozwoli, *madam*, zaprosić się na obiad w swoim własnym barze, który nam się bardzo podoba.

— Ależ oczywiście, bardzo chętnie zjem z wami, będzie mi bardzo przyjemnie. Jest dopiero jedenasta, a moi goście przychodzą dopiero po dwunastej, tak że mam chwilę czasu.

I pani siadła do stołu, do swego stołu, ale na ich rachunek. Była prawdziwą Amerykanką, która nigdy nie odmówi, gdy ktoś zaprosi ją na coś, na co ona ma ochotę, i która nigdy nie da się namówić na coś, na co ochoty nie ma. Czarna kelnerka przyniosła jej również posiłek i wszyscy zabrali się do jedzenia. Brzeziczka nawet z takim impetem, że nadziany na widelec befsztyk wyleciał mu z talerza, obleciał niczym bumerang stół i spadł z powrotem na talerz. Wszyscy się zdumiali, a pani powiedziała:

— Pan to robi zawsze? Omal się nie przestraszyłam.

— *Yes*, on to robi zawsze — odpowiedział Maks — tylko że nie zawsze trafia do własnego talerza.

Salak zaczął się niecierpliwić, zdawało mu się, że traci czas, że rozmawia się na wszelkie możliwe tematy, tylko nie o jego sprawie.

Dlatego dodał sobie odwagi, nabrał tchu, powtórzył w pamięci angielskie słówka i rzekł:

— Ja wiem, że w tym kraju nie wolno mówić o poważnych sprawach przy jedzeniu (*don't speak business at meals*), ale proszę panią, madam, żeby była pani tak łaskawa i zrobiła w tym wypadku wyjątek. Powiedziała pani, do której ma pani czas, a ja się obawiam, że moglibyśmy nie zdążyć.

— Na to właśnie czekam — powiedziała pani uprzejmie. — Proszę, niech pan zacznie, a ja będę odpowiadać. Nie musi się pan obawiać historycznych scen. Cała sprawa nie przestała mnie wprowadzić w ból, ale potrafię się opanować, gdy jestem w towarzystwie.

— Czy mogę mówić z panią w towarzystwie kolegów?

— Oczywiście. Widzę, że są to pańscy przyjaciele, a skoro ma pan polecenie naszego urzędu, nie rozumiem, dlaczego nie miałby się pan pytać o wszystko.

— Może najlepiej będzie, jeśli nam pani opowie całą historię, abym się potem spytał panią o niektóre szczegóły.

— Proszę bardzo, to bardzo nieskomplikowane. Żyłam ze swoim mężem przez trzy lata. Przedtem znaliśmy się rok. Dzieci do tej pory nie mieliśmy. Chcieliśmy je mieć później, ponieważ mąż mówił, że jeszcze gdzieś pojedziemy. Mąż pracował przy filtrach, oddalonych stąd o dziesięć mil, i dojeżdżał tam codziennie autobusem i wracał około godziny piątej również autobusem. Własny samochód mieliśmy dopiero kupić. W roku ubiegłym w jesieni, dwudziestego września, spóźnił się i wyszedł z domu tuż przed godziną dziewiątą. Powiedział, że dojdzie do skrzyżowania od strony Poughkeepsie i złapie tam inny autobus, ewentualnie poprosi kogoś, żeby go podwiózł. Od tego czasu go nie widziałam. Kiedy wieczorem nie wrócił, zatelefonowałam do stacji filtracyjnej, ale tam powiedzieli mi, że w ogóle nie przyszedł do pracy; wobec czego zgłosiłam sprawę na policję. Już prawie rok nie mam o nim wiadomości. Już go opłakałam.

Salak milczał przez chwilę ze współczuciem. Ciszę przerwał miejscowy policjant, który powiedział:

— Zresztą wszystko to jest w protokole, który pan na pewno czytał.

— Tak — powiedział Salak — nawet było tam tego więcej. Mąż pani pracował przy analizach wody, prawda?

— Robił coś takiego, ale ja się na tym nie wyznaję.

Salak zastanawiał się przez chwilę, a miejscowy policjant patrzył na niego w napięciu; prawdopodobnie zastanawiał się, o co ten cudzoziemiec może zapytać, skoro my pytaliśmy już o wszystko. Podobnie jak wszyscy Amerykanie, należący do średniej i niższej warstwy, wyobrażał sobie, że jeśli człowiek rozwinął się z małpy, w takim razie najpierw rozwinęli się z niej cudzoziemcy, a dopiero później prawowierni Amerykanie — które to wyobrażenie utrzymuje się tym bardziej, że rzeczywiście wielu Amerykanów powstaje z najrozmaitszych cudzoziemców, a nie bezpośrednio z małpy.

— Czy mąż pani spóźnił się tego dnia po raz pierwszy, czy też spóźnił się częściej? —

spytał Salak na chybił-trafił.

— Rzeczywiście, w ostatnim czasie spóźniał się częściej. W ostatnim tygodniu może ze trzy razy.

— Co było tego przyczyną?

— Nawet panu nie powiem. Jakoś, o ile sobie przypominam, pomału wybierał się do pracy.

— Gdy tak na panią patrzę, wcale mu się nie dziwię — zauważył Brzecziczka, którego serce nie potrafiło współczuć tej kobiecie, ponieważ widział tylko jej ładną twarz.

— Bobeczku, milcz — krzyknął nań Rayn — nie mów, narobisz sobie wstydu.

Bert Rob zaśmiał się krótko, powiedział: — *Sorry* — a do rozmowy wtrącił się miejscowy policjant:

— Nie rozumiem, dlaczego pan o to pyta.

— Zaraz pan zobaczy. Madam, niech się pani nie gniewa, ale czy małżonek pani miał jakieś przeczucie, że coś się z nim stanie?

— Nie miał. W ogóle nic takiego nie zauważyłam.

— Ma pan to zresztą w protokole — powiedział policjant.

— Jakie miał usposobienie, wesołe czy smutne?

— Bardzo wesołe, lubił żartować. Zawsze wkładał pomiędzy prawdziwe jaja sztuczne, których nie mogłam rozbić. Czasem wykręcał mi żarówki i mówił, że spaliła się elektrownia. Chętnie czytał i opowiadał różne anegdoty. Krótko mówiąc, zawsze z nim było wesoło.

— To również ma pan w protokole.

— Czy miał jakieś hobby?

— Tak, nawet kilka. Łowił pstrągi w tutejszym potoku, chodził na polowania, miał piękną kolekcję znaczków, która kosztowała go sporo pieniędzy.

— Był zawsze tak samo wesoły, aż do chwili swego zniknięcia?

— Mam wrażenie, że tak.

— Kiedy zrobił ostatni kawał?

— Wie pan, rzeczywiście, przeszło rok temu, na kilka miesięcy przed swoim zniknięciem.

— Kiedy widziała go pani ostatnio nad kolekcją znaczków?

— Dawno go nie widziałam. Rzeczywiście, mówił, że go to ostatnio nie bawi. Byłam zadowolona, ponieważ tyle na to wydawał.

— Czy bywał w towarzystwie?

— Chodziliśmy do sąsiadów na karty, ale ostatnio mówił, że woli siedzieć w domu, że go towarzystwo nie bawi.

— Jak sypiał?

— Niezbyt dobrze. Czasem budził się w nocy i mówił, że nie może złapać oddechu. Ale rano sypiał dobrze, dlatego kilka razy się spóźnił.

— Czy budził się zawsze o trzeciej nad ranem?

— Na miłość boską, skąd pan wie? Budził się!

— Czy miał także kompleks miejsc z boku?

— Co to znaczy — powiedziała kobieta i zaczęła patrzeć na Salaka z rosnącym szacunkiem, podczas gdy policjant patrzył nic nie rozumiejąc, a obaj czescy koledzy z dumą — mimo że nikt jeszcze nie wiedział, o co chodzi.

— Czy mówił pani, kiedy szliście do kina, żeby kupiła pani miejsce z boku?

— Na miłość boską, tak! Ale pan go musiał znać?

— Nie znałem, na razie tylko pytam i od razu przedkładam pani odpowiedź, żeby zaoszczędzić czasu. Czy siadywał ostatnio za biurkiem zgarbiony, czy wyprostowany?

— *My God* — zgarbiony, kilka razy mówiłam mu, żeby się wyprostował. Myślałam, że to ze starości, mimo że miał dopiero trzydzieści dwa lata.

— To nie było ze starości. Nie zauważyła pani u niego osłabienia inteligencji?

— Nic podobnego.

— Wie pani, nie to, żeby był głupszy. Ale na przykład czy nie wykonywał normalnej pracy umysłowej wolniej. Czy nie liczył gorzej lub miał słabszą pamięć itp.

— *For goodness sake*, tak, obliczaliśmy kilkakrotnie utarg, a ja się z niego śmiałam, że nie umie już nawet liczyć, a on śmiał się również. Ale proszę pana, co to wszystko ma znaczyć?

— Na razie trudno powiedzieć, muszę mieć tylko dokładny obraz jego duchowego stanu. Czy nie bolała go czasem głowa?

— O ile wiem, czasem tylko mówił...

— Że ma wrażenie, jak gdyby miał na głowie za ciasny kapelusz.

— Na miłość boską, tak...

— I że nie warto iść z tym do lekarza.

Kobieta spaşowiała, podniosła się i rzekła z irytacją:

— To chyba niemożliwe, pan musiał tu być i obserwować nas, inaczej nie mógłby pan wiedzieć, o czym ze sobą mówiliśmy. Proszę pana, ja się z panem boję dalej mówić.

— *No, madam* — powiedział policjant, u którego potęgowało się zawodowe zainteresowanie, ponieważ czuł, że ma przed sobą mistrza — tym by pani wszystko popsuka. Niech pani tylko spokojnie siedzi i odpowiada. Mr Zahlak wie, o co pytać.

— Już tego dużo nie będzie — powiedział Salak. — W sumie to wystarczy. Skarżył się kiedyś lub mówił, że widzi jak przez mgłę.

— Tak — szepnęła kobieta.

— Czy oddychał czasem szczególnie głęboko, a kiedy indziej szczególnie wstrzymywał oddech?

— Może, nie przypominam sobie.

— A teraz, madam, czy mąż pani nie miał przypadkiem samobójczych myśli, niechęci do życia itp?

— Nie, nie miał nigdy. Kilka razy mówiliśmy na ten temat, a on zawsze samobójców potępiał.

— Kiedy mówiliście ostatni raz na ten temat?

— Na długo przed jego zniknięciem, może rok, może nawet dłużej.

— Jak wyglądał ostatnio, czy nie był smutniejszy?

— Nie, nigdy, zawsze się uśmiechał, nawet w nocy był uśmiechnięty.

— Dziękuję, to byłoby wszystko. Niech się pani nie gniewa, że wprawiłem panią moimi pytaniami w zły humor, ale inaczej nie mogłem.

— Proszę bardzo, ale niech mi pan powie, co z tego wynika. Wiem, że pan do czegoś zmierza, czuję, że pańskie pytania nie były przypadkowe, nikt mnie dotąd w ten sposób nie pytał.

— Nie mam jeszcze zbyt jasnego obrazu, dużo mi jeszcze brakuje, ale nawet gdyby nie brakowało, to i tak daleko jeszcze do dowodów. Możliwe, że będę musiał jeszcze raz panią trudzić.

— Proszę, może pan przyjść kiedykolwiek, widzę, że traktuje pan to na serio.

— Proszę pana — zwrócił się Salak do miejscowego policjanta — chciałbym wiedzieć jeszcze jedno, czy mąż tej pani wyglądał smutno tylko wtedy, gdy był sam i czy zmieniał się, gdy był między ludźmi. Chciałbym mówić z którymś z jego znajomych, z kimś, kto go gdzieś przypadkowo spotkał.

— To mogę panu powiedzieć sam. Zналиśmy się dobrze. Spotkałem go raz podczas obchodu za miastem, wtedy również spóźnił się na autobus i uderzyło mnie, że był tak strasznie smutny. Widać to było po nim na pierwszy rzut oka. Ale gdy tylko mnie zobaczył, zaczął się uśmiechać... A kiedy go spytałem, dlaczego się tak chmurzy, odpowiedział, że mi

się tylko zdaje — jest zmartwiony, bo spóźnił się do pracy. Nie przywiązywałem więc do tego większej wagi i również nie zapisałem tego w protokole.

— Oczywiście, że nie musiał pan zwrócić na to specjalnej uwagi, ponieważ całkiem możliwe, że to żadnego znaczenia nie ma.

— Ale — powiedział policjant — przecież pańskie pytania miały jakiś cel. Czy mógłby pan nam powiedzieć, o ile naturalnie nie jest to pańską tajemnicą...

— Mogę. W mojej pracy nie ma tajemnic. Wie pan, pierwszą rzeczą, o której chciałem się w tych wszystkich przypadkach przekonać, było to, czy nie cierpieli na depresję duchową i czy przypadkiem nie popełnili samobójstwa. Dlatego pytałem teraz o szczególne objawy depresji, o których dowiedziałem się od pewnego lekarza.

— Na miłość boską, w takim razie na pewno popełnił samobójstwo, ponieważ wszystkie te objawy się zgadzają — powiedziała kobieta, a w oczach jej widać było przestach.

— Nie jest to takie pewne. Na razie wiemy, że cierpiał na lekką depresję i nic poza tym. O jego losie nie mamy żadnych wiadomości i proszę, niech pani nie wyciąga zbyt pochopnych wniosków. To może być tylko przypadek albo coś zupełnie innego. Brak mi tutaj logicznych związków przyczynowych, ażebym mógł powiedzieć, czy chodzi o samobójstwo. W życiu nie ma spraw prostych, a jeden szczegół tu mi nie pasuje. Wobec tego, co pani mówiła, chodziłoby tu o lekką lub początkową depresję, a w tym stadium pacjent jeszcze nie myśli o samobójstwie.

— To także powiedział panu ten lekarz?

— Tak — powiedział Salak i przemilczał taktownie, że wiadomości swoje czerpie od lekarza, który leczył go na tę samą chorobę. Będąc podobnie jak każdy z nas subiektywny, pierwszą okolicznością, którą wziął pod uwagę, była depresja. Przy czym na tym jednym powierzchownie zbadanym wypadku wielkość jego ducha nie mogła być jeszcze w pełni widoczna. Niemniej towarzysze jego już ją dostrzegli; widać było, że natychmiast nabrali dlań szacunku. Pierwszym, który to okazał, był Brzeciczka, człowiek o wyjątkowo dobrym i szczerym sercu.

— Pozwoli pan, panie komisarzu — powiedział — że zaproponuję panu kieliszek whisky?

— Oczywiście, po tak dobrym obiedzie.

— *No*, mr Bert — powiedziała kobieta. — To ja powinnam pana czymś poczęstować i myślę, że wszyscy powinniśmy dodać sobie trochę animuszu.

Przyniosła butelkę dobrego francuskiego koniaku i spoglądając z zainteresowaniem na Salaka, mimo że Brzeciczka w dalszym ciągu wytrwale gładził wąsy, trąciła się z nim.

— Mr Zahlak — powiedziała — niech pan przyjdzie znowu. Mimo że mnie pan bardzo zasmucił, widzę, że jest pan jedynym człowiekiem, który może rzucić na tę sprawę trochę światła.

— Boję się tylko, żeby nie oświecił czegoś smutnego tym światłem.

— Na to jestem przygotowana. Powiedziałam panu, że swego męża właściwie to już oplakałam. Ale martwi mnie nie tylko ta strata, ale również niepewność, w jakiej żyję. Przyznam się panu, że chciałabym wreszcie wiedzieć, na czym stoję, ażeby móc zacząć nowe życie, o którym marzę.

— Sure, of course — zaświergotał Brzeciczka i spojrzał na nią tak, że na pewno — jak powiedział później Maks — musiało się jej zrobić niedobrze.

Następnie Brzeciczka jako wódz wyprawy zapłacił rachunek i wszyscy wyszli na żar południowego słońca.

— Proponuję, żebyśmy pojechali wykopać się w jeziorze w Hudson — powiedział Brzeciczka. — Niech pan jedzie z nami — dodał, zwracając się do policjanta.

— *Sorry*, nie mogę, mam robotę, a poza tym muszę jeszcze wstąpić do domu.

Pożegnał się z nimi serdecznie, z Salakiem nawet z pewną dozą szacunku, i udał się do

komisariatu, podczas gdy trzej nasi bohaterowie skierowali się główną szosą na południe w stronę lasu, gdzie Brzecziczka schował cuchnące auto. Nie musiał się bać, że mu je ktoś zabierze, ponieważ w ten sposób nikt w Ameryce nie kradnie, a poza tym auto cuchnęło tak, że było zupełnie zabezpieczone przed kradzieżą.

Miejscowy policjant wszedłszy do kancelarii podniósł słuchawkę i połączył się bezpośrednio z mieszkaniem dyrektora policji. Natychmiast otrzymał połączenie i zameldował:

— *This is Phoenicia, police station, Smuts...*

Po drugiej stronie zgłosił się sam dyrektor i powiedział tylko:

— *Well.*

Policjant zaczął z miejsca bez żadnych wstępów:

— Zachowywał się bez zarzutu, kulturalnie, można było puścić samego w teren, bez nadzoru. Wypytywał się szczegółowo głównie o objawy depresji i stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że zaginiony na nią cierpiał. Nie wyciągnął żadnych przedwczesnych wniosków.

— Jaka jest wasza opinia? — spytał dyrektor.

— Jest zupełnie dobrym fachowcem, powiedziałbym nawet, pierwszorzędnym fachowcem.

— Był sam?

— Przepraszam, że zapomniałem zameldować. Byli z nim dwaj jego znajomi, z pochodzenia Czesi, naturalizowani Amerykanie.

— Zachowanie?

— Bez zarzutu, nienatętne, nie mają kompleksu cudzoziemców, do sprawy się nie miesza.

— *All right* — powiedział dyrektor i odwiesił słuchawkę.

.

— Ten policjant również mógł pójść się z nami wykapać — powiedział Maks, kiedy doszli do cuchnącego auta. — Odetchnąłby trochę świeżym powietrzem. To całkiem sympatyczny człowiek.

— Och, nie mógł, gdzież tam — powiedział Salak. — Miał jeszcze ważniejsze zadanie.

— Jakże?

— Musiał przekazać dyrektorowi szczegółowy i poufny meldunek, jak się tutaj zachowałem i co stwierdziłem.

— Skąd pan wie?

— Po pierwsze, jest to w zwyczaju każdej policji, a po drugie w Ameryce w ogóle istnieje zwyczaj kontrolowania tajnie każdego na każdym kroku. Jeśli pan kupi coś w magazynie i poprosi, żeby posłali panu rachunek do mieszkania, powiedzą panu *all right*, ale jeszcze zanim wyjdzie pan z domu towarowego, zatelefonują do pańskiego mieszkania, czy to rzeczywiście pan i czy ma pan kredyt. Gdyby otrzymali odpowiedź negatywną, złapią pana jeszcze przy wyjściu.

— Człowieku, pan zna Amerykę lepiej niż my — powiedział Brzecziczka — to może być prawda, a ja siedzę tutaj już dziesięć lat i ciągle myślę, jacy są tu łatwowierni ludzie.

— Więc niech pan spróbuje kogoś nabrać i zobaczy pan, co będzie, jak sam się pan nabierze.

— Panie komisarzu — powiedział Maks — muszę panu jeszcze powiedzieć, że strasznie mi się podobało pańskie przesłuchanie; ten policjant nie spuszczał z pana oczu.

— Było efektowne, jak wszystko, co zazwyczaj nie polega na prawdzie.

— Dlaczego by to nie mogła być prawda?

— Prawda nigdy nie jest taka prosta. Depresja tego człowieka miała być może jakiś związek z jego zniknięciem, ale prawdopodobnie nie była jego jedyną przyczyną. Jaki był tu związek, tego jeszcze nie wiem i będę musiał jeszcze porządnie najeździć się po Ameryce,

żeby się o tym przekonać.

— *Well* — powiedział Brzeczcicka. — Będziemy jeździć z panem. To wcale interesujące. Ale teraz chodźcie.

Wsiadli do auta i zjechali jakieś dziesięć kilometrów do jeziora, które było zupełnie opuszczone, ponieważ najwidoczniej — jak się zresztą zaraz okazało — należało do jakiegoś prywatnego klubu. Było to nawet napisane na tablicy, ale nikt z naszych bohaterów tego nie zauważył. Zatrzymali samochód dosyć daleko od brzegu, ażeby uchronić się przed odorem, rozebrali się i rzucili do nagrzanego słońcem wody. Maks siedział na brzegu, chudy jak mieszaniec Gandhiego z Purkinim, i moczył tylko nogi; Brzeczcicka z Salakiem skoczyli do wody, ale Salaka natychmiast coś uderzyło w plecy.

— Co tutaj pływa? — spytał.

— To nic, to tylko żółwie.

Rzeczywiście żółwie pojawiły się w tym nagrzanym przez słońce jeziorze, pływały między liśćmi i kwiatami wodnymi, świecącymi żółto jak czerwone słońce. Salak zerwał jeden z kwiatów i powąchał go.

— Dlaczego nie pachnie?

— A powinien pachnąć? — spytał Maks.

— Tak. Ten kwiat ślicznie pachnie, upajająco jak lotos, ale tu nie czuję żadnego zapachu.

— To pewnie dlatego — stwierdził Maks — że Ameryka jest krajem smrodu, najlepszy dowód — nasz śmierdziel.

— Nasze kwiaty naprawdę tutaj nie pachną — wtrącił się Brzeczcicka. — Niech pan pójdzie ze mną do ogrodu botanicznego i zobaczy pan, a raczej poczuje, że nie pachnie tu ani fiołek, ani róża, ani jaśmin, w ogóle nic. Nikt nie wie dlaczego.

— Prawdopodobnie warunki atmosferyczne — starał się wyjaśnić sprawę Salak — u nas w Czechach fiołki także pachną tylko z początku, później już nie, mówi się, że pachną tylko do pierwszej burzy. I jeszcze jedno mnie zastanawia. W ogóle nie słyszałem tutaj śpiewającego ptactwa. Widziałem po drodze kilka kosów, ale żaden z nich nawet nie pisnął.

— To także prawda, a o ptasim śpiewie czyta się tu tylko w szkolnych podręcznikach i w wierszach. Amerykanina, który po raz pierwszy przyjeżdża do Europy, najbardziej dziwi śpiew kosa.

Tak, to prawda. Autor przypomina sobie, że kiedy wracał z Ameryki, wysiadł wraz z kilkoma Amerykanami w Southampton na chwilę na ląd. Nie było tu niczego, co mogłoby tych sympatycznych ludzi zadziwić; wszystko mieli u siebie, i to na ogół lepsze. Był marzec i oto naraz znad zmarzniętej grudy wyleciał w pole skowronek i zaczął wyśpiewywać swoje trele.

— Co to jest? — spytała jedna z Amerykanek.

— To nic szczególnego, to skowronek — powiedziałem.

— *A lark* — szepnęli wszyscy pobożnie, w oczach niektórych ukazały się łzy i widać było, że przeżywają to, co dla nas w Europie jest normalne — piękno europejskiej wiosny przy akompaniamencie ptasiego śpiewu. Fala prawdziwej, realnej romantyki, o ile romantyka może być w ogóle realna, ogarnęła Amerykanów, a pewien amerykański filozof oświadczył, że to wrażenie warte jest tego, ażeby odbyć podróż z Ameryki do Europy i z powrotem. Powiedziałbym, że było to nie tylko wrażenie ale również uczucie, obudzone kilkoma ptasimi tonami, uczucie, które potrafi zwilżyć dziewczynie oczy jej własnymi łzami, a nie tylko gliceryną — i to nie tylko wtedy, gdy jest nieszczęśliwa, ale również wtedy, kiedy jest szczęśliwa.

— Kwiaty tu nie pachną, ptaki nie śpiewają, kto właściwie z czarował ten kraj?

— Niektóre kwiaty także tutaj pachną — odpowiedział Brzeczcicka — ale nie nasze. Ten kraj nie jest zaklęty, jest tylko inny. To kraj stworzeń ciekawych i agresywnych. Niech pan spojrzy, panie komisarzu, na te rybki.

Stali naprzeciw siebie w ciepłej wodzie, a przed Salakiem zastygło stado małych pstrązków, nieruchome, jak gdyby rybki wycięte były z drewna. Widocznie obserwowały Salaka, jak zauważył Brzeciczka, wyglądały na zdziwione. Naraz jedna z rybek wyleciała jak strzała w kierunku Salaka, mającego na piersi małe znamię, odgryzła je ostrymi ząbkami i uciekła wraz z całym stadem.

— *Gosh!* — zawołał Brzeciczka. — To już przechodzi wszelkie pojęcie, *look*, pan krwawi.

— To nic, ale czy te wasze stworzenia są naprawdę takie agresywne? To nie mogłoby się u nas zdarzyć.

— Ja także nigdy jeszcze tego nie widziałem, ale myślę, że pstrągi można by doskonale łapać na wędkę, skoro dadzą się złapać nawet na znamię.

Brzeciczka zaczął nagle przejawiać w sobie niepokój, gładził sobie wąsiki, a Maks, który obserwował go z brzegu, oświadczył:

— Na pewno zbliża się jakaś kobieta. Bob, nie pokazuj się jej w spodenkach, straciłbyś wszelkie szanse.

— Myślisz, że ona się będzie patrzeć na spodniki, draniu jeden — mruknął Brzeciczka i obrócił się w stronę domku z którego rzeczywiście wyszła kobieta, bynajmniej nie powabna, więcej niż w średnim wieku.

Niemniej Brzeciczka uśmiechnął się do niej z sympatią i już zamierzał powiedzieć coś przyjemnego, zdążywszy jeszcze szepnąć do Salaka: — Ma pan dziewczynę nad jeziorem. Jak pan widzi, poezja nie zginęła jeszcze w tym kraju — gdy kobieta zaczęła pierwsza. Nie był to jednak ani ptasi śpiew, ani dziewczęcy szczebiot. Był to grad wyzwisk i klątw, które bluzgały z niej jak Niagara, z szybkością dobrze skonstruowanego i chłodzonego karabinu maszynowego. Salak zrozumiał tylko tyle, że jezioro jest prywatną własnością, że należy do jakiegoś klubu i że nie wolno się w nim kąpać. Maks starał się coś powiedzieć, Brzeciczka uśmiechał się z zakłopotaniem, nie zdradzając jednakże zamiaru wyjścia z wody, kilkakrotnie nabrał oddechu, ażeby się odezwać, ale niepodobna było przerwać potoku jej słów, płynącego z niej niczym zmienny prąd o wysokiej częstotliwości z generatora. Salak przyglądał się z zaciekawioną teją scenie. Więc tak wygląda Ameryka bez maski. Przez cały czas swego pobytu szukał niefałszowanych amerykańskich manier i ciągle odnosił wrażenie, że nie zna tutejszych ludzi, że nie może ich rozgryźć. Ciągle miał wrażenie, że ma do czynienia z grubą politurą dobrego wychowania; wszyscy byli grzeczni, wszyscy byli uczynni i nikt nigdy go nie zwymyślał. W ogóle nie umiał sobie wyobrazić, że ci dobrze wychowani ludzie mówią w domu, kiedy są sam na sam, jakie są ich myśli. Przytakiwali ochoczo wszystkiemu, a było rzeczą wykluczoną, żeby zawsze ze wszystkim się zgadzali. Teraz nagle zobaczył, że gdy wejdzie się na teren prywatny, jest awantura, i to zupełnie po europejsku, mimo że oni tylko kąpali się w jeziorze, i to w czasie, kiedy nikogo innego tam nie było. Salak chciał już zauważyć, że się tylko kąpia, że nie mają zamiaru tej wody wypić, ale uprzedził go Brzeciczka, który wykorzystał krótką przerwę, jaką uczyniła kobieta w swych wymysłach, i zawołał tylko dwa słowa:

— Heil Hitler!

Skutek był fantastyczny. Kobieta umilkła, wytrzeszczyła oczy, coś wybełkotała i skamieniała jak słup soli. Teraz z kolei ryknął z nieznanego powodu Brzeciczka, ryknął boleśnie i wyskoczył z wody. Przyczyna jego gniewu i lamentu była dla wszystkich jasna. Potężny żółw chwycił go za tylną część ciała. Był to płaz uparty, nie mający własnych poglądów, ponieważ trzymał się jego wydatnej połowy silnie i wytrwale, wisząc na swojej wyciągniętej z pancerza szyi. Brzeciczka wyszedł wraz z tym ciężarem na brzeg, opędzając się gniewnie, a Salak, chcąc mu pomóc, chwycił żółwia za pancerz. Żółw trzymał się jednak silnie, a z jego zrogowaciałych szczęk udało się co prawda wyswobodzić jędrne ciało Brzeciczki, ale zostały w nich spodniki, które, w miarę jak Salak za nie ciągnął, rozdarły się i

spadły wraz z żółwiem na ziemię. Teraz z kolei kobieta wydała z siebie okrzyk grozy, uciekła do domku i więcej się nie pokazała. Brzecziczka wpadł do wody i obaj z Salakiem starali się żółwia odpędzić. Wreszcie im się to udało w ten sposób, że pozostawili mu w szczękach część spodenek. Brzecziczka tylko kłął, Salak nie mógł powstrzymać się od śmiechu i tylko Maks zauważył rzeczowo: — W tym kraju zostało jeszcze naprawdę dużo poezji. — Niemniej bieg wypadków ochłodził ich bardziej niż woda, a ponieważ było już dobrze po południu, Brzecziczka zaproponował, żeby jechać dalej. Przedstawił swój program: — Prześpimy się gdzieś w górach, rano możemy wejść na jakiś szczyt, żeby pan komisarz porzglądał się trochę po Ameryce, a po obiedzie możemy wrócić do Nowego Jorku. Szkoda, że ta baba zepsuła nam całą przyjemność, człowiek traci humor, gdy ktoś go zwymyśla, a ktoś inny na dobitek, mam na myśli tego żółwia, ukąsi w twarz. Żałuję, panie komisarzu, że doszło do tej sceny.

— Ja jestem zadowolony, przynajmniej poznałem kawał Ameryki nie hamowanej przez wychowanie i uprzejmość. Jedno tylko nie jest dla mnie jasne, dlaczego ta kobieta tak zdębiała, kiedy krzyknął pan „Heil Hitler!” i skąd to panu w ogóle przyszło do głowy?

— Nie wie pan dlaczego? No, to w takim razie nie zna pan jeszcze Ameryki. Przecież ta baba była Niemką, poznałem to po akcencie. Dlatego tak zdębiała. Tutaj słowa „Heil Hitler” stały się najgorszym wyzwiskiem, jakim można poczęstować Amerykanina pochodzenia niemieckiego. Jej akcent był zupełnie wyraźny.

— Przekłęta Ameryka — ulżył sobie Salak. — Człowiekowi trudno się w tym wszystkim wyznać, a kiedy już wyobraża sobie, że wie, o co chodzi, przekonuje się, że chodzi o Niemkę.

— Amerykanka nigdy by w ten sposób nie wymyślała. Zawołałaby z miłym uśmiechem kilku facetów, a ci by nas w milczeniu wynieśli z jeziora. Obeszłoby się bez słów. Gdzie się dużo mówi, tam z daleka pachnie Europą.

Wszyscy siedzieli już w samochodzie, pędzącym po asfalcie z maksymalnie dozwoloną szybkością, by umknąć przed własnym zapachem. Stał się on już znacznie słabszy, na dowód, że wszystko ma swój koniec, nawet odór śmierdziela. Szosa prowadziła przez góry, a pomiędzy jaworami, jesionami, świerkami i sosnami kładły się długie cienie w złotym ciepłym czerwcowym zmierzchu. Szosa wypadła naraz na równinę z odsłoniętą panoramą; po prawej stronie drogi ukazało się kilka drewnianych domków z większym budynkiem pośrodku.

— Jak to możliwe — spytał Salak, kiedy Brzecziczka zaczął hamować — żeby jeden dom miał tyle ustępów, i to w dodatku na wolnej przestrzeni między drzewami?

— To nie są ustępy, to jest camp, czyli hotel, w którym każdy pokój mieści się w osobnym domku. Widzę, że Brzecziczka zamierza tu przenocować.

W rzeczy samej Brzecziczka skręcił w stronę głównego budynku, wszyscy wysiedli, a Maks poszedł załatwić nocleg. Wynajęli dwa domki, po dolarze od sztuki, i przenieśli do nich swoje rzeczy. Uzgodnili, że Brzecziczka będzie spać w jednym, a w drugim Maks z Salakiem, ponieważ według zapewnień Maksa Brzecziczka w nocy chrapie. Wynieśli z auta wszystko, czego potrzebowali, łącznie z owym serem; schowali to w swoich domkach i poszli do głównego budynku na kolację.

— Najpierw się najemy, a następnie pójdziemy na wieczorną przechadzkę i rozpalimy sobie nad potokiem ognisko.

— A po co brał pan ze sobą ten ser?

— Jeszcze się może przydać, zobaczycie, ale teraz mam ochotę na porządną kolację.

Tym razem Brzecziczka nie musiał muskać wąsów, ponieważ kierowniczką lokalu była wąsata staruszka o ponurym wyglądzie, a tego było nawet na skromne wymagania Brzecziczki za dużo. Dlatego zabrali się do jedzenia. Zgodnie ze zwyczajem wszystkich amerykańskich pisarzy, opisujących szczegółowo, co który bohater skonsumował, i to opisujących tak sugestywnie, że mniej odporny czytelnik musi niektóre strony zakąsić chlebem, żeby móc je

strawić, opiszemy również menu naszych bohaterów. Zaczęli od soku z pomidorów, w należyty sposób popieprzonego i posolonego, następnie zjedli kotlet wieprzowy ze słodkimi ziemniakami i płatkami pieczonego ananasa, potem kazali sobie podać ser pieczony na rożnie i popili to wstrzemięźliwie kilkoma garnkami kawy ze śmietaną. Salak byłby wolał piwo, ale jakoś o nim zapomniał, ponieważ nie było tu przyjęte pić go przy jedzeniu, a ponadto, z uwagi na wielką ilość dobrych soków owocowych, nie było zbyt często podawane. Kiedy wszystko zjedli, a nie trwało to długo, udali się nad szumiący opodal strumyk. Brzecziczka odjechał przedtem autem na przyzwoitą odległość pod wiatr, który pod wieczór się zerwał, i zostawił auto w strumyku, żeby im swym odorem nie przeszkadzało. Jak już mówiliśmy wyżej, nie musieli się obawiać, żeby je ktoś ukradł lub uszkodził, ponieważ takich drobiazgów jak samochody nikt w Ameryce nie kradnie. Każdy zostawia auto w tym miejscu, gdzie mu to przyjdzie do głowy, trudność polega jedynie na tym, że człowiek zapomina, gdzie je zostawił, i nie może go znaleźć. Brzecziczka zostawił raz samochód na 127 ulicy, gdzie notabene parkowanie jest zakazane, i nie mógł go przez tydzień znaleźć. Kiedy nareszcie przypomniał sobie, gdzie je zostawił, znalazł je na tym samym miejscu i tylko sumienny policjant przylepiał na nim co nocy karteczkę wzywającą właściciela, by zapłacił dwa dolary za niedozwolone parkowanie, a tych karteczek było tam dokładnie siedem. Nie pozostawało nic innego jak zapłacić, ponieważ po czternastu dniach kara ulega podwojeniu.

Wszyscy trzej udali się nad potok, nazbierali drzewa i w gęstniejącym zmroku rozpalili ognisko. Potok szumił swoją monotonną pieśń, a lamujące go olchy odbijały się od ciemnych zboczy góry, noszącej nazwę Mount Wittenberg, czyli Góra Wittenberska. Żaden słowik się nie odezwał, jedynie gwizd susłów mieszał się z szumem potoku. Nad olchami unosiła się leciuchna mgła, a księżyc, który wyplął się ponad górę, chował się chwilami za małe chmurki pędzone po niebie przez chłodny wiaterek. W miarę jak ściemniało się coraz bardziej, tu i ówdzie nad ziemią pojawiała się niczym meteor zielona iskra amerykańskiego robaczka świętojańskiego, trochę większego niż nasze i zmodernizowanego o tyle, że potrafi regulować swoje światło przy pomocy jakiegoś owadziego wyłącznika. Robaczek to świecił, to gasł nagle, jak gdyby używał miniaturowej latarki w poszukiwaniu samiczki.

— Tak, już wiem, czego brakuje w tej poetycznej oprawie — powiedział Salak, przerywając milczącą zadumę.

— Co pan ma na myśli, chyba Winnetou ze srebrną strzelbą i Old Shatterhanda ze sztucerem Henry'ego?

— Nie, te sny naszego dzieciństwa są już poza nami, mimo że Ameryka jest właśnie taka, jak ją sobie wyobrażałem — ze swoimi stepami, nie zamieszkanymi obszarami i rycerskim duchem. Ale brakuje tu w tę czerwcową noc czegoś innego.

— Ja wiem — powiedział Brzecziczka kręcąc się niespokojnie i przejeżdżając wskazującym palcem po wąsach jak smyczkiem po skrzypcach. — Brakuje nam kobiety, dziewczyny, damy; jednym słowem do tej oprawy czerwcowego wieczoru brakuje nam płci pięknej.

— Tyś powiedział — powtórzył biblijnym stylem Salak — brakuje nam do tych olch i do tego strumyka, do czerwcowego księżyca i nawoływania zwierząt dziewczyny o ciemno-złoty włosach, która by panu w odpowiedniej chwili złożyła głowę na piersi.

— Widać, że jest pan kawalerem. Gdyby pan był żonaty jak ja, mówiłby pan inaczej, mimo że przyznaję — jakaś dziewczyna by się tu przydała. Ja również przeżyłem tu raz piękny wieczór z pewną dziewczyną, było to trochę dalej w górę rzeki, a noc była ciemna jak dzisiaj.

— Opowiadaj, Brzecziczka, jak to było. Przynajmniej przeżyjemy w wyobraźni to, czego nie możemy przeżyć w rzeczywistości.

Brzecziczka usiadł, poczęstował wszystkich papierosem, pogrzebał w popiele, z którego wyleciało ku niebu kilka iskier, i zaczął tymi słowami:

— Przed dwoma laty mieszkała w International pewna dziewczyna z Iowy, która, była

tak piękna, że kiedy szła na kolację, ciągnęło za nią zawsze około dwudziestu studentów, nie wyłączając Chińczyków i Filipińczyków. Na nikogo nie zwracała uwagi. Kilka razy pozwoliła się tylko zaprosić na kolację, ale tylko na kolację, nic więcej, nawet do przyjacielskiego pocałunku nigdy nie doszło, jak opowiadali później ci znajomi. Naturalnie nie można było w to bardzo wierzyć, ponieważ, tego pan pewnie, panie komisarzu, nie wie, tutaj w Ameryce nie wolno dziewczyny ani kobiety obmawiać. Tutaj, gdyby pan w towarzystwie powiedział o jakiejś kobiecie, że się pan z nią dobrze zabawił, i zdradził jakiś intymny szczegół, to pierwszy z brzegu mężczyzna wstanie od stołu i zrobi panu z twarzy siekany befsztyk, i nie może pan w ogóle liczyć na to, żeby się ktoś za panem ujął. Ale ta dziewczyna, mimo że była ładna, wyglądała naprawdę chłodno, tak chłodno, że nikt nie odważył się do niej zbliżyć. Tutaj w ogóle z miłością jest trochę inaczej niż u nas w środkowej Europie. Tam każda się wzbrania i czeka, żeby pan ją namawiał, ewentualnie z nią walczył, podczas gdy tutaj nie. Kiedy dziewczyna da panu raz do zrozumienia, że nie życzy sobie poufałości, może pan natychmiast dać spokój i czekać, czy sama się nie namyśli, ewentualnie zrezygnować ze wszystkich dalszych prób.

— To wiem — powiedział Salak — widziałem to raz w kolejce podziemnej. Na stacji podszedł jakiś mężczyzna do młodej kobiety, ona dwukrotnie grzecznie odmówiła, ale on nie przestawał.

— Pochodził prawdopodobnie ze środkowej Europy.

— Dama powiedziała tylko, nawet nie krzyknęła: *Help, please*, na co z tłumu wyskoczyło dwóch zabijaków i na miejscu zmasakrowali mu twarz. Przyszedł policjant, oni mu coś krótko wyjaśnili, on nawet nie zapisał. Zaraz potem nadbiegli skądś dwaj faceci z noszami i odnieśli tego nieszczęśnika jak padlinę.

— Tutaj musi być tak ostro — powiedział Maks. — Tutaj dawniej gwałcono.

— Kto kogo? — spytał Salak.

— Wzajemnie — powiedział krótko Maks.

— Tutaj kobiety mają przewagę — ciągnął dalej Brzecziczka. Jeśli pan jakąś kocha, może pan ją uprzejmie spytać w cztery oczy: „Czy nie obraziłaby się pani, jeśli bym panią poprosił o przyjacielski pocałunek”. Ona odpowie panu z miejsca albo: „Czekam na to”, albo „Nie obraziłabym się, ale nie życzę sobie tego”. Zależnie od odpowiedzi musi pan postąpić tak lub inaczej. A więc ta ładna dziewczyna wpadła mi w oko, kręciłem się koło niej, zaprosiłem ją na *icecream*...

— To ją pan jeszcze więcej wychłodził...

— *Shut up*, Maks, ja snuję tutaj poetycką opowieść, a ty mi przeszkadzasz. Więc nie rozgrzałem ją ani tymi lodami, ani zimną herbatą, alkoholu nie chciała, a wszystkie aluzje kwitowała uroczym uśmiechem i międzynarodową sentencją, mówiąc: „Bee — mówiła mi zwyczajnie Bee, tak jak brzmi początkowa litera — Bee, bądźmy tylko przyjaciółmi, to takie ładne”. *Well*, byliśmy więc przyjaciółmi, co miałem robić, mimo że podobała mi się coraz bardziej. Była naprawdę ładna i samo patrzenie na nią sprawiało mi przyjemność. Włosy miała jasnobrązowe, jak pan mówił, nogi miała jak jądro włoskiego orzecha.

— W łupinie, czy bez? — spytał Marks.

— W zimie jak bez łupinki, a wiecie jak w łupince — kiedy miała nogi opalone. Mam na myśli oczywiście kolor, a nie kształt, nogi bowiem miała nie pomarszczone, ale gładkie i lekko owłosione.

— Zostaw te szczegóły.

— Of course. A więc oczy zielone, jak nie wiem co, nic mi nie przychodzi na myśl, no, powiedzmy, jak rozrzedzona zieleń. Chodziłem z nią długo, dla samego tylko patrzenia, aż przyszedł nagle maj przed dwoma laty, drzewa okryły się kwieciami, zakwitło również psie drzewo, jak je tu nazywają (*dog wood*), a ta pora zawsze na mnie działa. Przyszła raz do mnie w piątek wieczorem do International House i powiada:

- Bee, czy jest pan moim przyjacielem?
- Tak — powiadam — może pani na mnie liczyć.
- Czy umówił się pan już z kimś na weekend?
- Nie — powiadam. I uradowałem się.
- Czy mogłabym pana prosić o przyjacielską przysługę?

Byłem trochę zaskoczony, ponieważ nie wyglądało to na randkę, ale powiedziałem: — Oczywiście — i nawet nie drgnąłem. Dziewczyna ciągnęła dalej: — Pan ma auto, a ja muszę jutro pojechać na weekend do Catskill. Umówiłam się tam z moim chłopcem. Jest to nad strumykiem, znam to miejsce bardzo dobrze. Umówiliśmy się, że pierwsze nasze prawdziwe zbliżenie nastąpi w maju, w tym właśnie miejscu, z którym wiążą się moje liryczne wspomnienia z pewnej wycieczki. Czy będzie pan tak łaskaw i zechce mnie tam zawieźć?

Co miałem robić, w Ameryce człowiek musi być zawsze dżentelmenem i nie może ujawnić swoich egoistycznych zainteresowań. Było mi wprawdzie nie w smak zawieźć własnym samochodem dziewczynę, do której czułem niemal zgubną namiętność, na spotkanie z innym mężczyzną, ale jak mówię, co miałem robić, więc powiedziałem tylko: — Mimo że jest to dla mnie bolesne, może pani na mnie liczyć.

— Przystanie to być dla pana bolesne — powiedziała lekkomyślnie i nie zważając, że rozdrapuje ranę w moim sercu, ciągnęła dalej z całą otwartością: — Wie pan, Bee, traktuję pana jak brata, przed panem się nie krępię, potrafię powiedzieć panu to, czego innemu nie potrafiłabym za nic w świecie. Powiem panu, że bardzo się cieszę. Jestem już przecież dorosłą dziewczyną i do tej pory nie wiem, co to miłość. Do tej pory nikt mnie nie pocałował, chowałam to dla tego, którego pokocham, i niedawno go znalazłam. I chcę mu teraz w tym pięknym miejscu ofiarować od razu wszystko. Myśli pan, że sprawi mu to przyjemność?

— Na pewno sprawi mu to przyjemność — powiedziałem. — Chciałbym być na jego miejscu.

— Dziecko, jesteście przecież przyjaciółmi.

Co wam będę mówił, serce mi krwawiło, ale mimo wszystko kupiłem coś do jedzenia, chciałem być dobrym gospodarzem.

— Kupił pan naturalnie ser?

— *Of course*, przede wszystkim ser. Nie wiedziałem wówczas, że kobiety za nim nie przepadają. Wziąłem z sobą namiot, kociołek do gotowania, koce na trzy osoby, dla siebie, dla niej i dla tego draba, ponieważ chciałem jej pokazać, że potrafię się poświęcić. Na drugi dzień w południe wyjechaliśmy. Była rozkoszna, miała lekką kolorową suknię, studenckie białe trzewiki na gołych nogach, a ponieważ trochę mżyło, przyszyła w takim celofanowym opakowaniu, chciałem powiedzieć, w takim nieprzemakalnym płaszczu, że wyglądała jak za szybą, krótko mówiąc, jak nie dotknięty towar. Usiadła obok mnie i pojechaliśmy. Jechaliśmy tutaj, w te strony, i przez całą drogę powiadała mi, jak cieszy się na myśl o tym wieczorze, jaka jest ciekawa, jak wygląda miłość, a mnie nie pozostawało nic innego, jak tylko uprzejmie jej potakiwać. Dojechaliśmy na miejsce przeznaczenia. Było to kawałek w górę rzeki. Jest tam taki wyrąb. Zapytałem ją, czy mam załatwić nocleg w tym campie, który znałem z poprzednich wycieczek. — Nigdy w świecie — powiedziała — nie chcę widzieć nikogo oprócz jego i pana, drogi bracie — i spojrzała na mnie swoimi zielonymi oczyma, że chciałem skoczyć do wody pomiędzy te głązy. — Niech pan rozpali ogień, już się robi ciemno — powiedziała jeszcze. Naznosiłem więc drzewa, rozglądając się wokoło, ale nigdzie nie dostrzegłem tego jej amanta.

— Pani *boy* spóźnił się widocznie — powiedziałem — może zatrzymał się gdzieś w drodze, skoro szosy były tak zatłoczone.

— Niech się pan nie obawia, zjawi się w odpowiedniej chwili w odpowiednim miejscu.

Dobra, nie powiedziałem już nic. Ogień trzaskał, zerwał się lekki wiaterek, rzeka szumiała, przez kamienie skakały pstrągi, a w lesie chrząkał jeżozwierz. Dziewczyna siedziała na

kamieniu i była tak urocza jak końcowa scena w kiepskim filmie.

— Czy nie powinienem odejść? — powiedziałem, uważając, że będzie trochę dziwne, gdy ten facet zastanie również mnie. A poza tym bałem się, że gdy się pojawi, nie wytrzymam i dam mu w zęby.

— Nie, niech pan zostanie, przecież w tym pustkowiu nie będę czekać sama. Czy nie jest tu pięknie — zapytała, kiedy księżyc wynurzył się nad ostrymi konturami Mount Wittembergu. — Czy cała przyroda nie kusi do miłości?

— Na pewno, Mary, ale nie powinna mnie pani tak dręczyć. Czekam, kiedy przyjdzie ten pani *boy*, żeby powiedzieć pani „z Bogiem” i pójść gdzieś upić się na umór.

— Widzi pan, pan się nie może doczekać, a ja czekam na moją chwilę miłości z całym spokojem.

— Ja również czekałbym z całym spokojem, ale mimo wszystko dziwi mnie trochę, że tego chłopca tu nie ma.

— Jak to nie ma? Jest pan tego pewien? Może gdzieś tu jest, a pan o nim nie wie, ponieważ nic pan nie rozumie.

— To gdzie się podziewa? — spytałem naiwnie.

— Więc amerykańska dziewczyna musi się do tego stopnia poniżyć, aby powiedzieć panu prosto z mostu, ty mało pojętny niedźwiadku?! — powiedziawszy to spojrzała na mnie tak, iż zdawało mi się, że naprawdę upiłem się na umór. Wstałem, padłem przed nią na kolana, przypadkiem prosto na kolec jeżozwierza, ale uświadomiłem sobie to dopiero później, pocałowałem ją w rękę, a potem, potem położyła mi głowę na piersi i trwaliśmy w milczeniu. Koło nas przeleciało stado robaczek świętojańskich, a kiedy nad doliną zaczęła opadać mgła w blaskach wschodzącego słońca, przypomniałem sobie, że powinienem był postawić namiot, żeby nie było jej zimno.

Brzecziczka skończył i nastąpiła cisza. Dopiero po chwili Maks powiedział:

— Tak, taka jest miłość w tym kraju, silniejsza niż gdziekolwiek indziej, dla tego — kto ma szczęście ją przeżyć.

Salak dodał:

— Było to piękne, ale niech się pan nie gniewa, panie Bert, mnie przypomina to jakiś amerykański film.

— *May be* — powiedział Brzecziczka — tylko że to, co pan uważa w tutejszych filmach za sentymentalizm, to nic innego, jak samo życie, które tutaj tak wygląda. A filmy robione są z życia, a nie życie z filmów.

— Rzeczywiście, poezja jest tu inna niż u nas. Ale ciągle jeszcze nie widzę pointy tej przygody.

— Pointa na pewno tam była — dodał Maks — tylko że, gdy Bobek coś opowiada, zawsze mu pointa ucieknie.

— Gdzie tam, nie ucieknie. Otóż opowiadałem wam przygodę z własnego życia, a życie nie stwarza pointy. Była to po prostu piękna przygoda, którą wam opowiedziałem, kiedy zachciało się wam kobiety tu na łonie natury. Mogłem się więc pochwalić, że ja ją raz tu miałem.

— No dobrze — powiedział Salak — ale pan niedawno powiedział, że gdybym był żonaty, byłbym zadowolony, że jestem tu sam.

— Oczywiście, to zupełnie proste. Ja mianowicie się z tą dziewczyną ożeniłem i od tego czasu diabli wzięli jej oczy. Najchętniej przebywam na łonie przyrody sam albo z kolegami.

— Żeby cię diabli wzięli — powiedział Maks, złapał polano i rzucił nim w ognisko, aż iskry rozsypały się na wszystkie strony.

— Chodźmy spać panowie.

Podnieśli się wszyscy i bez żadnych już tęsknot w sercu wrócili do campu. Maks z Salakiem już się rozbierali, gdy przyszedł do nich Brzecziczka, niosąc w ręku ser i chleb, i zapy-

tał, czy nie mieliby nań ochoty.

— Wyrzuć to, przecież to strasznie cuchnie. Połóż to na razie przynajmniej na oknie.

Brzeciczka położył ser wraz z chlebem na oknie i spytał jeszcze Salaka, czy będzie mu się tutaj dobrze spało. Wtedy właśnie podbiegł do okna straszliwy pies bernardyn i porwał ser z parapetu. Brzeciczka odwrócił się i spostrzegłszy rabunek, wyskoczył przez otwarte okno na trawnik i stoczył bohaterską walkę z psem o cuchnący prowiant. Pies warczał, ale Bobek na koniec zwyciężył i wyrwał psu ser z pyska. Wkroczył ponownie do pokoju, trzymając w prawym ręku zdobycz, z której kapąła psia ślina.

— Na miłość boską, zostaw mu to, przecież nie będziemy już tego jedli.

Brzeciczka obejrzał ser, a stwierdziwszy, że jest cały zaśliniony, rzucił go psu przez okno, miotając różnojęzyczne przekleństwa. Pies złapał to i połknął.

Spali wszyscy bardzo źle, ponieważ przez całą noc pod oknami wył pies. A kiedy rano wyszli na dwór i otworzyli furtkę w płocie, wypadł przez nią bernardyn i rzucił się wprost do strumyka, gdzie pił przez dobry kwadrans. Dopiero teraz zrozumieli, że pies nie wył do księżycy, lecz z pragnienia.

Byłoby rzeczą zbyteczną opisywać całą wycieczkę na Mount Wittemberg. Nie było w niej nic szczególnego. Wspinali się w przedpołudniowym upale po wygładzonych przez lodowiec skałach, gdzie lodowca dawno już nie było, ale gdzie pozostawione w twardym granicie rysy były trwałymi świadkami trzeciej epoki lodowcowej. Nie było nic nadzwyczajnego w tym, że rano pod szczytem spotkali grupę skautów, którzy przez całą noc nie zmrużyli oka, ponieważ wypędziły ich z pryczy jeżozwierze, które nie dały się odpędzić i włąziły do szaleńców nie posiadających drzwi.

I nie było również nic szczególnego w powrocie naszych bohaterów. Powrót ten, początkowo wesoły, stał się wreszcie bardzo nudny. Przejechanie czterech kilometrów w rzece samochodów od mostu Waszyngtona do 123 ulicy, gdzie Brzeciczka miał swój garaż, trwało trzy godziny. Pożegnali się wszyscy serdecznie budząc na ulicy nie lada sensację, ponieważ każdy cuchnął po trosze śmierdzielem.

V

Na drugi dzień Salak najpierw porozmawiał o całej sprawie z Theilerem, a następnie zgłosił się u dyrektora.

— Więc co pan stwierdził?

— Potrzebowałbym jednej rzeczy, ale myślę, że już pan wie, o co chodzi.

— Nie wiem o niczym. Co pan ma na myśli?

— Sądziłem, że policjant z Phoenicii zameldował już panu, cośmy tam robili, i że zameldował to panu ze wszystkimi szczegółami.

— Nie zameldował mi niczego, nie mamy zwyczaju śledzić swoich pracowników.

— Możliwa jest jeszcze inna ewentualność, proszę mi wybaczyć, że pozwolę sobie zwrócić na nią uwagę.

— Hę?

— Że wasi pracownicy nigdy na to nie wpadną, że mogą być śledzeni.

Dyrektor nie dał nic po sobie poznać, ale zastanawiało go to, jak ten człowiek wpadł na to, że meldowano mu zawsze o tym, co kto robi, zwłaszcza gdy szło o cudzoziemca. Powinien był się Salaka spytać. Dowiedziałyby się wtedy, że Salak zauważył ten zwyczaj w różnych instytucjach w Ameryce i był przekonany, że dyrekcja policji nie stanowi w tej mierze wyjątku.

Mieć wszystko pod kontrolą — oto jak brzmi hasło łatwowiernej Ameryki, z którym spotkał się natychmiast po swoim przyjeździe; już na stacji kolei podziemnej zauważył, że ludzie tłoczą się wokół automatów i każdy wkłada tam pięć centów, a nikt nie wkłada guzika. Począł więc, aż tłok przeminie, podszedł do kasy na drugim końcu stacji zmienić pieniądze na drobne i zapytał urzędnika, jak to możliwe, żeby w automaty, których na każdej stacji jest kilka, nikt w tym tłoku nie wkładał guzików lub fałszywych monet.

— To się nie może zdarzyć, Amerykanie są uczciwi — powiedział kasjer.

— Ja wiem, ale gdyby zechciał to zrobić jakiś cudzoziemiec — pytał w dalszym ciągu konsekwentnie Salak. Wiedział już dobrze, że cudzoziemiec zawsze podejrzany jest o nieuczciwość.

— Na taką ewentualność — powiedział kasjer — mamy w każdym automacie dużą szklaną soczewkę, której pan nie zauważył, a pod którą widać powiększoną monetę. Odbicie jest widoczne u mnie w biurze i gdyby ktoś włożył zamiast monety guzik, wystarczy przekręcić wyłącznik, automat się zamknie, a oszust znajdzie się w potrzasku.

— Nie rozumiem pana — powiedział dyrektor i widać było, że nie dopuści za żadną cenę, żeby ktokolwiek wiedział coś wcześniej od niego.

Salak zaś powiedział sobie: „Po co ma wiedzieć, że zaczynam się już orientować” i opowiedział mu szczegółowo, co robił w Fenicji. Podkreślił specjalnie, że sądząc z objawów, zaginiony cierpiał rzeczywiście na depresję i że nie można wykluczyć ewentualności samobójstwa.

Dyrektor patrzył na niego bardziej uprzejmie niż kiedykolwiek przedtem, stwierdzając ze zdziwieniem, że ten człowiek nie posiadający nawet czystego angielskiego akcentu potrafi zupełnie dobrze rozumować.

Salak ciągnął dalej:

— Musiałbym sprawdzić, czy przynajmniej niektórzy z zaginionych nie cierpieli również na depresję, czyli innymi słowy, że odkrycia moje nie były przypadkowe. Chciałbym dlatego pana spytać, czy mógłbym zaproponować krótką ankietę na temat objawów, którą pańscy ludzie daliby wypełnić rodzinom zaginionych. Niektóre objawy depresji nie są powszechnie znane i zwyczajny policjant nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy zaginiony był melancholikiem.

— Jest pan więc przekonany, że może iść tu o masowe samobójstwa? — spytał dyrektor z zainteresowaniem.

— Może i nie musi. Przekonany nie jestem na razie o niczym, ponieważ nie mam wystarczającej statystyki. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby mi pan pozwolił zgromadzić więcej faktów i dopiero wtedy mógłbym wypowiedzieć swoją opinię. W rzeczywistości nie sądzę, żeby szło o samobójstwa, ale nie mogę wyzbyć się wrażenia, że depresja pozostaje w jakimś związku z tym wszystkim, przynajmniej ze zniknięciem tego jednego z Fenicji.

— *Fine* — powiedział dyrektor — rozumuje pan zupełnie po amerykańsku. Widzę, że uda nam się coś z pana zrobić.

Mówiąc „rozumowanie” ów dostojnik miał na myśli ankietę, zapominając, że jest ona jedynie środkiem, a nie istotą rozumowania Salaka.

— Tę ankietę — ciągnął dalej — załatwi panu Theiler. W ciągu kilku dni będzie pan miał potrzebny materiał. A jeśli chodzi o to, czy zaginiony był biały czy kolorowy i jakiej był narodowości, również dowie się pan za dwa lub trzy dni.

— Dziękuję uprzejmie — powiedział Salak i pożegnał się.

VI

Pani Foxowa z Yonkers podawała właśnie śniadanie. Nakryła stół prostym bawełnianym obrusem, położyła na talerzyk świeżo opieczone grzanki z białego chleba, wyjęte ze stojącego na stole elektrycznego rusztu. Obok rusztu stał czajnik z kipiącą wodą, a koło niego naczynie z ekstraktem kawy i drugie naczynie ze śmietaną. W czterech rogach stał sok pomarańczowy, nie żadna namiastka, ale prawdziwy sok z wyciśniętych pomarańcz. Do pokoju wpadli dwaj chłopcy w wieku około dziesięciu lat i rzucili się na jedzenie nie czekając ani na ojca, ani matkę.

— Będziesz już jadł? — zawołała pani Foxowa na pierwsze piętro rodzinnego domku, gdzie mieli sypialnię.

— Za chwileczkę.

Kobieta usiadła i czekała.

Była najwidoczniej śródziemnomorskiego pochodzenia, przypuszczalnie Włoszka, i mimo że urodzona w Ameryce, nie mogła się przyzwyczaić do tego, by zacząć śniadanie pierwsza: zawsze czekała na męża.

W ostatnim czasie czekała często; z rana jakoś powoli się zbierał, ze wszystkim się spóźniał, ale *never mind*, ma pewne miejsce w fabryce i może pozwolić sobie spóźnić się od czasu do czasu. Na pewno by tego nie robił, gdyby nie mógł sobie na to pozwolić. Obaj chłopcy pochłaniali tymczasem śniadanie, a ona nie upominała ich, żeby chwilkę poczekali na swego żywiciela. Po pierwsze mogliby się spóźnić do szkoły, a po drugie mogliby powiedzieć jej coś impertynenckiego, czego jako Włoszka z urodzenia nie rozumiała. Po co czekać, powiedzieliby jej, skoro są głodni, a jedzenie stoi na stole. Nie ma w tym przecież nic niegrzecznego. Że ojciec się spóźnia, to jego sprawa; że ich żywi, to jego obowiązek. Przecież nie ma ich po to, żeby kazać im rano głodować, kiedy sam się spóźnia. Oni mu jego spóźnienia nie wymawiają, to jego business.

Chłopcy najedli się, złapali teczki z książkami, zawołali: *Bye-bye* — i wypadli z pokoju, nie troszcząc się o ojca. Ten ostatni zszedł za chwilę ze schodów ze słowami:

— Znowu się spóźniłem, nie chce mi się jakoś iść do roboty.

— Źle się czujesz?

— Czuję się zupełnie dobrze, ale jestem jakiś ospały. Nic mi się nie chce.

— Nic dziwnego — powiedziała kobieta ze współczuciem. — Ciągłe ta monotonna praca, dzień w dzień, do niczego to nie prowadzi.

Powiedziała to na chybił trafił, nie zdając sobie nawet sprawy, że wyjęła mu to z ust. Był wykwalifikowanym robotnikiem w pewnej fabryce maszyn, to znaczy, że dzień w dzień stał przy tokarce i otrzymywał na transporterze części składowe, w których robił dwoma ruchami dwa nacięcia. Robił to już od dziesięciu lat, dzień w dzień. Był dobrze wynagradzany. Kupili sobie na raty domek, mieli radio, z czasem kupią sobie samochód, ale co z tego, kiedy życie nie było niczym innym, jak owymi dwoma ruchami powtarzanymi kilka tysięcy razy na dzień, przez cały tydzień. Potem w sobotę kino, w niedzielę wycieczka i znowu to samo przez pełnych dziesięć lat. Ciekawe, że nie uświadomił sobie tego wcześniej; był zadowolony, chodził chętnie do pracy, a dopiero teraz, w ostatnim czasie zaczęło mu to brzydnąć.

— Po co to wszystko? — powtarzał sobie. — Robię te dwie rysy w żelazie po to tylko, żeby przetrwać czas pomiędzy urodzeniem a śmiercią, życie nie ma dla mnie żadnych niespodzianek.

Nic go nie cieszyło. W obecności żony uśmiechał się, kochał ją, ale kiedy znalazł się sam — był smutny i milczący. Gra w *volleyball* przestała go bawić, nie cieszyła go żadna po-

goda ani nie martwiło go, gdy deszcz lał jak z cebra. Teraz siedział przy śniadaniu zgarbiony lekko i powoli połykał kęs za kęsem.

— Nie smakuje ci?

— Smakuje, jak by mogło nie smakować, przecież wszystko jest wyśmienite.

Tak, wszystko było doskonałe, tak wyśmienite, że marzył o głodzie. O tym, żeby musiał bić się o jedzenie, ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że nic by nie zdziałał, ponieważ stracił swoją dawną przedsiębiorczość. Wreszcie skończył jeść, założył marynarkę — jadł jak wszyscy w owym czasie w koszuli — wziął kapelusz, pocałował żonę w czoło i wyszedł. W drzwiach powiedział jeszcze: — Na pociąg się już spóźniłem, na autobus także, pójdę w dół na skrzyżowanie od strony Sing Sing, może złapię tam autobus z Poughkeepsie albo mnie ktoś podwiezie. Zawsze będzie to szybciej niż następnym pociągiem.

— *Bye-bye* — powiedziała żona, pocałowała go jeszcze raz w drzwiach, tak jak to widywała w sobotę na filmie i jak się jej to strasznie podobało, a on wyszedł. Zaledwie opuścił dom, twarz jego przybrała wyraz głębokiego smutku, mimo że nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ nie patrzył w tej chwili do lustra. Szedł po łagodnym zboczku po szosie przez miasteczko wciśnięte w dolinę położoną w poprzek rzeki Hudson, doszedł do skrzyżowania przy dworcu i pomaszerował pieszo w kierunku Nowego Jorku po asfaltowej autostradzie. Przechodniów nie było tu żadnych, szosą mało kto tutaj chodził, a samochodów również było niewiele, ponieważ zbliżała się już dziewiąta i szczytowe nasilenie ruchu już minęło. Kilka samochodów minęło go wprawdzie, ale zapomniał dać im znak, ażeby go podwiozły. W ogóle w ostatnich czasach praca umysłowa postępowała u niego dużo wolniej i uświadamiał sobie każdą rzecz dopiero wówczas, gdy okazja minęła. Autostrada, opuściwszy miasto, prowadziła przez rozkwitłe gaje; było tu cicho, nigdzie nie drgnął ani listek. Słońce zaczynało prażyć, ale na szosie był cień i każdy inny na jego miejscu czułby wewnętrzną radość ze wspaniałego czerwcowego dnia, jaki zaczynał się rodzić. Pan Fox nie czuł żadnej radości, a na twarzy malowała się boleść, jak gdyby mu ktoś umarł. Ale nie umarł mu nikt i to właśnie było najgorsze. Nie myślał o niczym. Nie doszedł jeszcze do tego, ażeby uświadomić sobie swoje cierpienia duchowe, nie weszły one jeszcze w to stadium, kiedy chory stwierdza: „Skoczę do wody i będę miał spokój”, kiedy smutek jest tak głęboki, że wciska rewolwer do ręki. Do tego jeszcze nie doszedł. Na razie nie miał jeszcze humoru i nie zastanawiał się dlaczego. Kilka aut przejechało obok, a on znowu zapomniał zawołać lub dać znak, jaki daje się w Ameryce zaciśniętą pięścią i wysuniętym palcem wskazującym kierunek, w którym chce się pojechać.

Teraz samochód jechał naprzeciw. Była to wielka luksusowa maszyna i w miarę, jak się do niego zbliżała, zwalniała biegu. Za kierownicą siedział mężczyzna lat około czterdziestu, twarzy jego nie można było przez szybę dokładnie zobaczyć. Widać było jednak, że zwalniając spogląda uparcie na Foxa. Zatrzymał się tuż przed nim po drugiej stronie autostrady i coś zawołał. Fox, który zaledwie spostrzegł, iż samochód staje, zatrzymał się jednak również, ponieważ sądził, że kierowca będzie potrzebował jakiejś informacji — chociaż prawdę mówiąc jakiej, skoro samochód miał nowojorską rejestrację, jak wynikało z dwóch liter NY umieszczonych przed numerem, którego zresztą Fox nie zauważył. Mężczyzna zawołał do niego z samochodu:

— *Want a lift?* — co w dosłownym tłumaczeniu znaczy: Czy potrzebuje pan windy? a w Ameryce: Czy mam pana podwieźć? Ponieważ winda nazywa się tu *elevator*.

— Niestety, udaję się w przeciwną stronę, muszę dostać się do Nowego Jorku, do fabryki.

— *Never mind*, podwiozę pana. Jadę przez Yonkers, potem zatrzymam się tylko na jednej farmie i pojedę po 95 autostradzie przez Triboro do Nowego Jorku. Dokąd pan chce jechać?

— Do Astorii.

— Zawiozę tam pana. Z tej strony nie będzie takiego ruchu, wzdłuż Hudsonu z trudem

by się pan tam rano dostał.

— Bardzo panu dziękuję, na którą będzie pan mniej więcej w Nowym Jorku?

— Na dziewiątą, najpóźniej kilka minut po dziewiątej. Nie będę się po drodze zatrzymywał.

— Jest pan bardzo uprzejmy, więc jeśli pan pozwoli... — I pan Fox wsiadł do samochodu. Samochód zawrócił, w ciągu dwóch minut przejechali koło dworca w Yonkers i ruszyli na prawo w górę po autostradzie, którą Fox wyszedł ze swego domku.

*

Kiedy Fox wyszedł z domu, żona jego stanęła na progu i spoglądała za nim, jak przygarbiony kroczy w kierunku dworca. „Bóg wie, co się z nim dzieje — powtarzała sobie — jak gdyby życie z niego uciekło”. W ostatnim czasie jest w stosunku do niej jakiś chłodny. Wyszła do domu i spojrzała w lustro. Tak, to pewnie dlatego, że zaczyna się starzeć. Jej młode lata minęły, wszak już ma dwoje dzieci, jedno ma dziesięć, drugie jedenaście lat, a ona przeszło trzydzieści. Naturalnie nie jest to jeszcze żaden wiek dla kobiety, zwłaszcza tutaj, ale mimo wszystko patrzyła uważnie w lustro. Ciemne plamy wokół czarnych oczu, wskazujących na jej włoskie pochodzenie i nadających szczególny wyraz jej twarzy, nie były już rzeczywiście tak gładkie, było na nich trochę zmarszczek, zdawało jej się, że mięśnie jej nie są już tak sprężyste jak dawniej, a jej sylwetka traciła jak gdyby linię. Nie było to jeszcze zbyt wyraźne, ale ona zauważyła to po raz pierwszy i pomyślała, że mąż, który widzi ją co dzień, na pewno musiał to również spostrzec. I podobnie jak wiele szlachetnych kobiet obwiniała przede wszystkim siebie za brak zainteresowania ze strony męża, chociaż każdy trzeźwy obserwator musiałby przyznać, że mimo owych pierwszych objawów nie starości, ale dojrzałości, znajduje się właśnie u szczytu swych życiowych sił i dojrzałości kobiecej urody. Kobiety cierpią jednak często na tego rodzaju kompleks niższości, z którego nie zwierżają się nikomu, ponieważ niczego nie tają tak strasznie, jak pierwszej myśli o upływających latach.

Wyszła znowu przed dom i patrzyła w rannym słońcu, zadumana, na pustą szosę. Mimo że z urodzenia Włoszka, z natury była już Amerykanką i dlatego rozumowała przeważnie po amerykańsku. Tak, to pewnie dlatego, że ona mu spowszedniała, więc poświęca jej mniej uwagi; z niego już jest taki wierny niedźwiedź, na inną nie spojrzy, nikogo poza nią nie widzi i dlatego jest potem rozstrojony. Już wie, co zrobić: zaprosi do domu na jakiś czas młodą krewną. Ma taką jedną ładną siostrzenicę. Gdy jej mąż zobaczy obok siebie ładną, młodą dziewczynę, przejdzie mu apatia. Mężczyzna musi się przecież jakoś rozerwać. Było to rozumowanie typowo amerykańskie, nie miała na myśli nic dwuznacznego, jedynie to, żeby znowu widział młodość. W ten sposób myślą amerykańskie kobiety, których zazdrość jest zupełnie inna niż europejska. Ta prosta kobieta nie przypuszczała nawet, jak bliska była jednego z najlepszych środków leczniczych na zakłócenie równowagi umysłowej swego męża. Gdy tak rozmyślała, ujrzała, jak po autostradzie jedzie w górę luksusowy samochód, a w nim obok kierowcy siedzi jej mąż. Jak to, na miłość boską, możliwe, przecież jechał do Nowego Jorku, a teraz wraca. Machnęła do niego ręką, a on uśmiechnął się i skinął również. Samochód nie zwalniając biegu pojechał dalej.

— Widocznie ktoś go podwiózł, kto jedzie drugą autostradą do miasta — powiedziała sobie i wróciła do domku, żeby poświęcić się swej codziennej pracy, której było zresztą niewiele. Dzieci były w szkole, łątać im nie było co, a obiad będzie gotować dopiero po południu; lunch wezmą sobie z konserwy, więc nie miała właściwie co robić. Jej włoska natura lubiła to przedpołudniowe *dolce far niente*, ponieważ sprzątanie nie było żadną pracą, trwało wszystkiego dziesięć minut. Tak, będzie musiała tak zrobić, zaprosi do siebie siostrzenicę i może zaangażują ją gdzieś przed południem do pracy, na przykład do zmywania naczyń, przynajmniej coś zarobi i kupi ten samochód, o którym jej mąż tak marzył. Ale czy

ten samochód z jej mężem jedzie w ogóle do Nowego Jorku? Nie miał miejskiej rejestracji, było tam tylko N.Y., to znaczy stan Nowy Jork. Ale chyba jadą do pracy, inaczej jej mąż nie dałby się podwieźć.

*

— To był ktoś znajomy? — spytał kierowca Foxa.

— To była moja żona, przed chwilą pożegnaliśmy się w tym miejscu, przed samym domkiem. Dziwi się pewnie, dokąd jadę.

— Wyjaśni jej pan wieczorem — powiedział mężczyzna rzeczowo i dodał: — *Any troubles?* Ma pan jakieś kłopoty?

— Nie, dlaczego?

— Wyglądał pan tak smutno na szosie.

— Nawet nie wiedziałem — powiedział Fox. — Ale ostatnio w ogóle nie mam jakoś humoru, nic mnie nie cieszy.

— A spotkało pana coś nieprzyjemnego?

— Właściwie nie.

— Pod względem finansowym wszystko w porządku?

— Na ogół tak. Jako robotnik nie zarabiam wiele, ale nie mam też długów.

Czytelnik, który nie był w tym kraju, niech wie, że w Ameryce rozmowa na tematy finansowe nawet między ludźmi całkiem obcymi nie jest uważana za nic natrętnego. Jest rzeczą całkiem normalną, że jeśli jedziecie z kimś pociągiem, ten ktoś zapyta was, czy jesteście żonaci, ile macie dzieci, ile miesięcznie zarabiacie i ile macie zaoszczędzone w banku. Nie trzeba tutaj kryć się z pieniędzmi, które człowiek uczciwie zarobił, i nie jest żadnym wstydem mieć ładny wkład w kasie oszczędności, podobnie jak nie jest wstydem nie mieć tam niczego. Wszystko zależy przecież od zdolności, a także od szczęścia, więc po co to taić?

— Tego rodzaju smutek — ciągnął dalej mężczyzna — to może być także choroba. Sam to już przechodziłem. Człowieka ogarnia niechęć do wszystkiego, nic go nie cieszy, ale to mija.

— Ze mną dzieje się chyba coś podobnego, nic mnie teraz nie bawi; nie martwi mnie również, że spóźnię się do pracy.

Rozmowa ciągnęła się w ten sposób dalej, podczas gdy samochód przejeżdżał przez łąki i gaje, obok sadów jabłoni i osamotnionych farm. W pewnym miejscu, koło kępy drzew, mężczyzna zahamował i powiedział: — Zaraz przyjdę, nie zgaszę nawet motoru. Zamknę okno, żeby nie napływało gorąco, i włączę lodówkę. — Był to luksusowy samochód, wyposażony na upalne dni w urządzenia chłodnicze. Stali na prywatnej, opuszczonej drodze, z dala od szosy i nigdzie nie widać było ni żywej duszy. Mężczyzna odszedł, a Fox pozostał w samochodzie. Gdyby wysiadł, zauważyłby, że mężczyzna odszedł jedynie za krzak bzu i że obserwuje go bacznie przez gałęzie. Silnik warczał cicho, a Foxowi zdawało się, że do wnętrza nie wpada jedynie zimne powietrze z lodówki, ale że czuć również zapach benzyny i pomyślał sobie, że z lodówką jest coś nie w porządku.

Naraz zrobiło mu się niedobrze i zakręciło w głowie. Odetchnął głębiej i usiłował otworzyć okno, ale głowa opadła mu na piersi i zaczął tracić przytomność. Gdy tylko obsunął się na siedzenie trzymając klamkę okna, mężczyzna wyskoczył z zarośli, otworzył drzwiczki i ktoś, kto by obserwował, mógłby sądzić, że śpieszy zemdłonemu z pomocą. Wziął go za głowę, rozejrzał się, nigdzie nie było ani żywej duszy — i przywróciwszy mu naturalne położenie, wyłączył lodówkę. Zapach benzyny znikł natychmiast bez śladu. Nieznajomy otworzył okna, włączył bieg i wóz ruszył cicho po szosie.

*

Pani Foxowej dzień upłynął jak zawsze. W południe przyszli chłopcy ze szkoły, najedli się i znów wyszli. Po piątej jeszcze ich nie było, a pani Foxowa miała już przygotowany obiad. Kiedy mąż do wpół do szóstej nie wrócił, a chłopcy czekali już dłuższy czas na jedzenie, podała im obiad, a sama powiedziała sobie, że poczeka na męża. Minęła szósta, a jeszcze go nie było, więc kiedy zbliżyło się wpół do siódmej, pobiegła do sąsiedniej apteki, żeby zatelefonować do jednego ze znajomych w Yonkers, który pracował razem z mężem w tej samej fabryce. Ten oświadczył jej, że jak mu wiadomo, pan Fox w ogóle do pracy nie przyszedł, ale często się zdarzało, że w wielkiej hali w ogóle się podczas pracy ani po pracy nie widzieli. Podał jej numer fabryki, żeby zadzwoniła bezpośrednio. Pani Foxowa natychmiast to zrobiła. Portier zapewnił ją po chwili, że pan Fox tego dnia w ogóle nie przyszedł do pracy. Sprawdził to w liście nieobecnych robotników. Fox nie przyszedł ani też nie był usprawiedliwiony, na pewno będzie miał z tego powodu nieprzyjemności.

Pani Foxowa zadrzała ze strachu, czy mu się coś złego nie stało. Może mieli jakąś kraksę. Szkoda, że nie zapamiętała numeru auta. Zatelefonowała natychmiast do miejscowego komisariatu, a usłużny policjant poprosił ją, żeby poczekała chwilę w domu, a on natychmiast zapyta w centrali policji nowojorskiej, czy nie zgłoszono jakiegoś wypadku. Za dziesięć minut był u niej i zakomunikował jej, że nie zameldowano żadnego wypadku opisanego przez nią samochodu, że mąż jej nie został również przewieziony do żadnego ze szpitali, wobec czego zawiadomił już służbę dochodzeniową, która za chwilę przyjedzie. Jadąc szosą, którą prawdopodobnie jechał Fox wraz z nieznanym w drodze do Yonkers, stwierdzili równocześnie, że nie ma na szosie nic takiego, co by wskazywało na nie zgłoszoną awarię. Pani Foxowej jedzenie nie było w głowie; siedziała i czekała. A kiedy chłopcy, którzy wrócili po siódmej z boiska, spytali, gdzie jest ojciec, musiała im powiedzieć, że nie wie, że do tej pory nie wrócił, ale ma nadzieję, że nic złego mu się nie przytrafiło. Jest to zawsze najgorszy problem, jak mówić o tym z dziećmi wychowanymi w mieście, że życie nie ma żadnych cierni i nieszczęście spotyka tylko innych ludzi, ale nigdy własną rodzinę. Chłopcy przyjęli jednak wyjaśnienie z zupełnym spokojem i udali się do swej sypialni, żeby jeszcze przed zaśnięciem załatwić kilka sporów.

Minuty płynęły powoli w hallu tego skromnego robotniczego domku, w hallu z kanapą i dwoma fotelami. Rozgościł się tu smutek, nawet radio nie grało. Pani Foxowa siedziała w fotelu i patrzyła nieprzytomnie, jak ostatnie promienie zachodzącego słońca złościły stojące naprzeciwko domy i podkreślały zieleń kwitnących jaśminów. Panowała wieczorna cisza, cisza przerywana dalekim wyciem syren statków płynących po Hudsonie.

W amerykańskim miasteczku nastał spokojny wieczór, taki sam jak wszędzie na świecie.

*

W tym samym czasie Salak siedział w luksusowym hallu International w głębokim fotelu i palił po kolacji papierosa. Siedział sam i spoglądał na studentów i studentki, przechodzących obok. Nie miał na ten wieczór żadnych planów, a mimo to czuł się dobrze. Depresja jego już prawie minęła. Obecnie znowu miał chwilę, kiedy potrafił odczuwać spokojną radość życia, nawet wtedy, kiedy był sam. Zwłaszcza po obiedzie i wieczorem czuł się szczególnie zdrowy i snuł plany na przyszłość. Cekał jeszcze w tych dniach na swoje ankiety, niezupełnie gotowe, po których wprawdzie niewiele sobie obiecywał. Wiedział, że wniosą do sprawy więcej faktów, ale nie sądził, żeby przyniosły rozwiązanie. Ciągle jeszcze nie czuł się w tym kraju zadowolony; miał wrażenie, że szuka w mieście jakiegoś adresu i że nie umie przy tym czytać. Czuł się jak człowiek, któremu coś śni się tak szybko, że nie uświadamia sobie treści marzeń sennych; czuł się jak ryba, która musi szukać potrawy na lądzie, a nie potrafi tam nawet oddychać. Podświadomie zdawał sobie sprawę, że będzie potrzebował dłuższego

czasu, zanim trafi na właściwy ślad, chyba że pomoże mu przypadek. Ale w duchu życzył sobie, aby przypadek mu nie pomógł, ponieważ rozwiązywanie sprawy nie byłoby wówczas jego zasługą, a Salak znowu stał się teraz ambitny. W *lobby* panował przyjemny chłód, a przez oszklone drzwi widać było dobrze grobowiec Granta, oświetlony złotym słońcem od strony parku. Przed domem bawiły się małe dzieci. Do hallu wszedł czarny jak węgiel mężczyzna i uprzejmie pozdrowił Salaka. Był to jeden z jego znajomych, dr Ben Kegua, Murzyn z Ugandy, syn jednego z tamtejszych królów, który studiował w Nowym Jorku medycynę i studiował ją należycie długo, ponieważ, jak mówił, nie chciał wracać do domu, do Afryki, a ojciec zobowiązał się wypłacać mu sówite pobory, dopóki będzie studiował. Widocznie nie trudno mu było przekonać afrykańskiego monarchę, że studia lekarskie wśród białych mogą trwać dwadzieścia lat, a nawet więcej. O dr Kegua wiedziano, że na medycynie zna się doskonale, czemu zresztą nie należało się dziwić, zważywszy czas trwania jego studiów i wrodzone zdolności.

— Nie chcesz się trochę przejść? — spytał Ben Kegua.

— Bardzo chętnie — powiedział Salak i wyszli razem. Obaj byli tego samego wzrostu, mieli podobne sylwetki. Salak ubrany był na ciemno, a Ben Kegua na biało, ponieważ jak wszyscy Murzyni czuł specjalne upodobanie do białego koloru.

— Ładny wieczór — powiedział Kegua.

— Bardzo ładny. Jak jest u was o tej porze?

— O wiele chłodniej.

— Niemożliwe, przecież Uganda i Entebbe leżą na równiku.

— Ale prawie dwa tysiące metrów nad poziomem morza. Niech pan nie zapomina, że nasze miasto leży bardzo wysoko, u stóp góry Kilimandżaro.

— O tym rzeczywiście nie pomyślałem. Widzi pan, jaki jestem słaby w geografii. Ale niech mi pan powie, dlaczego jako następca tronu studiuje pan medycynę, a nie prawo lub coś w tym rodzaju?

— Co bym z tym u siebie robił? U nas prawa na ogół nie potrzebujemy, a żadnej gospodarki narodowej nie mamy.

— Więc dlaczego zdecydował się pan na medycynę?

— To było tak: Mój ojciec jest bardzo postępowym człowiekiem, a u nas panujący byli zawsze czarownikami. Ojciec postanowił więc oprzeć nasze czarodziejstwa na podstawach naukowych i kazał mi studiować medycynę.

Salak musiał się uśmiechnąć, kiedy wyobraził sobie, co by na to powiedzieli nasi lekarze, gdyby usłyszeli, że medycyna nie jest niczym innym jak czarami opartymi na podstawach naukowych.

Dwie dziewczynki bawiły się obok w piasku i jedna powiedziała do drugiej:

— Popatrz: pozytyw i negatyw.

— A jak myślisz, który jest wywołany?

— Ten czarny jest wywołany.

Dodać należy, że w angielskim języku brzmiało to lepiej, ponieważ *developed* znaczy wywołany, ale również dojrzały, rozwinięty. A więc w oczach tych dzieci, nie znających życia, czarny miał przewagę nad białym. Obaj musieli się roześmiać, a Salak powiedział uprzejmie:

— *You win*, pan wygrywa.

— Tylko u dzieci — powiedział Ben Kegua.

Z International House wyjrzała sekretarka i zawołała:

— Mr Salak, jest do pana telefon.

— *Many thanks* — powiedział Salak i pobiegł do *lobby*. Kto też może do niego dzwonić, pewnie ktoś znajomy.

Był to Theiler, który telefonował z dyrekcji policji.

— Dobrze, że pana znalazłem, czy ma pan wolny wieczór?

— Mam.

— Mamy tu meldunek z Yonkers, że zaginął tam właśnie pewien człowiek i, jak się zdaje, jest to sprawa z cyklu tych, jakie pan prowadzi. Jedziemy tam z oddziałem dochodzeniowym, czy chce pan pojechać z nami?

— Bardzo chętnie. Gdzie się zobaczymy?

— Pojedziemy Riverside Drive i wstąpimy po pana do International House. Niech pan będzie tak dobry i zaczeka na nas na rogu Parkway, a stamtąd dostaniemy się przez 125 ulicę na Triboro Bridge.

— *All right*, zabiorę tylko płaszcz na wypadek, gdybyśmy się zatrzymali dłużej.

— *Good*.

Theiler położył słuchawkę, a Salak dopiero teraz uświadomił sobie, że nie wziął ze sobą płaszcza i że do mieszkania już się nie dostanie. Zdecydował się pojechać tak, jak stoi; zresztą było zupełnie ciepło. Wyszedł więc przed budynek, pożegnał się z Kegua i zaledwie zdążył powiedzieć do widzenia, odezwała się syrena policyjna i zaraz potem na rogu zatrzymał się duży odkryty samochód. Był to w gruncie rzeczy mniejszy rozmiarów autobus; siedziało w nim może osiem osób, wśród nich Theiler jako dowódca wyprawy, kierowca, dwóch policjantów, lekarz, fotograf, protokolant, krótko mówiąc cała ekspedycja. Salak usiadł obok Theilera, kierowca włączył syrenę, która miała otworzyć im wszystkie skrzyżowania, i samochód ruszył pędem po łagodnym zboczu w kierunku 125 ulicy. Ruch jezdni na dźwięk syreny zamarł, jak gdyby żywa ulica zastygła w bezruchu. Mieli wolną drogę i samochód pędził bez przerwy w kierunku mostu Triboro Bridge, wjechał nań, przejechał po nim gdzieś aż nad Astorię i skierował się po autostradzie na północ. Mijali dworce kolei podziemnej, wysokie magazyny i wszystko to, co składa się na ponure peryferie miasta. Przejechali wschodnim cyplem Bronxu, następnie przez park Van Cortland pomiędzy jego starymi i wysokimi drzewami, mijając samotnych kochanków, którzy jak wszędzie na świecie szeptali swoje prawdy i kłamstwa, noszące miano marzeń o miłości. Jechali niczym złowieszczy huragan, ludzie się za nimi oglądali. Przejechali przez park, po czym znowu wjechali na peryferie miejskie owego olbrzymiego mrowiska, któremu na imię Nowy Jork i które zdawałoby się nie ma granic. Budynki jednak rzedły, a samochód mijał okolicę, gdzie na jedno pole przypadało dziesięć gajów i parków, okolicę więcej niż poetycką w owym wieczornym, zachodzącym złotym słońcu. Autostrada prosta jak sznur wznosiła się i opadała, samochód warczał cicho, syrena milczała wyłączona, a dwóch członków załogi stojąc obserwowało bacznie okolicę. Spotykali poszczególne samochody, minęli kilka pojazdów i jeden przejazd oznaczony kilkoma sygnalami świetlnymi i pędzili dalej jak mściciele, którymi też byli.

— Niech pan jedzie wolniej — powiedział Theiler — w ten sposób wiele nie zobaczymy.

Kierowca zwolnił, jechali teraz jakieś 50 kilometrów na godzinę, ale nigdzie nie spozstrzegli nic podejrzanego.

— I tak byłby to tylko przypadek, gdyby udało nam się coś znaleźć, ponieważ do miasta prowadzi tutaj sześć autostrad i gdyby szło o kraksę, toby nam już dawno o niej zameldowali. Ale człowiek nigdy nie wie...

Tak. człowiek nigdy nie wie... i w ten sposób minęli ową prywatną drogę, gdzie Fox stracił w samochodzie przytomność i gdzie samochodu dawno już nie było. Za chwilę znaleźli się w Yonkers. Zbliżała się godzina ósma i powoli ściemniało się. Zatrzymali się przed komisarzatem, mieszczącym się wyżej niż dom pana Foxa, wzięli ze sobą dwóch miejscowych policjantów, a ci zaprowadzili ich do domku, w którym czekała smutna pani Foxowa. Domyśliła się, że jada, ponieważ przed miasteczkiem, gdzie panował bardzo ożywiony ruch, włączyli ponownie syrenę; po pierwsze dlatego, ażeby mieć wolną drogę, a po drugie dlatego, żeby dodać sobie znaczenia. Salakowi bez płaszcza zaczynało być zimno, Theiler zauważył to

i spytał, gdzie ma płaszcz.

— Nie miałem czasu go zabrać — powiedział Salak, a usłużny Theiler zaczął ściągać swój, ażeby mu go podać.

— Nie, niech pan zostawi, zaraz wejdziemy do środka, przecież jesteśmy na miejscu.

— Dobrze, dam go panu, jak pojedziemy z powrotem.

Theiler był tym typem Amerykanina, który traktuje amerykańskie wychowanie na serio, i dlatego cierpiał poważnie w tym kraju, w którym inaczej się mówi, inaczej postępuje. Był do przesady usłużny dla każdego, każdemu ustępował i dlatego był wszędzie pomijany, a przy tym był wyjątkowo zdolny i bystry, tak że wiele osób miało sposobność jego bystrość wykorzystać. Był typem tworzącym jądro amerykańskiego narodu, tworzącym istotę amerykańskiego bogactwa, — kiedy silna jednostka potrafi tysiące tego rodzaju osobników wykorzystać.

Zatrzymali się przed domkiem, wyskoczyli z samochodu i wpadli do środka. Salakowi wydało się to dziwne, jak zdołają z tej wystraszonej kobiety wydobyć wszystkie szczegóły, skoro ją tak wystraszyli. Była bardzo zakłopotana, kiedy dziesięciu roślących mężczyzn wypełniło jej skromny przedpokój. Theiler zwrócił się do Salaka i powiedział:

— Czy chce pan zacząć pierwszy?

— Nie, dziękuję, nie znam tak biegle języka. Niech pan lepiej zacznie, a ja, jeśli pan pozwoli, zapytam ją później, gdy przyjdzie mi coś do głowy.

— Przyjdzie do głowy? Przecież mamy już skompletowaną ilość pytań, które jej przedłożę, a o to, czy mąż jej był w ponurym nastroju, może pytać pan, jakkolwiek to pytanie włączyliśmy już do naszej ankiety.

— Lepiej niech pan pyta, nawet o to ostatnie. Ja potem ewentualnie jeszcze uzupełnię.

Pozostali dokładnie oglądali pokój: fotograf przy sztucznym świetle sporządził dziesięć zbytecznych zupełnie zdjęć, lekarz usadowił się w fotelu i palił papierosa, a Theiler zaczął zadawać pytania:

— *Well, madam.* Niech nam pani powie wszystko, co pani wie i czego się pani domyśla.

Pani Foxowa zaczęła opowiadać cichym głosem wszystkie ranne wydarzenia, nie wspomniała tylko ani słowem o przygnębieniu męża, ale poza tym mówiła zupełnie logicznie. Na końcu dodała jeszcze, jak ostatni raz skinęli na siebie, kiedy mąż przejeżdżał samochodem.

— Kiedy samochód przejeżdżał, to kto był w nim bliżej pani? Pani mąż, czy ten nieznamy?

— Nieznamy.

I pani Foxowa podała dokładny rysopis nieznanego, o ile mogła go dobrze zaobserwować przez szybę. A więc robił wrażenie silnie zbudowanego mężczyzny, z ciemnymi włosami; był gładko ogolony, w wieku lat około czterdziestu; miał jasne oczy, ubranie popielate, kapelusz również popielaty. Jakie miał ręce? — delikatne, bez pierścieni, jedną z nich widziała wyraźnie na kierownicy; uszy średnie, nie odstające. Krótko mówiąc był to zupełnie neutralny rysopis, z którego nie dało się wiele wyczarować. Pasował do jednej trzeciej mężczyzn. Gdy go tak opisywała, Theiler zażartował:

— Z tego, co pani mówi, wynika, że to na pewno nasz Brown i wskazał na jednego z wywiadowców.

— Nie, to nie on, ale jego typ.

Potem nastąpił opis samochodu. Marki pani Foxowa nie знаła, numeru nie pamiętała, wiedziała tylko, że były tam litery N. Y., czyli że samochód był ze stanu Nowy Jork. Samochód był duży i czarny.

— Czy mogę o coś spytać? — zwrócił się Salak do Theilera.

— Oczywiście!

— Jaki wzór miał samochód na oponach?

— W taką jodełkę — odpowiedziała pani Foxowa bez namysłu.

— Proszę, niech nam go pani narysuje — poprosił Salak i podsunął pani Foxowej kawałek papieru.

Pani Foxowa narysowała dokładnie wzór mniej w owym czasie popularnego typu marki Goodyear i dodała, że przednich kół nie mogła zauważyć, ponieważ były przykryte błotnikami sięgającymi prawie do ziemi, ale na obu tylnych kołach opony były takie same.

— To ciekawe, że zapamiętała to pani tak dokładnie — powiedział Theiler. A zwróciwszy się do Salaka dodał: — Skąd pan wiedział, że pani będzie mogła powiedzieć, jakie miał opony.

— Na to zwróci uwagę każda kobieta — odpowiedział bez namysłu Salak. — Kobiety zawsze może pan zapytać, jak wyglądał wzór na oponach. Powie panu nawet wówczas, gdy nie zna się w ogóle na motorze.

— Dlaczego?

— Ponieważ są to identyczne wzory, jak przy wyszywaniu — powiedział Salak.

— *That's right* — powiedziała pani Foxowa, udowadniając w ten sposób, że pod tym względem kobiety są na całym świecie jednakowe.

— Poza tym — dodał Salak — zauważyła, że auto miało błotniki prawie do samej ziemi, co, jeśli się nie mylę, jest typowe dla marki Austin i Dodge.

— Tak — potwierdził Theiler i natychmiast zaczął pytać sam.

Jak wyglądał dach auta, jakiego kształtu były okna, ale kobieta niewiele z tego pamiętała, więc posłali miejscowego policjanta do pobliskiego sklepu z samochodami po cenniki, żeby pokazać jej modele karoserii, może wybierze któryś z nich, który byłby podobny. Theiler tymczasem pytał dalej, doszedł już do ankiety zaproponowanej przez Salaka i stwierdził, że rzeczywiście zaginiony cierpiał na depresję. Kobieta wykluczała jednak możliwość samobójstwa, nic na to bezpośrednio nie wskazywało.

Dochodzenia przyniosły więc kilka pozytywnych wyników. Przede wszystkim znany był powierzchowny bodaj opis samochodu, którym zaginiony odjechał, a poza tym znany był już dosyć dokładny rysopis mężczyzny, z którym go ostatni raz widziano. Z drugiej strony nie było wykluczone, że rzeczywiście jechał z napotkanym przypadkiem kierowcą, że następnie wysiadł i dopiero później gdzieś znikł. Nie wyjaśniona pozostała jedna okoliczność, a mianowicie: Fox jechał względnie chciał się dostać do Nowego Jorku, a widziano go jadącego w odwrotnym kierunku. Nie musiało być w tym jednak nic zagadkowego, prawdopodobnie pojechali do miasta inną autostradą. Ale w takim razie dlaczego nieznanemu nie jechał do Nowego Jorku wprost? I na to można było znaleźć wytłumaczenie — prawdopodobnie gdzieś się zatrzymał.

— Takie wnioskowanie ma duże znaczenie — oświadczył Salak, kiedy dyskutowali o wynikach podczas przesłuchania pani Foxowej.

— Możliwe — zgodził się Theiler. — Dlaczego pan tak myśli?

Salak pomyślał najpierw, że Theiler, godząc się, że to możliwe, powinien również wiedzieć, dlaczego możliwe i nie musiał udawać dobrze poinformowanego, a przy tym równocześnie indagować. Powiedział jednak sobie, że idzie o sprawę i nie będą przecież jeden przed drugim robić tajemnic — jak by to wyglądało? — i wygłosił swój pogląd.

— Jeśli ten człowiek się gdzieś zatrzymywał, w takim razie mamy możliwość znalezienia dalszych śladów. Samochód, dopóki jedzie, wymyka się spod dochodzeń policyjnych. Z chwilą jednak, gdy się zatrzyma, można go już zauważyć, podobnie jak jego pasażerów, i im dłużej samochód stoi, tym lepiej można go zapamiętać.

— Słuszna uwaga.

— Oprócz tego możemy w przybliżeniu odgadnąć, w którym miejscu samochód się zatrzymał.

— Jakim cudem, to przecież niemożliwe — wykrztusił Theiler.

— Możliwe. Niech pan słucha: nieznajomy powiedział prawdopodobnie Foxowi, że jedzie również do Nowego Jorku, to znaczy musiał niebawem skrócić w tym kierunku. Gdyby się zatrzymał dopiero gdzieś przed miastem, w takim razie pojechałby prosto przez park wzdłuż Hudsonu. Ale ponieważ jechał z miasta i skręcał w Yonkers, prawdopodobnie w kierunku 99 szosy, w takim razie musiał zatrzymać się gdzieś w pobliżu Yonkers, ponieważ w innym wypadku byłby skorzystał z przecznicy leżących bardziej na południe.

— Ma pan zupełną rację, tak, rzeczywiście — przytakiwał ochoczo Theiler.

— To znaczy, że zatrzymał się gdzieś pomiędzy Yonkers a najbliższą południową przecznicą prowadzącą do Hudsonu w kierunku 99 autostrady.

— Jest to zaledwie dziesięć minut na południe od Yonkers, trochę na północ od Sing Sing — zauważył miejscowy policjant, który bacznie przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Tak — zauważył Theiler — i zaraz możecie zatelefonować do okolicznych komisariatów, żeby się popytali. Tutaj już właściwie skończyliśmy. Czy chce pan jeszcze o coś spytać, zanim odjedziemy? — zwrócił się Theiler do Salaka.

— Chciałbym jeszcze wiedzieć, jaką pani mąż miał minę, gdy panią mijał. To znaczy, czy wyglądał na wiezionego przemocą, czy miał minę zakłopotaną, jak gdyby nie wiedział, dokąd jedzie, czy też zachowywał się normalnie? Proszę, żeby sobie pani dobrze przypomniała, ponieważ jest to dość ważne. Jeśli nie jest pani pewna, to niech pani od razu powie, żeby nas nie kierować na fałszywy ślad.

— Jestem zupełnie pewna, ponieważ widzę go jeszcze teraz. Mimo że siedział w głębi samochodu, wychylił się i widziałam go całkiem wyraźnie; uśmiechał się zupełnie naturalnie, jak gdyby chciał powiedzieć, że już jedzie do miasta do pracy i dlatego przez myśl mi nawet nie przeszło, żeby się niepokoić. Na odwrót, zaraz pomyślałam sobie, że jadą na 99 autostradę, którą rano jeździ się lepiej, ponieważ nie jest tak zatłoczona jak hudsonska, pomimo że jest trochę dłuższa.

— Dziękuję, to byłoby wszystko.

Mężczyźni pożegnali się i wyszli w gęstniejący zmrok. Na dworze zerwała się wichura, tak częsta w tej części Stanów Zjednoczonych, zrywając liście z drzew, wznosząc tumany kurzu i małe gałązki. Światła lamp kołysały się na wietrze i chwilami słychać było brzęk rozbitego szkła.

— Wstąpimy na komisariat — zdecydował Theiler. — Wydám natychmiast odpowiednie polecenia.

Weszli do pobliskiego komisariatu, do pokoju wyposażonego przede wszystkim w doskonały telefon. Theiler kazał połączyć się ze wszystkimi komisariatami pomiędzy Hudsonem, pierwszą wschodnią przecznicą pod Yonkers, a 92 autostradą, z prośbą, ażeby stwierdzono, czy nie zauważył ktoś samochodu z dwoma mężczyznami. Szczegółowy opis został kilkakrotnie odczytany przez telefon i machina policyjna zaczęła działać. Do meldunku dołączono apel pod adresem wszystkich członków policji drogowej, którzy pełnili w tym czasie służbę na wymienionych szosach, by również oni zameldowali, czy nie zauważyli samochodu odpowiadającego podanemu opisowi.

— Kiedy człowiek ich potrzebuje, nigdy ich nie widać — powiedział Theiler o policji drogowej. — Przez całą drogę patrzyłem, czy nie zobaczę którego z tych szosowych rabusiów, ale nie było po nich ani śladu. A wystarczy, żebym w niedzielę dodał trochę gazu, a już mam ich na karku i muszę płacić.

Słowa te zabrzmiały miło w uszach Salaka, ponieważ nie zapomniał jeszcze, jak płacili z Brzecziczką mandat.

Załatwiwszy wszystko, zaczęli zbierać się do odejścia. W komisariacie pożyczili Salakowi nieprzemakalny płaszcz z kapuzą, reszta włożyła swoje własne, wsiedli do samochodu i ruszyli wśród szalejącej wichury z powrotem do miasta. Jechali tym razem wzdłuż Hudsonu. Jechało się im doskonale, bo zgodnie z kierunkiem wiatru. Wieczór był przy tym koło godzi-

ny dziewiątej ciepły, a porywy wichury rzucały im na drogę zerwane kwiaty, mialki kurz — a ponieważ w Ameryce wszystko jest na większą skalę — również korki od butelek, gałązki, kamyki, słowem wszystko, co tym sposobem zmiecione zostało z każdego kąta.

Tak, w Ameryce wszystko jest na większą skalę. Tam, kiedy ktoś pije tak, że dostaje *delirium tremens* — widzi białe słonie, podczas gdy w biednej Europie zaledwie białe myszy. Zbliżyli się do miasta; wiatr zmieszał się teraz z deszczem, którego krople wielkie jak orzechy spadały im na plecy, ponieważ szybkość samochodu była mimo wszystko mniejsza niż szybkość wichury. O dziesiątej byli na miejscu i wysadzili Salaka na Parkway, w pobliżu jego mieszkania. Zwrócił im płaszcz nieprzemakalny sądząc, że te kilka kroków przez park na Riverside Drive i do 114 ulicy łatwo przebiegnie. Samochód odjechał i Salak ruszył w drogę, ale doszedł do domu dopiero za kwadrans. Wiatr spychał go tak gwałtownie, że z trudnością stawiał kroki trzymając się poręczy i domów. Ale tutaj było to rzeczą normalną. Kilku przechodniów zataczało się, na Riverside Drive świeciły tylko poszczególne lampy, większość z nich została rozbita przez wichurę, a ich opalone szkło skrzypiało pod nogami Salaka, niczym drogie kamienie. Nie była to jednak żadna większa burza; tu już jest taki zwyczaj, że prawie raz na tydzień gwałtowny wiatr rozbija latarnie uliczne, a na drugi dzień pracownicy magistratu znowu wstawiają szkło.

Do domu wrócił przemoknięty. Przebrał się więc i usiadł na chwilę w swoim pokoiku, wsłuchując się w odgłosy burzy, która oddalała się również szybko, jak przyszła. Zagrzmiało jeszcze trzykrotnie, po skrawku nieba widocznym z jego okna rozlało się światło, potem lunął deszcz, jak gdyby wylał ktoś na podwórze wiadro wody, i oto już niebo się wypogodziło, a wiatr uciszył. Salak siedział i rozmyślał. Nie ulegało wątpliwości, że był świadkiem ponownego uprowadzenia wiążącego się z ową hekatombą dwustu zaginionych; był na miejscu i nie stwierdził niczego, ani on, ani jego amerykańscy koledzy. To trudna sprawa szukać kogoś w takim tłumie ludzi i samochodów, w takich warunkach człowiek gubi się łatwiej niż na odludziu. Salak przypomniał sobie swój kraj, gdzie w prowincjonalnym miasteczku jest on tego rodzaju osobliwością, że wszyscy go zauważą, gdzie jeden przed drugim się nie schowa, a gdyby go ktoś porwał, toby o tym wiedział cały powiat, ponieważ nie da się tam ukryć niczego, tym bardziej człowieka. W tym momencie Salak wpadł na pierwszy szczęśliwy pomysł. Wpadł nań przypadkiem. Na ścichłe podwórze wpadły z jakiegoś okna dźwięki radia. Naraz z innego okna wychyliła się kobieta i powiedziała: — Proszę państwa, niech państwo ściszą aparat albo zamkną okno. Mam chore dziecko.

Salak przypuszczał, że radio przestanie grać. Ale radio grało dalej i po chwili owa kobieta wychyliła się po raz drugi i powtórzyła swoją, prośbę już energiczniejszym tonem. Naraz w muzykę radiową wmieszał się inny kobiecy głos:

— Mieszkanie jest moje, radio jest moje, okno należy również do mnie, mogę grać, jak mi się podoba.

Kobieta z chorym dzieckiem już się nie odezwała i w wieczorną ciszę wpadły z otwartego okna głośne tony walczyka z „Wesołej wdówki”, będące dowodem, jak silne jest poczucie prywatnej własności w tym potężnym kraju. Tak, chore dziecko, ale co mnie to obchodzi; przecież to nie jest moje dziecko ani dziecko znajomych. Gdyby to była jakaś znajoma, której zostałem przedstawiony, natychmiast bym zastosował się do prośby, ponieważ wychowany jestem na najlepszym uniwersytecie i znam się na grzeczności. Ale obca kobieta jak śmie domagać się, żebym przekręcił gałkę aparatu. Następnym razem zechce go jeszcze wypożyczyć, jest zanadto natrętna. A jej dziecko — w życiu go nie widziałem, więc dla mnie nie istnieje. Tak, tak właśnie rozumuje amerykański pozytywista. I rozumowanie takie jest czymś tak naturalnym w tym kraju, że kobieta z chorym dzieckiem zrozumie to i już się nie odezwie, ponieważ ta z radiem w gruncie rzeczy ma rację.

Błaha wieczorna scena pozwoliła Salakowi zrozumieć Amerykę bardziej aniżeli kilka oficjalnych kolacji, na których podsuwali mu najlepsze smakołyki, naturalnie ci, co go znali

lub którym został w należyty sposób przedstawiony. W tym momencie zrozumiał, że gdyby znalazł się gdzieś tam i był głodny, prawdopodobnie umarłby z głodu i nie nawinęłaby się dobra dusza niedawnego europejskiego pochodzenia, która by mu pomogła bez względu na to, czy go nie zna.

Otóż to jest to święte życie prywatne, którego długo nie umiał rozszyfrować. To życie prywatne właśnie niedotykalne będzie również główną drogą do rozwiązania sprawy kilkuset zaginionych.

Znowu przypomniał sobie swój kraj. Tam, gdy dziecko zachoruje, cała ulica musi wiedzieć, jaką miał wieczorem temperaturę, co powiedział lekarz, co zażywał i czy w aptece to mają. Tam jeden zagląda drugiemu po prostu do garnka. A w Ameryce? Widzisz tylko to, co właściciel mieszkania chce ci sam pokazać, ale zapytać o coś to już nie tak łatwo. Wtedy właśnie zrodził się pomysł Salaka. Tu, w Ameryce, rzeczywiście może się zdarzyć, że jeden człowiek jest w stanie zlikwidować chociażby dwieście osób i nikt się o tym nie dowie, o ile on sam nie zechce tego powiedzieć. Cała tajemnica tej sprawy tkwić będzie w świętości życia prywatnego i tam należy jej szukać. Wszystkich tych ludzi mógł zlikwidować zupełnie dobrze jeden człowiek, a ci, którzy mu przy tym pomagali, nie musieli nawet wiedzieć, o co chodzi. Tam, gdzie idzie o pewne sprawy, Amerykanin nie jest zobowiązany odpowiadać na ciekawskie pytania, ani też nikt go sam nie zapyta, ponieważ wie, że to nie wypada. A do spraw prywatnych należą w Ameryce naprawdę sprawy osobliwe. Nie będą nimi na przykład pieniądze. Salak już wiedział, że każdy mu powie, ile ich posiada, ale wiedział również, że nie powinien pytać, ile można ich pożyczyć.

Mimo że rozumowanie jego miało charakter ogólny, pozwoliło mu uczynić po raz pierwszy poważny krok naprzód na drodze do rozwikłania zagadki — chociaż on sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

VII

Na drugi dzień w dyrekcji policji odbyła się krótka narada na temat wypadku w Yonkers. Odbyła się w pokoju dyrektora i po raz pierwszy zaproszono na nią również Salaka. Oprócz dyrektora byli tam jeszcze Theiler oraz Brown, naczelnik Wydziału Śledczego Policji Państwowej mającej swą siedzibę — nie jak rząd w Albany — ale w Nowym Jorku.

— Jest oczywiste — powiedział dyrektor — że to znowu jeden z tych wypadków, kiedy znikają nam ludzie, a my nie wiemy gdzie. Prawdopodobnie chodzi o porwanie, sądząc z tego, co powiada Theiler. Co stwierdziliście poza tym?

— Nic — powiedział Theiler.

— A co pan — zwrócił się do Salaka.

— Także nic.

— Należało się tego spodziewać; samodzielne rozwiązywanie zadania nie jest rzeczą łatwą i wymaga specjalnych kwalifikacji. Jakie pan podjął kroki, Brown?

— Rozesłaliśmy komunikaty do prasy i radia z rysopisem mężczyzny w samochodzie, rozstawiliśmy posterunki na szosach, a nasi ludzie odbierają już telefoniczne meldunki.

— Czy natrafiono już na jakiś ślad?

— Nie.

— Co proponuje pan jeszcze?

Nikt nie odpowiedział, więc dyrektor cedził:

— *You*, Theiler.

— Jestem za normalnym zrutyinizowanym systemem pracy, który koniec końców przyniesie rezultaty. Potrzebujemy jeszcze więcej ewidencji.

— Jeszcze panu mało ewidencji, skoro zgubiło się panu dwustu ludzi.

— Widocznie mało, jak z tego widać. Coś musieliśmy widocznie przeoczyć. Na przykład to, że niektórzy z zaginionych cierpieli na depresję i byli w gruncie rzeczy bliscy samobójstwa.

— To nonsens. Dlaczego w takim razie nie zgłosiłby się człowiek, który Foxa wiozł. Gdyby ów człowiek był niewinny, w takim razie po komunikacji radiowym nadanym wczoraj w nocy już dzisiaj musiałby być tutaj. Z drugiej strony nie dam sobie wmówić, że jeden osobnik mógł porwać i uwięzić, ewentualnie zabić, dwieście osób...

— Dlaczego nie? — spytał Salak.

— To mogłoby się zdarzyć może u was, ale nie tutaj — powiedział dość szorstko dyrektor, a Salaka to rozgniewało:

— Myślę, że mogłoby się zdarzyć właśnie tutaj, a nie gdzie indziej, i właśnie tutaj istnieją ku temu odpowiednie warunki.

— He, jak pan to rozumie? Przecież pan Ameryki w ogóle nie zna.

— Znam ją już na tyle, żeby móc tak sądzić. Tutaj istnieje taki respekt dla życia prywatnego, że człowiek, który miałby odpowiednie środki, mógłby utopić choćby połowę miasta i nikt by go nie spytał, dlaczego tak często jeździ nad rzekę, a gdyby go się spytał, nie otrzymałby odpowiedzi i każdy uważałby to za rzecz naturalną.

— To byłoby zresztą zupełnie normalne, no nie? Dlaczego miałby ktoś odpowiadać na takie głupie pytania, tutaj ludzie nie są tak ciekawi jak Cyganie. *Gypsies, I mean Bohemians*.

— *Sorry*, ja nie jestem ani *Gypsy*, ani *Bohemian*. Jestem Czechem.

— *Well*, Salak, niech się pan nie irytuje i niech pan lepiej myśli.

— Właśnie myślenie w tym otoczeniu sprawia mi trudności — powiedział Salak — któremu było już wszystko jedno. — Ale tę sprawę, jeśli nie uda się to komu innemu, rozwiążę sam. To jest tak pewne, jak to, że pan źle trawi i że pomoże panu na to pepsynowa guma do żucia.

— Cóż to znowu za impertynencja — zdziwił się dyrektor. Reszta się uśmiechała i dyrektor rzekł w końcu z uśmiechem:

— Zdaje mi się, że wraca panu humor i irytuje się pan więcej mną aniżeli swoim zadaniem. Ale skąd pan na miłość boską wie, że źle trawię i żuję pepsynową gumę, skoro ją wypłułem na długo przed tym, zanim pan tu przyszedł?

— To bardzo proste. Tutaj w koszu na śmieci leży opakowanie, a niezależnie od tego ma pan obłożony język, zdradzający, jakie jest pańskie trawienie. Inna sprawa, że własne trawienie nie powinno być przyczyną złego traktowania podwładnych.

— *Look here*, w ten sposób nikt jeszcze ze mną nie mówił.

— *Sorry*, nie chciałem pana dotknąć ani obrazić, ale sam pan widzi, jak takie niewinne wścibianie nosa w pańskie sprawy prywatne potrafi pana rozdrażnić.

— Co to ma wspólnego ze sprawą?

— Być może dużo. Niech pan sobie wyobrazi, że sprawcą porwań mógł być całkiem dobrze jeden człowiek. Może z jakiegoś specjalnego powodu wybierał właśnie melancholików.

— W takim razie musiały to być ktoś, kto zna dobrze swoje ofiary.

— Nie byłoby to takie konieczne; melancholika łatwo poznać na pierwszy rzut oka po smętnym wyglądzie, naturalnie wówczas, kiedy sądzi, że nikt go nie obserwuje.

— *Say*, Salak — wtrącił się do rozmowy Theiler — w takim razie pan również musiałby być melancholikiem, sądząc z tego, jak pan wygląda.

— Tak. Toteż lecę się jeszcze na depresję; już mi to zresztą mija.

— W takim razie, niech pan nam wyjaśni, dlaczego pana nikt nie porwał.

— Nie można porwać wszystkich melancholików z całych Stanów. Ludzi cierpiących na depresję jest tu obecnie kilka tysięcy, interesowałem się tym. Oprócz tego ten ktoś wybięrał ludzi, dojeżdżających do pracy z innej miejscowości.

— Więc moglibyśmy podsumować fakty — powiedział dyrektor. — Może coś nam wpadnie do głowy.

— Czy będzie to możliwe tutaj, w Stanach Zjednoczonych? — spytał Theiler. — Salak jest przekonany, że dobre pomysły mogą człowiekowi wpaść do głowy tylko w Europie.

— Nigdy nic takiego nie mówiłem.

— Ale tak pan myślał. Jak wszyscy Europejczycy — dodał z uśmiechem Theiler.

— Tę debatę, panowie — powiedział dyrektor — możecie kontynuować później. Jest niezwykle interesująca, ale nie ma żadnego związku z naszym tematem.

— A więc mamy następujące fakty — zanotujcie je sobie i zwróćcie mi uwagę, jeśli coś opuszczę.

Po pierwsze: zginęło nam ponad dwieście osób, wszystko mężczyźni, żadnych kobiet. Wszyscy pochodzili ze średnich warstw społecznych, żaden bogacz, nigdy nie żądano okupu.

Po drugie: niektórzy z nich cierpieli na depresję. Przekonamy się wkrótce, ilu ich było względnie czy wszyscy zaginieni cierpieli na depresję.

Po trzecie: wszyscy dojeżdżali do pracy, wszyscy zaginęli w drodze do pracy lub z pracy.

Po czwarte: wszyscy pochodzili z okręgu Nowy Jork miasto.

Po piąte: o niektórych mamy dość przekonujące dane, że zostali porwani. Wsiadali do samochodu i nigdy nie zgłosił się kierowca, który ich ostatnio wiozł, czyli jest rzeczą prawdopodobną, że szło o porwanie. Charakterystyczne jest to, że w większości wypadków zaginęli wówczas, gdy spóźnili się w drodze do pracy lub w drodze powrotnej, co wskazuje jedynie na techniczną realizację porwania. Nieznajomy proponował im, że ich podwiezie.

— Czy są jeszcze jakieś uwagi?

Nikt nie zabrał głosu. Jasne było, że dyrektor całą sprawę przestudiował i że się w niej dobrze orientuje. Salaka znowu ogarnęła świadomość własnej nieudolności. Jak może coś wskórać wśród tych sumiennych i starannych ludzi; przecież nie pozostaje mu nic do zrobienia, nigdzie żadnej luki, którą mógłby uzupełnić swą własną bystrością. Sprawa jest trudna do rozwiązania, a co w niej do rozwiązania było, to już rozwiązano. Jemu samemu z wolna przypada rola nie kogoś, kto ma wspaniałe pomysły, ale zaledwie jednego kółka w tej amerykańskiej maszynie, kółka, które zaczyna działać na zasadzie amerykańskiego sposobu współpracy. Czuł coraz wyraźniej, jak go ów kraj wchłania i kształtuje na swoją modłę i nie umiał powiedzieć, czy dzieje się to na jego korzyść, czy niekorzyść. Dyrektor ciągnął dalej:

— Muszę podziękować za zgromadzone fakty obecnemu tu Theilerowi, a również Salakowi; rzeczywiście zdał pan bardzo dobrze egzamin, pomógł pan nam w rozszerzeniu ewidencji.

Salakowi sprawiło to radość, a Theiler powiedział:

— Nie szkodziłoby może, gdybyśmy podsumowali to, czego jeszcze nie wiemy.

— *Well*, niech pan to podsumuje — powiedział dyrektor — mimo że jest to właściwie zbyteczne. Nie wiemy, kto ich porwał, nie wiemy, dokąd ich uprowadził i czy są żywi, czy martwi. Czyli nie wiemy najważniejszego.

— Miałem na myśli raczej uboczne sprawy. Rozważenie ich niekiedy może prowadzić do celu. Nie wiemy mianowicie jeszcze, dlaczego ci ludzie zostali porwani. Wiemy, że nie dla pieniędzy, ale nie wiemy dlaczego. W dalszym ciągu nie wiemy, gdzie się znajdują. Pogrzebanie dwustu ludzi, gdyby wszyscy mieli nie żyć, nie wydaje się możliwe nawet tutaj w Ameryce. Ktoś by o tym wiedział. Nie wydaje się również zbyt możliwe, żeby trzymano ich gdzieś w niewoli. Równie trudno byłoby wywieźć ich gdzieś drogą lądową lub morską ze Stanów Zjednoczonych, ponieważ nawet w takim wypadku przynajmniej któryś z nich dałby

znać o sobie. Krótko mówiąc dwustu ludzi nie można tak łatwo ukryć, zwłaszcza gdy nie chcą być ukryci.

— W tym właśnie sęk, czy nie chcą — powiedział Salak — takiemu melancholikowi może być wszystko jedno, gdzie jest.

— O ile wiem — powiedział Theiler — to może, ale nie musi; przecież bodaj jeden z nich starałby się przesłać wiadomość. Następnie nie wiemy, czy nie odeszli ze swym porywaczem dobrowolnie.

— I jeszcze jednego nie wiemy — powiedział Salak — dlaczego porwacz wybierał jedynie ofiary w sile wieku. Nie porwano żadnego dziecka ani starszego człowieka; w gruncie rzeczy nie ma tam nikogo w wieku ponad pięćdziesiąt lat.

— To jest raczej fakt pozytywny — powiedział dyrektor — niż negatywny. Więc to byłoby, panowie, wszystko. Na razie będziemy kontynuować poszukiwania. Proponujecie jakiś zbiorowy system poszukiwań, czy raczej indywidualny?

— Niech pan wybaczy, panie dyrektorze, niezupełnie pana rozumiem — powiedział Salak. — Widać, że mimo wszystko nie znam jeszcze dość dobrze angielskiego.

— Ja znam zupełnie dobrze angielski — powiedział naczelnik Wydziału Śledczego — ale muszę się przyznać, że również nie rozumiałem. Proszę o dokładniejsze sformułowanie pytania, żebym mógł wykonać polecenie.

— U pana nie jest to nieznamość języka, lecz raczej brak bystrości, *my dear Brown*. Wyjaśnię to panu szczegółowo. Czy proponujecie, żeby poszukiwać zbiorowo wszystkich dwustu ludzi, czy też chcecie skoncentrować się na ostatnim, odosobnionym wypadku tego człowieka.

— Teraz rozumiem — powiedział Brown. — Nie mamy co proponować, ponieważ musimy robić jedno i drugie. Zawsze nam do tej pory ginęli ludzie grupami, więc spodziewam się, że będzie się to powtarzać znowu i że będzie tych wypadków więcej. Rzecz jasna, że obok świeżych wypadków nie wolno nam zaniedbywać tych, których do tej pory nie rozwikłaliśmy. Może się bowiem okazać, że tam kryją się jakieś dodatkowe szczegóły. Na przykład teraz badamy, ilu było wśród nich kolorowych i ilu z nich miało oznaki lekkiej depresji, której nie dostrzegliśmy przy pierwszych dochodzeniach.

— Nie wiem — powiedział Salak — czy z tymi depresjami nie popełniłem omyłki. Możliwe, że jest to tylko okoliczność przypadkowa, nie chciałbym, ażeby brano to pod uwagę bardziej, aniżeli potrzeba.

— Nie, mr Salak — przerwał mu dyrektor — niech pan od tego nie ucieka, ten szczegół może mieć wielkie znaczenie.

— Czy mógłbym wiedzieć, jakie znaczenie pan by mu przypisywał?

— Nie wiem.

Może ma pan jakąś teorię?

— Niech pan słucha mr Salak. My, Amerykanie, bardzo chętnie spekulujemy i stwarzamy teorie, jak wszyscy ludzie na świecie, tyle tylko, że niechętnie o tym mówimy. Każda teoria posiada jedną wadę, a mianowicie tę, że może być obalona przez inną teorię, lepszą od poprzedniej, a w takim wypadku zawsze można najeść się wstydu. Dlatego lepiej jest gromadzić fakty i tylko oceniać je w zależności od tego, czy dają podstawę do teorii, nawet gdy tej teorii nie skonkretyzujemy. A jeśli się okaże, że większość naszych zaginionych rzeczywiście cierpiała na depresję, w takim razie będzie to doniosły fakt, ponieważ mogą z niego powstać różne teorie.

— Na przykład — powiedział Theiler, jak gdyby chciał udowodnić, że w Ameryce rodzą się pomysły — może iść o klub samobójców albo o klub pocieszycieli, lub o jakąś nową, tajną sektę religijną.

— To by mi nigdy nie przyszło do głowy — powiedział Salak.

— Dlatego, że pan jest Europejczykiem, *my boy* — powiedział gruby Brown zapalając

cygaro — a Europa jest wysychającym kontynentem, gdzie wysychają również mózgi. Ale *never mind*, gdy pobędzie pan tu wśród nas dłuższy czas, będą się panu rodzić w głowie pomysły jeden za drugim.

— Ale jeśli chce pan mieć tutaj jakiś sukces, to niech pan o tych pomysłach i swojej teorii nie mówi — dodał dyrektor — my niechętnie tego słuchamy, to jest tylko jałowa spekulacja. Rozumie pan?

— Czy wolno mi zauważyć — rzekł Salak z uśmiechem — że o nich nie mówię. Właśnie w tym wypadku nie tylko że o żadnej teorii nie mówię, ale również żadnej nie posiadam.

— *All right* — powiedział Brown — to są ci ludzie z Europy. Długo im nic nie przychodzi do głowy — nam tymczasem przychodzi do głowy wszystko możliwe, ale o tym nie mówimy — potem naraz przyjdzie im coś na myśl, ni z tego ni z owego, i najkapitałniejsze jest to, że mają zazwyczaj rację.

— Więc to byłoby wszystko — powiedział dyrektor. — Brown, niech pan doprowadzi do końca wszystkie przedsięwzięcia; to znaczy uzupełnijcie te ankiety i kontynuujcie poszukiwania, a za tydzień zdacie mi sprawozdanie.

I dyrektor, nie pożegnawszy się nawet, chwycił niegrzecznie jakieś akta, które miał na biurku, i zabrał się do czytania. Reszta wstała, zamierzając się oddalić; obaj Amerykanie bez słowa pożegnania, tylko Salak ku ich wesołości ukłonił się plecami dyrektora, który w międzyczasie położył nogi na biurku, nie zwracając już na nich najmniejszej uwagi.

I od tego dnia rozpoczęła się, a właściwie posuwała się w dalszym ciągu, normalna policyjna robota — robota mrówcza, żmudna, ale będąca podstawą wszystkich solidnych dochodzeń. Nadchodziły meldunki z komisariatów szukających Foxa, nieznanego mężczyzny i samochodu, którego opis był w przybliżeniu znany. Tu i ówdzie zdawało się, że natrafiano na ślad, ale za każdym razem przy bardziej szczegółowym badaniu okazywał się nieistotny. Komisariaty starannie przesłuchiwały ludność; poszczególne osoby zgłaszały się również w wyniku komunikatów w prasie i radio, starając się przyjść policji z pomocą, lecz daremnie. Opis wszystkich faktów i rzeczy był tak niedokładny, że nie mógł prowadzić do celu, chyba przez specjalny przypadek.

Theiler wraz z Salakiem opracowywali owe meldunki i decydowali o tym, których śladów należy się trzymać, a których nie, i nie osiągnęli żadnych wyników.

Nie byli tym wcale zmartwieni. Każdy urzędnik policyjny przyzwyczajony jest do tego rodzaju roboty, wiedząc, że jest ona zawsze skuteczna, ponieważ w dziewięćdziesięciu procentach prowadzi do celu. Wymknąć się jej może jedynie wyjątkowo trudny wypadek, a o taki właśnie najwidoczniej chodziło. Na regałach dyrekcji policji gromadziły się akta. Nadeszły kwestionariusze dotyczące narodowości lub też ściśle biorąc pochodzenia zaginionych i okazało się, że są wśród nich reprezentowani mniej więcej wszyscy, tak jak zresztą wśród obywateli Stanów Zjednoczonych. A więc byli wśród nich kolorowi, i ci, którzy przybyli niedawno z Europy, a także prawdziwi, starzy, amerykańscy koloniści. Później Theiler zażądał jeszcze danych na piśmie, dotyczących wyznania zaginionych, a kiedy je otrzymał, okazało się, że reprezentowane są tam wszystkie liczne kościoły, troszczące się o dusze obywateli Stanów Zjednoczonych, od prezbiterianów i metodystów aż po katolików i co w tym było najlepsze, a co Salaka najbardziej zdziwiło — kilku zaginionych było członkami kilku kościołów, jeden z nich, z pochodzenia Arab, był nawet równocześnie mahometaninem, prezbiterianinem i katolikiem — czyli że chciał mieć zabezpieczone niebo na każdy wypadek. Kiedy Salak zaczął się tą sprawą bliżej interesować, dowiedział się, że w Ameryce nie ma w tym nic dziwnego i że kościoły są w gruncie rzeczy towarzystwami utrzymywanymi przez swoich członków i dlatego zdarzało się, że ktoś, kto chciał przypodobać się komuś, i w miejscu pobytu, i w miejscu pracy opłacał składki na rzecz innych kościołów, a w co w gruncie rzeczy wierzył, to trudno było stwierdzić. W większości wypadków prawdopodobnie w nic.

W tym kraju pozytywizmu i aktywnego chrześcijaństwa wszystkie kościoły posiadały charakter filantropijny.

Dnie płynęły, a wraz z nimi potęgował się upał w biurach, upał łagodzony jedynie od czasu do czasu ulewnym deszczem, który splukiwał ulice, zmieniał je na chwilę w potoki, które zresztą natychmiast wysychały, gdy tylko gorące słońce przedarło się przez chmury. Powietrze było tak parne, że można było się udusić w tym mieście otoczonym z wszystkich stron wodą, u mokre koszule siedzących w biurze ludzi nie wysychały w ogóle. Salak przyzwyczajał się do tego, że to nic złego mieć przeupoconą marynarkę i koszulę, drażniły go tylko przeupocone szelki i któregoś dnia odrzucił je definitywnie i nosił jedynie pasek, czując, że traci na wadze i zmienia się z korpulentnego Europejczyka w smukłego Amerykanina. Szelki przeszkadzały mu głównie dlatego, że nigdy przez noc nie wysychały, wszędzie bowiem panowała wilgoć. Nawet spodenki kąpielowe nie wysychały w ciągu nocy i co więcej, nie wysychały nawet na słońcu nad wodą. Po ulicach ledwo chodził; szedł z jednego sklepu do drugiego, ponieważ zainstalowane były w nich urządzenia klimatyzacyjne, a po kolacji wysiadywał w kinach, gdzie panował przyjemny chłód stwarzany przez liczne lodówki elektryczne.

Ale Amerykanie w tym czasie pracowali lub przynajmniej, jak powiedział Theiler, udawali, że pracują w pokojach biurowych, gdzie bez ustanku brzęczały elektryczne wentylatory pędzące gorące powietrze z jednego miejsca na drugie i stwarzające bodaj złudzenie przeciągu, będącego tu do nabycia za cenę jednego dolara tygodniowo. Lodówki automatyczne nie były jeszcze zainstalowane we wszystkich biurach. W dyrekcji policji miał ją tylko dyrektor i dlatego to jego podwładni częściej go w tym czasie odwiedzali, ponieważ można tam było zaczerpnąć świeżego powietrza, i to bez względu na fakt, że panująca tam atmosfera była bardzo nieprzyjemna.

Salak powtarzał sobie, że najlepiej byłoby nabawić się malarii i dostać przynajmniej dreszczy, ale gdy zwierzył się z tym pomysłem Theilerowi, ten roześmiał się i powiedział, że może rzeczywiście pomogłoby mu to, ponieważ temperatura to sprawa naszych subiektywnych odczuć. I natychmiast zaczął mu opowiadać, że gdy zmarznie na nartach, połyka tabletkę aspiryny, która zawsze go rozgrzewa, mimo iż zdaje sobie równocześnie sprawę, że jest to niebezpieczne, ponieważ temperatura jego ciała w rzeczywistości przy tym opada i co za tym idzie, organizm reaguje wręcz odwrotnie. Ale koniec końców, dodał, że świat nie jest niczym innym jak naszymi odczuciami i jeśli uświadamiamy go sobie wszyscy na ten sam sposób, to tylko dlatego, że mamy identyczny mózg, bo gdyby każdy z nas miał inny mózg, każdy z nas miałby również inny świat. — Niech pan słucha — powiedział — gdyby rozeznawał pan światło dopiero od promieni ultrafioletowych w górę, a ja od infraczerwonych w dół, to byśmy się w ogóle nie dogadali o kolorach.

Żaden z nich nie wiedział przy tym, jak bardzo w tej rozmowie zbliżają się do rozwiązania całej sprawy, ani też nie wiedział, że cała dyskusja zrodziła się jako podświadoma droga do tego, co musiało nastąpić — to jest do zrozumienia, dlaczego zginęło i jak się to stało, że zginęło ponad dwieście osób i nie pozostało po nich ani śladu.

Mijały dni i tygodnie, a na ich biurkach gromadziły się dalsze meldunki. Staranne przesłuchiwanie prowadzone według schematu Salaka pozwoliły stwierdzić, że mniej więcej połowa zaginionych cierpiała na pewne zaburzenia umysłowe, a druga połowa była zupełnie zdrowa; u tej drugiej należało to zupełnie wykluczyć. Kiedy Theiler segregował te meldunki, Salak powiedział:

— Mimo wszystko powinniśmy zrobić na ten temat jakąś bardziej szczegółową notatkę niż ta, że nie wszyscy cierpieli na zaburzenia umysłowe.

— Po co, przecież to znowu nam niczego nie da — powiedział zmęczonym głosem Theiler, dysząc ciężko w przedpołudniowym upale.

— Myślę, że da. Po pierwsze, człowiek, który tych ludzi porywał, wybierał sobie, albo przynajmniej starał się wybierać, melancholików, ponieważ ich procent między zaginionymi

jest daleko większy aniżeli wśród mieszkańców tego stanu w ogóle. Po drugie, jeśli chciał wybrać tylko ludzi cierpiących na zaburzenia umysłowe, dlaczego porywał również ludzi psychicznie zupełnie zdrowych? Prawdopodobnie dlatego, że odgadywał ich stan wyłącznie na podstawie zewnętrznego wyglądu i przedtem ich nie znał.

— W takim razie musielibyśmy wykluczyć ewentualność, że idzie o jakiegoś zwyrodniałego lekarza przeprowadzającego eksperymenty na ludziach.

— Wcale nie. Myślałem również i o tym. Być może wybierał sobie ofiary na pierwszy rzut oka. Zdrowych używał potem jedynie dla kontroli lub też robił z nimi coś jeszcze gorszego.

— Pan, panie Salak, popełnia znowu ten błąd, że zanadto pan rozumuje, ale mimo to moglibyśmy się poradzić jakiegoś psychiatry.

Poradzili się, szukali w państwowych szpitalach i w prywatnych sanatoriach oraz w zakładach dla umysłowo chorych, ale nigdzie nie znaleźli po zaginionych ani śladu.

— Melancholia i depresja prowadzą często do samobójstwa — powiedział im psychiatra — szukajcie trupów lub jakiegoś klubu samobójców.

Szukali i znów nie znaleźli niczego, aż w końcu Theiler powiedział:

— A co ta druga połowa, ci zdrowi?

— Nie wiem — musiał przyznać Salak. Ale myśl o klubie samobójców, ludzi odchodzących dobrowolnie od życia, długo nie wychodziła mu z głowy. Widział w tym jedno z możliwych rozwiązań, tylko że znowu problemem byli ci zdrowi.

W tym czasie rozwiązała się również koncepcja Salaka na temat zaburzeń umysłowych lub tego, jakoby ginęli wyłącznie melancholicy. Zaproponowane przez niego ankiety wykazały, że liczba zaginionych, cierpiących na depresję, była stosunkowo niewielka i nie przekraczała specjalnie procentu tej choroby wśród reszty mieszkańców. Okazało się, że dwa wypadki, które Salak osobiście śledził, były zjawiskiem czysto przypadkowym i że przy większej liczbie wypadków niepodobna wyciągać wniosków na podstawie dwóch, chociaż wykazałyby one przypadkiem identyczne i niespotykane cechy. Mijały dni i tygodnie i nie spełniło się jeszcze jego oczekiwanie, a mianowicie to, że dojdzie do zniknięcia całej grupy, ponieważ od chwili zniknięcia Foxa, po którym śladu nie zostało, nie zameldowano żadnego innego porwania. Doszło do przykrew sceny, kiedy pod koniec lipca przysłała pani Foxowa, żeby zapytać, jak przedstawia się sprawa jej męża. Nie pozostało nic innego, jak powiedzieć, że nie stwierdzono niczego. Ona również nie miała żadnych wiadomości. Fox wpadł jak kamień w wodę.

— Na pewno nie żyje — oświadczyła ze smutkiem w oczach. — Gdyby żył, na pewno przez tak długi czas znalazłby możliwość, żeby przesłać wiadomość.

Nie pozostało nic innego, jak wyrazić jej głębokie współczucie i obiecać, że policja będzie nadal prowadzić dochodzenie.

— Nie możemy powiedzieć, że nie żyje, dopóki nie znajdziemy jego ciała — powiedział Theiler, ale niezbyt pewnym głosem.

Pani Foxowa wyszła bez słowa wyrzutu na temat skrupulatności i dochodzeń, a to było chyba tym gorsze.

Tego samego zdania co Theiler była zresztą również dyrekcja policji, która odmówiła prośbie kilku kobiet uznania urzędowo mężów za zmarłych. Życie jest samolubne i idzie dalej swoją drogą, ale dyrektor policji był zdania, że można uznać za zmarłego jedynie tego, kto nie tylko umarł, ale na którym również dokonano sekcji, i dlatego kategorycznie odrzucił tego rodzaju podania.

— Niech wdowy z tym nowym małżeństwem trochę poczekają. Na to jest zawsze dosyć czasu. I tak wkrótce znowu by się rozwodziły.

Ten twardy człowiek nie rozumiał, co to jest tęskniące serce kobiety, które pragnie nie

tylko kochać, ale mieć zarazem na tę miłość jak gdyby nominację, podobnie jak urzędnik państwowy. W małżeństwie na ogół tak bywa, że tej miłości jest mało jak państwowej gaży, ale za to można być jej pewnym, chociaż w ostatnich czasach już wcale nie tak pewnym jak dawniej. Mimo że w Ameryce urzędnicy państwowi nie posiadają nominacji, kobiety ciągle jeszcze widzą ją w małżeństwie i zwyczajna miłość bez ślubu jest dla nich wprawdzie przyjemnością, lecz nie namiętnością.

VIII

Rano Salak wyjątkowo wcześniej pobiegł do dyrekcji policji. Nie mógł się doczekać, kiedy przystąpi do pracy, co było dowodem, że jego depresja ustąpiła. Był to dzień pełen niespodzianek. Pierwsza miała miejsce zaraz w Empire State Building, gdzie na parterze tłoczyło się wiele osób, oblegając jedyną windę, jaka była czynna. Salaka to zdziwiło, ponieważ nie umiał sobie wyobrazić, żeby w Ameryce mogły psuć się urządzenia techniczne. Wmieszał się więc w tłum i zapytał starszego pana, cisnącego się wraz z innymi i wołającego, że jest stary i nie może chodzić po schodach — co się stało.

— *Elevator boys are on strike* — odpowiedział lakonicznie ów człowiek, a Salak namyślał się przez chwilę, zanim przypomniał sobie, że słowo *strike* oznacza strajk i że jak z tego widać zastrajkowali windziarze. W Ameryce zawsze zaczyna się w ten sposób. Najpierw strajkują windziarze, którzy są pierwszą jaskółką zwiastującą falę strajków, do nich dołączają się potem inne zawody.

Winda nadjechała, drzwi się otworzyły i ukazał się w nich nie windziarz, ale mężczyzna w mundurze policjanta i zawołał: — Tylko do dyrekcji policji — i zaczął wybierać starannie wśród tłumu, ponieważ usiłowali się przemknąć również inni ludzie, jadący na sąsiednie piętra do różnych urzędów. Policjant był jednak nieugięty.

Kiedy winda zapełniła się do połowy, policjant zawołał raz jeszcze:

— Czy jest tu ktoś z dyrekcji policji?

Salak się zgłosił i mimo że stał na samym końcu dostał się bez trudu do windy, sądząc, że jeżeli zmieści się w niej jeszcze kilka osób, policjant wpuści je bez selekcji. Grubo się jednak pomylił, policjant zatrzasnął drzwi przed nosem młodej damy, która chętnie dałaby się podwieźć, i nacisnął guzik. W windzie znajdowali się sami mężczyźni, którzy naraz wszyscy zdjęli kapelusze, ponieważ okazało się, że wśród nich jest młoda panienczka jadąca z jakimś zleceniem na górę.

W windzie zawsze należy zdjąć kapelusz w obecności młodej damy, ponieważ może się zdarzyć, że pełen galanterii Amerykanin straci go wraz z głową, chociaż na ulicy nie zdejmie on kapelusza nawet przed małżonką Prezydenta Republiki. Winda świszczała jadąc w górę, a Salak myślał o tych nieszczęśnikach na dole, którzy muszą iść pieszo, chociażby na sto dwudzieste piętro, i nie mógł pojąć, dlaczego nie wpuszczono do windy przynajmniej tych, którzy mają coś ważnego do załatwienia. Zapytał o to policjanta, a ten odpowiedział mu w amerykańskim stylu: — To nie mój interes... — i na tym się skończyło.

Tak, nie był to jego interes, co go to mogło obchodzić, że ktoś musi dostać się na górę lub że zostawił tam ewentualnie wszystkie dokumenty. Co go to mogło obchodzić, niech sobie każdy radzi, jak umie. On miał rozkaz zawiezienia na górę wszystkich klientów i pracowników dyrekcji policji, a co się tyczy windy, to nie jego *business*.

Salak zastanawiał się już dziesiątki razy, jak to się dzieje, że w kraju, gdzie spotykał ludzi bardzo uczynnych, jak na przykład Theiler, ludzi, którzy podzieliliby się z nim ostatnim

kawałkiem chleba, są inni, którzy nie kiwnęliby palcem w bucie, żeby komuś pomóc. A przecież ów policjant, który z takim spokojem odmawiał zgromadzonemu na dole tłumowi, był dla Salaka bardzo uczynny, znali się ze sobą i byłby zrobił dla niego wszystko. Chętnie załatwiał mu dawniej różne drobiazgi, pośredniczył tam, gdzie Salak nie mógł sobie dać rady ze swoją angielszczyzną, pomógłby mu we wszystkim, a tu naraz był ordynarny. Powoli zaczęło Salakowi świtać w głowie, dlaczego się tak dzieje. Chociaż nie zdawał sobie sprawy, że cechy te wynikają z rozdwojonej umysłowości Amerykanów, którzy postępują raz tak, a drugi raz inaczej, zaczął sobie to postępowanie układać w pewien system. Przede wszystkim uczynność w tym kraju daje się zaobserwować w stosunku do osobistych znajomych. Następnie pojawia się tam, gdzie została nakazana, ale już w mniejszym stopniu. Kelner, któremu natychmiast nie powiecie, coście sobie wybrali, odbiegnie od was z obraźliwą uwagą i może się więcej nie pokazać, zwłaszcza gdy nie jest obserwowany przez szefa.

Sfery bardziej wykształcone są grzeczniejsze aniżeli mniej wykształcone, a wreszcie obowiązuje tu jedna, podstawowa reguła, którą mało kto w Europie zrozumie, a mianowicie: Amerykanin jest uczynny, dobroduszny i ofiarny przede wszystkim wtedy, kiedy ma na to ochotę, a nigdy wówczas, gdy ktoś tego przypadkiem potrzebuje.

W kancelarii Salaka wszystko wyglądało normalnie, tylko miejsce przy biurku Theilera było puste.

— Gdzie jest Theiler? — spytał Salak jednego z kolegów, ponieważ chciał zaraz z rana zakomunikować Theilerowi, co mu przyszło do głowy, a mianowicie, że zaginieni mogą reprezentować pewien kapitał, gdyby wziąć ich pod uwagę jako siłę roboczą i że należałoby również stwierdzić, czy byli członkami związków zawodowych, a następnie przespacerować się po niektórych fabrykach albo nawet wszystkich przedsiębiorstwach zatrudniających około dwustu pracowników, czy się tam gdzieś nie ukrywają lub też nie są więzieni przemocą ci, których poszukiwano.

— Nie ma go, wyjechał znowu, żeby spróbować, czy nie zostanie porwany.

Była to oryginalna koncepcja Theilera, którą starał się od dawna zrealizować, a która mu nie wychodziła. Chciał dać się porwać i w tym celu wałęsał się po amerykańskich szosach, ale mimo że kilkakrotnie został podwieszony, nigdy nie został porwany.

— Pojechał sam? — zapytał w dalszym ciągu Salak.

— Nie, wziął ze sobą ochronę, ponieważ dyrektor nie zgodził się, żeby ryzykował sam. Powiedział mu coś w tym sensie, że jego postępowanie jest całkiem naiwne, że to liczenie na przypadek, ponieważ w tym kraju jest tyle samochodów, iż jest rzeczą niemożliwą, by natrafił właśnie na porywacza. No i w ogóle, jeśli już coś takiego robi, to niech ma z sobą ochronę, która by jechała za autem porywacza, bo co by było, gdyby liczbę porwanych powiększył jeszcze wyższy urzędnik dyrekcji policji; to na pewno nie przyniosłoby policji zaszczytu. A że to mogłoby być również niebezpieczne dla Theilera, to oczywiście nie przyszło dyrektorowi do głowy.

Salak miał typową czeską naturę i czuł potrzebę natychmiastowego zwierzenia się ze swoim pomysłem i podyskutowania na ten temat. Ułożył więc trochę papiery na biurku, wstał i udał się do dyrektora. Poprosił sekretarkę, by go zameldowała. Dyrektor natychmiast go przyjął. Usłyszał wyraźnie przez drzwi donośne „yes” swego szefa, więc z niesmiałym pukaniem i głębokim ukłonem wszedł do środka.

— *Morning* — powitał go dyrektor. — Upadło coś panu?

— Nie, dlaczego?

— Bo się pan schyla. — Dyrektor, który w tej chwili siedział za biurkiem i czytał gazetę, wstał, podszedł do Salaka i również się pochylił. Wstrętne dlań było to, że ów Europejczyk mu się kłania, nie potrafił wytłumaczyć sobie tego jako oznakę należnego szacunku, ale brał to bez przerwy za dowód lizusostwa.

— *Excuse me* — powiedział Salak — ale nie mogę się odzwycząić od moich europej-

skich zwyczajów.

— Widzę, całe szczęście, że w pańskiej ojczyźnie nie chodzą nago i nie pocierają się na powitanie nosami — to byłoby jeszcze gorsze. Więc o co chodzi?

Po tych słowach szef usiadł ponownie za biurkiem i położył na jego błyszczącym blacie gazety, a potem własne nogi.

— Niech pan siada — powiedział niechętnie. Salak usiadł i zaczął mówić. Mówił powoli, ponieważ przy tym człowieku nigdy nie czuł się zbyt pewny swojej angielskiej wymowy.

— Theilera dziś tu nie ma...

— Wiem. Przychodzi pan może na niego skarżyć? Tego się u nas nie praktykuje mr Salak. — Dyrektor był znowu w żółciowym nastroju. — Z tym nie musiał się pan trudzić, jakkolwiek wydaje mi się, że pańskie zadanie nie posuwa się naprzód tylko dlatego, że się u nas zaczyna szerzyć ten pański romantyzm. Theiler wyjechał wraz z ochroną, chce, żeby go porwano.

— Chciałem się z nim naradzić w pewnej sprawie. A że go tu nie ma, więc przyszedłem do pana — powiedział Salak i nabrał oddechu, ażeby to wyjaśnić.

— He, co ma być? — zachęcał go dyrektor.

— Byłem wczoraj u pewnych ludzi, w towarzystwie przemysłowców, a tam się mówiło...

— Pan jest katolikiem? — przerwał mu dyrektor.

— Tak, dlaczego?

— Bo mi się pan tutaj spowiada, gdzie pan wczoraj był. Katolicy lubują się specjalnie w spowiedziach. Ale to zbyt ciekawe! My, Amerykanie, nie jesteśmy ciekawi, wie pan?

— Nie wiem, ale w tym towarzystwie dowiedziałem się, gdzie mógłby tkwić powód zniknięcia tych ludzi. Wszyscy oni razem wzięci reprezentują mianowicie siłę roboczą. Jest to w gruncie rzeczy załoga jednej fabryki i jeśli pracują gdzieś pod przymusem lub za niższym wynagrodzeniem, mogą reprezentować nawet pokaźny kapitał, jak mi powiedział jeden z tutejszych przemysłowców. Możliwe, że ich ktoś porwał i że dla tego kogoś gdzieś pracują...

— *Look*, Salak — powiedział dyrektor nieco grzeczniej, co w danym wypadku oznaczało jeszcze większą zjadliwość. — Przywykłem do niejednego, ale to, co pan mówi, jest tak fantastyczne, że byłoby lepiej, gdyby pan pojechał z Theilerem i gdzieś się z nim definitywnie zgubił. A co w ogóle zamierza pan konkretnie zrobić?

— Pomyślałem sobie, że moglibyśmy stwierdzić, czy wszyscy zaginioni byli członkami związków zawodowych, a następnie ustalić, które fabryki zatrudniają około dwustu pracowników.

— To pierwsze dałoby się zrobić, to drugie wątpię, tutaj ma pan tyle fabryk i przedsiębiorstw, że trwałoby to parę lat. Niech pan nie zapomina, że jest pan w uprzemysłowionym kraju. I nawet gdyby pan te wszystkie fabryki odwiedził, z trudem by pan zaginionych znalazł. Jeśli nawet pańskie przesłanki są słuszne, ten człowiek na pewno by tych ludzi tak dobrze schował, że pan by ich już nie poznał albo nie znalazł w ogóle. Czy to wszystko?

— Tak, wszystko.

— Niech więc się pan poradzi Theilera, jak wróci. Ale ja uważam te pańskie przypuszczenia za utopię.

Salak wstał i skierował się ku drzwiom, ale te naraz otwarły się gwałtownie i ukazał się w nich policjant cały pokryty kurzem i rzekł:

— *Excuse me*, przynoszę specjalny, pilny meldunek dla dyrektora.

Wobec tego Salak taktownie się oddalił.

Owego dnia był piękny poranek, jeden z tych,, jakie się zdarzają w końcu lipca, gdy powietrze przesycone jest wonią gliny wcześniej zoranych pól i zapachem dojrzewających owoców, poranek pełen przyjemnego chłodu, odświeżony poranną rosą. Tak też odczuwał go Theiler, gdy wysiadłszy z policyjnego samochodu na szosie pomiędzy Yonkers a Poughkeepsie, pomaszerował od miasteczka Yonkers, gdzie miało miejsce ostatnie porwanie, w stronę skrzyżowania z osiemdziesiątą piątą Parkway, przy której był przystanek autobusowy dla wozów kursujących z północy do Nowego Jorku. Umyślnie wybrał nie tę szosę, na której zdarzyło się ostatnie porwanie, lecz gościniec, który był w pobliżu. Wiedział dobrze, że porwanie nie powtarzało się nigdy w tym samym miejscu. Miał na sobie normalne ubranie, dosyć zniszczone, i sprawiał wrażenie niższego urzędnika lub średnio zarabiającego robotnika. Starał się wyglądać bardzo smutno i szczerze mówiąc niełatwo mu to przychodziło. Ale w głębi duszy miał zaufanie do ekstrawaganckich pomysłów Salaka i powtarzał sobie, że jednak coś w tym musi być, że ów człowiek porywał ludzi smutnych. Jeśli nawet nie byli to sami melancholicy, to widocznie na takich wyglądali; na przykład człowiek, który spóźnił się na pociąg i wie, że tym samym spóźni się do pracy, rzeczywiście jest smutny. Jeśli sprawca wybierał swe ofiary na podstawie wyglądu, nie pozostaje nic innego jak ów wygląd naśladować. Starał się więc myśleć o rzeczach smutnych i — w odróżnieniu od swych ostatnich wypraw — nie zatrzymywał aut, lecz szedł jedynie przed siebie, zachowując bez względu na ilość mijających go samochodów przygnębiony wyraz twarzy — dokładnie taki sam, jaki wystudiował w domu przed lustrem. W pewnym momencie nie mógł powstrzymać się od śmiechu na myśl, co by tak powiedział dyrektor, gdyby go w tej chwili zobaczył. Prawdopodobnie przeniósłby go na zapadłą prowincję albo wyrzucił w ogóle, ponieważ sądziłby, że jego podwładny zwariował i nie nadaje się do porządnej roboty. Około dwieście metrów w tyle stał samochód policyjny starannie zamaskowany w krzakach obok szosy, a przy nim kilku jego ludzi. W wypadku gdyby został porwany, miał zapewnioną ochronę. Szedł więc szybkim krokiem jak człowiek, któremu się śpieszy, ze zwieszoną głową i smutkiem na twarzy, postanawiając sobie, że gdy przejdzie pięćset metrów, zawróci, pomaszeruje z powrotem w stronę samochodu i powtórzy to samo jeszcze raz lub dwa, żeby nie zostawiać swoich ludzi zbyt daleko w tyle.

Zbliżała się godzina dziewiąta i słońce zaczynało przygrzewać. Okolice była falista, pól nie było tu żadnych, tylko krzewy i łąki, na których ćwierkały cykady. Z oddali dochodził gwizd lokomotyw i syren parowców na odległej rzece. Theiler kroczył właśnie koło sadu jabłoni, o gałęziach obwieszonych dojrzewającym owocem, gdy minął go samochód, jak gdyby zwalniający szybkość. Theiler był zaskoczony, ponieważ numer samochodu był mu znany. W czasie jednej ze swych poprzednich wypraw samochód ten podwiózł go i wysadził normalnie w Nowym Jorku. Zdziwił go ten przypadek w kraju miliona samochodów. Był to samochód z nowojorską rejestracją, ten sam, który wówczas zatrzymał i który go natychmiast podwiózł. Tym razem, chociaż nikt go nie zatrzymał, samochód wyprzedziwszy nieco Theilera zwolnił w widoczny sposób tempo, a kierowca wychylił się przez okienko i stanął nagle. „Widocznie mnie poznał” — pomyślał Theiler, który twarzy kierowcy nie pamiętał już dokładnie, ale pamiętał za to numer wozu. Ilekroć bowiem w czasie swych poprzednich wypraw ktokolwiek go podwiózł, zapamiętywał sobie przede wszystkim numer wozu, a następnie zapisywał go sobie jeszcze dodatkowo w domu.

— Mam pana podwieźć?! — zawołał kierowca. Theiler miał już na końcu języka słowo „nie”, ale nagle pomyślał, że nie zaszkodzi spróbować, mimo że to do niczego nie prowadzi, przynajmniej przekona się, dlaczego ten człowiek chce go podwieźć, chociaż go nie zatrzymał.

— Tak, byłbym panu wdzięczny — odpowiedział Theiler, cały czas dziwiąc się jeszcze, że ten człowiek sam mu proponuje. I natychmiast przyszła mu do głowy myśl, przy której zaparło mu oddech. Być może, że ma do czynienia z autentycznym sprawcą, ponieważ w

Ameryce podwiezienie kogoś jest rzeczą normalną, gdy się o to prosi, natomiast nie zdarza się nigdy, żeby ktoś zaproponował komu przysługę z własnej inicjatywy. Następnie przyszła Theilerowi do głowy jeszcze inna interpretacja: może go ten człowiek poznał i ponieważ go już raz podwiózł, zaproponował mu, że go podwiezie po raz drugi.

Ale Theiler miał umysł metodyczny, kształcony na wydziale filozoficznym uniwersytetu w Yale i potrafił segregować wszystko ściśle i obiektywnie. Dlatego pomyślał sobie: — Istnieją tylko dwie możliwości. Bądź ten człowiek jest sprawcą i nie pamięta, że już raz mnie podwiózł, ponieważ wówczas z jakiejś nieznanej przyczyny — o ile rzeczywiście był sprawcą — wysadził go bez przeszkód w Nowym Jorku, bądź też nie jest sprawcą i poznał go tylko z poprzedniej jazdy i dlatego zaproponował mu, że go podwiezie. Cała sprawa szybko się wyjaśni, o ile będzie udawał, że on sam go sobie nie przypomina. Jeżeli kierowca jest niewinny, wówczas natychmiast pierwszy powie, że go sobie przypomniał. Jeśli ma do czynienia ze sprawcą, w takim razie prawdopodobnie ten go nie pamięta, ponieważ z jakiejś nieznanej przyczyny Theiler mu się wówczas widocznie nie nadawał.

Wszystko to przebiegło mu przez mózg w ciągu tych kilku sekund, gdy wsiadał do auta i zamieniał z kierowcą pierwsze słowa. Kto potrafi logicznie myśleć i kto się w tym wyćwoczy, rozumowanie takie nie będzie przedstawiać dla niego trudności tak, jak gra na skrzypcach dla wirtuoza.

— Dokąd pan chce się dostać? — spytał kierowca.

— Do Nowego Jorku lub przynajmniej do jakiegoś przystanku autobusowego, z którego bym się szybko dostał do miasta. Spóźniłem się na pociąg i spóźnię się teraz do pracy.

Theiler miał przy tym smutny wyraz twarzy, starał się mówić powoli, bezdźwięcznie i apatycznie, tak jak o tym czytał w podręcznikach chorób umysłowych, w których przestudował — kierując się podświadomie hipotezą Salaka — przynajmniej partie, omawiające stany depresji. Mimo że zachowywał się i mówił apatycznie, ciekawość jego była napięta do ostateczności.

Auto ruszyło powoli, nabierając z cichym świstem szybkości, podczas gdy kierowca odpowiadał:

— Mogę pana zawieźć do Nowego Jorku, jadę tam również. Zatrzymam się tylko na chwilę po drodze.

Theilera ogarnęło jakieś nieprzyjemne uczucie, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć, ponieważ sytuacja nie różniła się w niczym od tej, jaka zwykle w takich wypadkach bywa.

— *Any troubles?* Ma pan jakieś zmartwienie? — spytał kierowca, a Theilerowi przeszło mrowie po plecach. Tak, już teraz wie, skąd się wzięło to nieprzyjemne uczucie. Konwersacja rozwijała się mianowicie w ten sam sposób, jak ostatnio. Była wprawdzie normalna, jak zwykle w takich okolicznościach bywa, ale z drugiej strony tak znów zupełnie normalna nie była; ostatnio również ten człowiek powiedział, że musi się po drodze zatrzymać, a potem się nie zatrzymał, tylko jakoś się z tego wykręcił. Wówczas także spytał Theilera, czy ma jakieś zmartwienie, a on dał mu odpowiedź przeczącą. Co ma mu odpowiedzieć teraz? Może właśnie w tej odpowiedzi tkwi przyczyna, dlaczego ów mężczyzna, jeżeli jest sprawcą, wysadził go wtedy w Nowym Jorku. Zresztą zgadzałoby się to z tym, co sobie Salak wbił do swojej europejskiej głowy — że sprawca z jakiejś nie znanej bliżej przyczyny porywa melancholików lub przynajmniej ludzi, którzy na nich wyglądają.

— Nie, specjalnych zmartwień nie mam — rzekł monotonnym głosem — właściwie mam jakby uczucie strachu, a ostatnio robota mi się jakoś nie wiedzie, wszędzie się spóźniam i jestem bez humoru...

— Możliwe, że to choroba. Długo pan na to cierpi?

Theiler ponownie zaniemówił. Nie mógł sobie mianowicie dokładnie przypomnieć, ani z lektury, ani z rozmów z Salakiem, jak długo taka melancholia może trwać, a przy tym mimo wszystko nie był zupełnie pewny, czy ten człowiek go sobie nie przypomina lub też go sobie

jeszcze nie przypomni. Gdyby mu powiedział, że cierpi na to już od kilku lat, w jaki sposób mógłby mu ewentualnie wytłumaczyć, że jeszcze przed miesiącem nie miał zmartwień, był wesoły i zadowolony. Ten człowiek poznałby bez wątpienia, że gra jego została zdemaskowana lub że przynajmniej się na to zanosi, i wysadziłby go spokojnie w Nowym Jorku. Theiler nie wiedział również, czy jeżeli powie, iż dolegliwości te trwają miesiąc, nie spotka się z odpowiedzią, że to niemożliwe. Jeśli ów człowiek bowiem zbiera z jakiejś nieznannej przyczyny melancholików, w takim razie na pewno zna dobrze objawy tej choroby bez względu na to, czy jest lekarzem, czy nie. Theilerowi nie pozostawało nic innego, jak zaryzykować jedną z możliwości. Ponieważ nie wiedział, czy melancholia może trwać kilka lat, zdecydował się odpowiedzieć, że obserwuje to dopiero od miesiąca, że przedtem miał usposobienie bardzo wesołe, raczej nawet weselsze niż normalne. Przekonał się natychmiast, że dobrze zrobił, ponieważ ów człowiek odpowiedział:

— Na pewno nie może to trwać dłużej. Wiozłem pana mniej więcej przed miesiącem, pan już sobie tego nie przypomina, a wtedy nie skarżył się pan na nic, mimo że wygląd pański wskazywał na początek tego rodzaju objawów.

Theilera po raz drugi przeszło mrowie, tym razem jeszcze bardziej nieprzyjemne. Jeżeli człowiek ów zbierał melancholików, w takim razie przyszedł moment, w którym zaczyna wpadać w sieci. Gdyby był tego całkiem pewny, wówczas by tego człowieka natychmiast aresztował i nałożył mu kajdanki. Potem już by jakoś z niego wydobyli, co zrobił z tamtymi. Theiler odwrócił się nieznacznie w stronę szerokiego okna w tyle i ujrzał kątem oka, jak na równej szosie jedzie za nimi, w odległości mniej więcej kilometra, samochód policyjny. Przeraszył się natychmiast, że kierowca również mógł to dostrzec, ale ten ostatni, jak się zdawało, nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

— Rzeczywiście, zdaje mi się, że przypominam sobie... Kiedyś był pan tak łaskaw, przepraszam, że nie przypomniałem sobie wcześniej...

Theiler nie wiedział, że osłabienie pamięci jest jednym z objawów symulowanej przez niego choroby, podobnie jak apatia i osłabiona spostrzegawczość. Umilkli obaj, a samochód świszcząc pędził po szosie, która teraz, nie wznosząc się bezpośrednio ze szczytu na szczyt, Okrężała strome zbocza okolicy Fairfield i tworzyła rozległe zakręty.

Na jednym z takich zakrętów kierowca obejrzał się ostrożnie do tyłu, a Theiler powiedział sobie w duchu „dzięki Bogu”, ponieważ w tym momencie samochód policyjny był niewidoczny. Powinien był jednak powiedzieć sobie „niestety” — auto bowiem skręciło w jakąś najwidoczniej prywatną drogę na prawo, pomiędzy gęste krzewy bzu i żywopłoty z głogu. Potem zwolniło i stanęło.

— Przepraszam pana, muszę tu coś załatwić. Zaraz wrócę, nie zatrzymam pana zbyt długo — powiedział kierowca. — Nie zgaszę nawet motoru.

Wysiadł, zamknął za sobą drzwiczki i znikł wśród krzewów na jakiejś ścieżce, która mogła prowadzić do czyjegoś domu, ale równie dobrze nie musiała nigdzie prowadzić. Szosy nie było stąd widać, ale Theiler słyszał wyraźnie świst samochodu policyjnego, który przejeżdżał po szosie i minął ich w przekonaniu, że zobaczy ich za następnym zakrętem.

Theiler zrozumiał, że obecnie zbliża się atak. Widział tego człowieka, jak znikł wśród krzaków, i sądził, że obejdzie on dookoła samochód i w jakiś sposób go zaatakuje. Dlatego patrzył za siebie. W aucie panował przyjemny chłód, okna były zamknięte, a oprócz motoru brzęczała cicho lodówka elektryczna wpędzając do wnętrza świeże powietrze. Theiler zastanawiał się właśnie, w jaki sposób nieznamy zechce go zaatakować, jeśli okna są zamknięte, a nie będzie ich przecież rozbijał kulami, gdy w tym momencie poczuł silny zapach benzyny. Już chciał otworzyć okno, ale przyszło mu do głowy, że może na tym właśnie polega trick. Przykry zapach zmusza samotnego pasażera do otwarcia okna, wtedy łatwo mu zadać szybko cios w głowę. Zawahał się więc przez chwilę i wtedy właśnie uświadomił sobie, że nie jest to jednak benzyna, lecz kelene, czyli etylchloroid, substancja dobrze mu znana od czasu, gdy

kilkakrotnie dawał sobie plombować ze znieczuleniem zęby. Zapach był coraz silniejszy i Theilerowi zaczęło się robić niedobrze. Wobec tego postanowił otworzyć równocześnie okno i drzwiczki. Jeszcze tylko pomyślał błyskawicznie, że się chyba myli, że to chyba niemożliwe, by atak był aż tak skomplikowany, gdy zakręciło mu się w głowie, a on zdając sobie sprawę, że jeszcze sekunda i podda się działaniu narkozy, otworzył zarówno okno, jak i drzwiczki i natychmiast sięgnął do tylnej kieszeni po rewolwer. Miał w niej mały browning bez stempla policyjnego, prywatny, taki właśnie, jaki noszą policjanci ubrani po cywilnemu.

Zaledwie drzwiczki się otwały, a już po drugiej stronie ukazał się na ścieżce ów człowiek i nie kryjąc się bynajmniej zawołał:

— Zdaje się, że nie trwało to zbyt długo?

Theilera to trochę zdezorientowało. Pomyślałszy więc, że atak mimo wszystko jeszcze nie nastąpił, a może nie nastąpi, wypuścił broń z ręki.

— Otworzył pan drzwiczki — ciągnął dalej nieznajomy — dobrze pan zrobił, uchodzi mi jakoś benzyna.

— Gdyby tylko benzyna... Zdaje mi się, że czuję to świństwo, którym dentyści za duże pieniądze narkotyzują swoich pacjentów...

Theiler stwierdził, że myśli mu się rozbiegają jak po alkoholu, a wówczas zaobserwował z przerażeniem, że język ma jakby zdrętwiały. Natychmiast się jednak uspokoił, ponieważ przypomniał sobie, że żadna narkoza nie może działać tak szybko; w powieściach wszystkie tego rodzaju plotki o chloroformie są przesadzone, ponieważ człowiek, zanim straci przytomność, ma jeszcze dość czasu, żeby wygrać bieg długodystansowy. Wdychając czyste powietrze stwierdził równocześnie dwie rzeczy: że narkoza nie działa zbyt szybko, ale że również zbyt szybko nie mija; czuł bowiem wyraźnie jej pierwsze stadium. Był jak gdyby pijany, z tą tylko różnicą, że przy jasnej stosunkowo świadomości wszystkie członki wydawały mu się straszliwie ciężkie, jak gdyby były z ołowiu.

Mężczyzna otworzył drugie drzwiczki, usiadł obok Theilera, wyłączył lodówkę i spytał zupełnie spokojnie:

— Jeszcze pan czuje ten zapach?

— Nie — odpowiedział Theiler i w tej chwili naprawdę poczuł się lekko zakłopotany. Mimo to znowu położył rękę na rewolwerze.

— Zaraz będzie panu lepiej — powiedział mężczyzna i udając, że włącza motor, objął nagłym ruchem Theilera, chwycił go jedną ręką za ramiona, nadeptał mu na nogi, a drugą ręką wyjął z kieszeni kawałek mokrej waty i przycisnął ją Theilerowi do nosa.

Theiler bronił się jak lew, a pierwsze stadium narkozy, przy którym człowiek jest podniecony, dodawało mu ochoty do bójki. Niestety, siła jego nie miała pola do popisu, ponieważ pozycja człowieka, który siedzi w samochodzie, nawet gdy jest to obszerne amerykańskie auto, nie nadaje się do walki. Równocześnie z każdą sekundą tracił siły w miarę tego, jak wciągał w siebie opary narkotyku. Osłabł jak ranny, z którego żył uchodzi krew i życie. Działanie narkozy nie trwa na ogół dłużej jak dziesięć sekund, chory, któremu kazano liczyć, nie doliczy do dziesięciu, a lekarze, którzy mają zwyczaj prosić chorego, by podniósł rękę, żeby stwierdzić, kiedy rozpocznie się narkoza, zapewniają, że ręka ta opada najczęściej po siedmiu sekundach.

Theiler miał już zresztą w sobie odpowiednią dawkę z lodówki w samochodzie, do której kierowca najwidoczniej poprzednio wlał narkotyzującą substancję; teraz więc był zupełnie oszołomiony. Ale na twarzy napastnika ukazał się nagle strach. Zbladł, położył głowę Theilera na oparciu, włączył gwałtownie motor i szybko wycofał się na szosę. Przestraszył się, ponieważ spostrzegł samochód policyjny, a właściwie rozpoznał mundury. Zauważył go wprawdzie już o wiele wcześniej, jeszcze zanim skręcił na boczną drogę. Jak każdy przestępca cierpiał na manię prześladowczą. Wystarczy, by w sąsiedztwie przestępca zatrzymał się żandarm i spytał go chociażby o godzinę, a już nawet najbardziej zuchwali tracą oddech i szkoda

tylko, że nie zawsze to po nich poznać.

W tym wypadku obawy napastnika były słuszne, chociaż on sam nie był pewien w stu procentach, czy samochód policyjny ściga właśnie jego.

Wycofawszy wóz na szosę, ruszył po niej z powrotem. Zaledwie zniknął za zakrętem, ukazał się znowu samochód policyjny, ale już go nie zauważył.

Policjanci pędzili jak huragan, zrobili kilka zakrętów, ale samochód, do którego wsiadł Theiler, zniknął bez śladu. Przyszło im do głowy, że musiał zjechać na jakąś ledwie dostrzegalną drogę. Przejeżdżali właśnie obok miejsca, które przed chwilą opuścił porywacz, a jeden z policjantów zawołał: — Stop! Tutaj mogli skręcić! — Szofer zatrzymał samochód, cofnął go, wjechał na boczną, prywatną dróżkę, która — jak natychmiast się przekonali — prowadziła w pole, ale moment ten wystarczył nieznanemu, by jadąc inną tymczasem szosą na północ skręcić na zachód, potem znów na północ, potem na północny zachód, a następnie na południe i znowu na zachód, tak że zanim policjanci stwierdzili, że prywatna droga prowadzi w pole, ślady porywacza, gdyby ktoś spróbował narysować je na mapie, wikłałyby się jak ścieżki labiryntu.

Samochód policyjny przemierzył kilkakrotnie szosę, ale samochód z Theilerem przepadł jak kamień w wodę. Były to godziny słabego ruchu, ale łatwiej byłoby znaleźć igłę w kopie siana aniżeli samochód zagubiony na amerykańskich szosach. Nie minęło więcej niż dziesięć minut, a już komendant samochodu, porucznik policji Cohen, wydał rozkaz nadania komunikatu do wszystkich komisariatów policji. Samochód policyjny, wyposażony w krótkofalową stację nadawczą, połączył się z centralą w Nowym Jorku i nie upłynęło nawet dziesięć sekund, a już wszystkie komisariaty w stanie Nowy Jork przejmowały następujący meldunek:

Zatrzymać natychmiast, chociażby przemocą lub palbą, samochód nr N. Y. 35 759 37. Przy strzelaniu uważać na pasażerów. Jednym z nich jest superintendent Theiler. Celować w motor albo w opony.

Natychmiast po tym komunikacie wyjechały ze wszystkich komisariatów załogi policyjne uzbrojone w karabiny maszynowe i zajęły pozycje na wszystkich skrzyżowaniach, zgodnie z planem, który każdy policjant zna doskonale na pamięć. W chwilę później samochód policyjny nadał następujący komunikat:

Wszystkie rezerwowe oddziały policji drogowej udadzą się na szosy w okręgach West Chester, Albany, Poughkeepsie i zatrzymają w jakikolwiek sposób, chociażby przemocą lub palbą, samochód... itd.

A w dwie lub trzy sekundy później rozbrzęczały się niczym ogromne trzmiel samochody marki Indian Scout, tym razem nie po to, by nakładać mandaty karne za szybką jazdę, ale by schwycić tego, który porwał Theilera.

W tym czasie dyrektor policji nie wiedząc jeszcze, co się wydarzyło, debatował spokojnie z Salakiem, gdy w pewnej chwili wpadł do gabinetu pokryty kurzem policjant.

W tym momencie byliby porywacza schwytali, gdyby rzecz jasna znajdował się jeszcze na szosie. Ale tam go już nie było, bo wystarczyło mu kilka zakrętów po szosach, o których wiedział, że policja przejeżdżać nimi będzie dopiero o wiele później, by znaleźć się w domu. Upłynęło sześć minut od chwili, gdy opuścił skrytą w krzakach dróżkę, skręcił niedaleko owego miejsca z innej strony na prywatną drogę, gęsto lamowaną bzami i świerkami, i przejechał kilka zakrętów stanął, wyjął spod siedzenia dwie tablice rejestracyjne z innym numerem, wymienił numery samochodu i zjechał przed dom. W tym momencie Theilerowi zaczęła wracać przytomność; począł się rozglądać wokół właśnie w chwili, gdy samochód

zatrzymał się przed obszernym budynkiem, ukrytym wśród bujnych koron jaworów. Pierwszym ruchem Theilera było sięgnąć po rewolwer, ale samochód już się zatrzymał, a stojący obok niego mężczyzna wziął go za rękę, wprowadził ostrożnie, lecz silnie.

— Spokojnie, przyjacielu, zaraz się panem zaopiekujemy i uwolnimy pana od pańskich dolegliwości.

— Aresztuję pana w imieniu prawa — wybełkotał Theiler. Z domu wybiegł już inny mężczyzna, a wszystko, co miało miejsce później, robiło na Theilerze wrażenie, że odbywa się w głębokiej narkozie, a on sam był tak zdezorientowany, że nie zdawał sobie sprawy, czy to sen, czy jawa.

*

— Dlaczego włazi pan bez meldowania? — spytał ostro dyrektor człowieka w uniformie, który wszedł do gabinetu.

— Przyjechałem na motocyklu z Yonkers — powiedział policjant. W tym momencie zapaliło się światelko telefonu, dyrektor podniósł słuchawkę i wysłuchał meldunku:

Tu centrala radiotelegraficzna dyrekcji policji. Referujemy wam komunikaty, które rozestaliśmy bez pańskiego zezwolenia, ponieważ uważaliśmy je za wyjątkowo pilne. Pierwszy brzmi...

Po czym nastąpił komunikat, który przed chwilą przytoczyliśmy, po nim drugi, a wreszcie wyjaśnienie do komunikatów nadanych przez samochód policyjny do centrali:

Superintendent Theiler w odległości dwóch mil za Yonkers wsiadł do samochodu nr 35 759 37, który skierował się 98 Parkway na wschód, między 65 a 66 przecznicą. Na zakręcie straciliśmy samochód z oczu. nie udało nam się go doścignąć. Po odciskach opon stwierdziliśmy, że auto skręciło w boczną drogę, z której bez wątplenia zawróciło i zniknęło, zanim udało nam się powrócić na główną szosę. Szczegóły poda w dyrekcji policji specjalny kurier, corporal Furedi.

— *Corporal Furedi?* — spytał dyrektor policjanta, który istotnie wyglądał na Węgra.

— *Yes, sir...*

— Chcecie mi coś powiedzieć?

— *Yes, sir...*

— Więc proszę, mówcie...

Policjant opowiedział wszystko, co się stało. Dyrektor nawet nie zaklął; teraz, w tej trudnej sytuacji okazał się prawdziwym mężczyzną. Nacisnął guzik i zatelefonował do operatora:

— Centralę radiową, szybko...

W sekundę później już mówił:

— Rozkaz specjalny dla całej grupy mającej rozkaz odszukania i zatrzymania wozu nr 35 759 37. Meldunki kierować bezpośrednio do dyrekcji policji w Nowym Jorku co pół godziny, meldunki negatywne również...

Wszystkie stacje odebrały ten rozkaz i przekazały go przy pomocy najstarszego systemu telekomunikacyjnego, tj. sztafety, wszystkim policjantom na szosach, co nie trwało dłużej niż pół godziny. Gdy upłynęło trzydzieści kilka minut, dyrektor otrzymał pierwszy komunikat opracowany w centrali radiowej na podstawie wszystkich meldunków. Treść jego była następująca:

Sup. Theilera do tej pory nie odnaleziono.

Sup. Theiler w tym momencie spoglądał w nie znanym sobie domu przez okno na korony jaworów i kawałek błękitnego nieba, powtarzając sobie, że jedynym człowiekiem, który mógłby go odnaleźć, jest Salak, ale że mu się to nie uda, ponieważ mimo całej swej mądrości cudów robić nie potrafi. „Jestem tak doskonale schowany, że do wieczora nikt mnie nie odnajdzie, a jutro kto wie, co się ze mną stanie”.

Przy całym spokojem dręczyło go owo obrzydliwe uczucie, jakie ma każdy człowiek popełniający błąd, którego już nie można naprawić. Tak się czuje człowiek, który z powodu własnej opieszałości spóźnił się na pociąg, mający go zawieźć na nową, intratną posadę, lub człowiek, który sprzedawszy wszystkie swe plony poniżej ceny rynkowej dowiaduje się, że mógł łatwo otrzymać dwa razy tyle. Theiler liczył się z możliwością utraty życia i miał po temu, jak wkrótce się przekonał, wiele powodów, i miał również ową strasliwą świadomość, że nie musiałyby zginąć, gdyby nie był pchał się do pułapki, którą podejrzewał. Uczucie jego było tym bardziej przykre, że trwało więcej niż godzinę, i wiedział, że trwać będzie co najmniej do wieczora albo raczej najdalej do wieczora, ponieważ jest rzeczą możliwą, iż wieczorem mogliby go znaleźć, a więc do tego czasu muszą się go tu pozbyć. Mimo że amerykańskie wychowanie uczyło go nie tracić nadziei i pomimo że już w latach szkolnych zapoznał się z przykładami całkowicie beznadziejnych sytuacji, w których jednak ludzie znajdowali ocalenie, on sam w swoim wypadku stracił naraz ową amerykańską nadzieję, kulturowaną przez szkołę, literaturę i prasę, i stwierdził, że nic innego jej nie zastąpiło — ani wiara w Boga, ani żadna filozofia życiowa, ani tępy fatalizm, krótko mówiąc — nic, tylko strach; to jedyne, co człowiekowi pozostaje w sytuacji naprawdę niebezpiecznej. On, którego uczono odwagi, w rzeczy samej odważny, drżał ze strachu w poczuciu swej bezsilności, ponieważ był umiejętnie skrupowany. Przy całym strachu przed śmiercią jedną rzecz uświadamiał sobie zupełnie jasno — to, że język ma obrzydliwie suchy od włóconego w usta knebla. To wysychanie języka dawało mu się tak we znaki, że — jak mu się zdawało — nawet perspektywa śmierci byłaby dlań znośna, gdyby tylko mógł zwilżyć sobie językiem podniebienie. A myśli jego biegły, biegły najdziwaczniejszymi torami, przypominał sobie, że nawet Chrystus doznał ulgi, gdy mu podali, wiszącemu na krzyżu, gąbkę umoczoną w occie.

Panował już południowy żar i upał, a Salak siedząc w swym gabinecie i nie mając pojęcia, co dzieje się z Theilerem, doznawał w tej chwili podobnych uczuć jak Theiler; jak gdyby jakaś telepatia istniała między tymi ludźmi, których duchowo zbliżyła wspólna praca, a których fizycznie rozdzieliła zła przygoda, wypływająca z odmiennych metod pracy. Salak również nie mógł zwilżyć językiem podniebienia, ale nie dlatego, żeby mu przeszkadzał knebel, jak Theilerowi, ale dlatego, że panował strasliwy upał, a on miał pragnienie i nie mógł zdecydować się pójść po wodę, ponieważ siedział przy biurku i wypisywał na papierze swoje kombinacje myślowe. Nie pozostało w nim już ani śladu depresji. Był pełen radości, ponieważ już wpadł na trop, już wiedział, jak się rzeczy mają, i to przy pomocy czystego rozumowania opartego na doświadczeniu.

Wyszedł z założenia, że zaginieni reprezentują siłę roboczą niezorganizowaną w Związkach Zawodowych i co za tym idzie — tanią. Nie wiedział tylko, gdzie tej nagromadzonej siły roboczej szukać. „Otóż — powtarzał sobie — ponad dwieście ludzi to w gruncie rzeczy przyzwoita fabryka, byle tylko zaprzęgnąć tych ludzi do pracy”. Nie wierzył w to, żeby ci ludzie nie żyli. Nikt przecież nie zabija dwustu osób i w tym punkcie nie zgadzał się z Amerykanami, którzy przypuszczali, że zupełnie dobrze może tu iść o masowe morderstwo. W Ameryce przyzwyczajonej pracować tylko na wielką skalę wysokie cyfry nikogo nie zdziwią, prędzej zadziwią cyfry małe. Tu Salak nie doszedł jeszcze do amerykańskiego sposobu myślenia i trudno powiedzieć, czy było to dla sprawy szkodliwe, czy pożyteczne.

W gabinecie było gorąco; wszyscy siedzieli bez marynarek i wszyscy pocili się w mokrych bluzach, i nikt na to nie zwracał uwagi. W pokoju panowała cisza, przerywana jedynie łagodnym brzęczeniem wentylatora, przypominającym Salakowi szum strumyczka płynącego przez łączkę. Ciepły wiaterek pełen poezji przesiąknięty zapachem amerykańskich papierosów, wiał z tego prozaicznego aparatu poruszanego miejskim prądem o napięciu 110 wolt, wiaterek, którego podmuch poruszał od czasu do czasu akta urzędowe falujące niczym zasiewy pod dotykiem wiosennego wietrzyka. Wiaterek łechtał bujną czupryną Salaka i pobudzał również jego myśli, które niczym południowe owoce dojrzewały szybko w tym upalnym powietrzu, wilgotnym i niespokojnym, poruszonym sztucznie i krążącym wokół polakierowanych farbą olejną ścian ponurego gabinetu.

„Założmy, że ci ludzie gdzieś pracują — myślał Salak — czy to dobrowolnie, czy pod przymusem. W takim razie można by chyba odnaleźć owe dwieście osób, przecież to już jest przyzwoite przedsiębiorstwo — powtarzał sobie w duchu nasz bohater”. Ale natychmiast sam wysunął zastrzeżenie, że właśnie w tym tkwi cała trudność. To byłoby zupełnie to samo, co szukanie sanatorium, w którym przebywałoby kilku zaginionych melancholików. Znaleźliby wielu idealnie chorych, ale ani jednego z poszukiwanych. Dotyczy to i fabryk zatrudniających dwieście lub nieco więcej osób; będzie ich bowiem w Ameryce tyle, że przespacerowanie się po nich zajmie wiele czasu.

Wzrok jego zatrzymał się na pogrążonym we mgle Central Parku, rysującym się w dole niczym wielki prostokąt wraz z mniejszym niebieskim prostokąciem mieszczącego się w środku basenu. A wokół niego niby wokół gigantycznej pestki wznosiły się kryształowe wieżowców jak gdyby zabarwionych fioletowym odcieniem w lekkiej przedpołudniowej mgle. Powietrze drżało z gorąca nad czarnymi, żałobnymi pasami asfaltowych przecznic i mogło się na tej wysokości wydawać, że martwa cisza wisi nad ową wielką szachownicą. Wentylator szumił jak skrzydło nietoperza, a myśli Salaka zatrzymały się nagle niczym zawodnik przed wysoką przeszkodą, naprężający mięśnie do skoku.

Tak to właśnie bywa, a nie tak, jak to sobie niektórzy wyobrażają. Wielka i doskonała koncepcja nie rodzi się nigdy w uroczystych okolicznościach, ale przychodzi sama, po prostu kiedy się jej spodoba, i zanim wstąpi cichym krokiem do mózgu, myśli jego właściciela kierują się ku rzeczom prostym i nie mającym z daną sprawą nic wspólnego. I w tym zapomnieniu cichy krok koncepcji milknie zupełnie, a kiedy wkroczy do naszej świadomości, ulękniemy się jej, zaskoczy nas jak ktoś nieznany i piękny; obejmiemy ją z radością jak dostojnego gościa, dziwiąc się, skąd się tu nagle wzięła, skorośmy jej nie wzywali.

Salak w danym momencie nie pisał już i nie kombinował różnych innych możliwości, nie patrzył w jeden punkt i nie rozmyślał intensywnie, nawet nie zaklął i nie wzywał ducha świętego, ponieważ świadomość jego żyła przytępiona rozmyślaniami, a mózg pragnął wytechnienia.

Pogrążył się całkowicie w lekturze gazety, którą rano kupił i do której do tej pory nie zajrzał. Na pierwszej stronie widniał wielki tytuł: ELEVATOR BOYS ARE ON STRIKE, a pod nim opisywano, dlaczego doszło do strajku windziarzy, i to właśnie podczas gorącego lata. Dziennik „The New York Times”, na ogół niezależny, w sposób widoczny nie sympatyzował ze strajkującymi, twierdząc, że jest to w gruncie rzeczy szantaż: mniej więcej tak, jak gdyby lekarze umówili się, że nie pójną do umierającego, dopóki nie nastąpi podwyżka ich uposażeń, nawet gdyby te ostatnie były w tym czasie Bóg wie jak wysokie. Następnie Salak przeczytał dokładnie wiadomość o tym, że minister spraw zagranicznych Czechosłowacji odbył długą rozmowę z niemieckim posłem, i miał ochotę splunąć. Nie zdziwił się zupełnie, że na największej plaży w Nowym Jorku znowu utopiło się w niedzielę dwieście osób, ponieważ podczas tych upałów powtarzało się to w każdą niedzielę. Podobnie nie wzruszyła go wiadomość o zamordowaniu dziewczyny na Long Island, którą znaleziono przebitą trójzębem do rozbijania lodu. Było dlań jasne, że zrobił to Włoch z pochodzenia, zapewne kocha-

nek dziewczyny, który obecnie posiedzi za kratkami. Następnie zagłębił się w artykule na temat historii strajków w ciągu ostatnich lat, dziwiąc się równocześnie, jak może istnieć w Ameryce jakikolwiek dobrobyt, jeśli ludzie co chwila strajkują. Zaczyna się zawsze niewinnie, a następnie dołączają się do tego z sympatii coraz to nowe zawody, aż wreszcie całe życie gospodarcze ulega na kilka tygodni sparaliżowaniu. Czytał i czytał, i miał uczucie, że klucz do rozwiązania zagadki nie leży na szosie ani w miejscu porwania, że nie ma co go szukać w rodzinach zaginionych, lecz ciągle jeszcze nie mógł wpaść na to gdzie. Miał uczucie dobrego psa gończego, węszącego wokół siebie, i czuł, że ów klucz spoczywa gdzieś w pobliżu, w tym właśnie pokoju. Rozejrzał się po pokoju i wydało mu się to absurdalne. Cztery biurka, tyleż samo krzesel. W pokoju tylko trzy osoby. Tamci dwaj wypełniają powoli jakieś formularze, ocierając od czasu do czasu kark chustką. Na ścianach diagramy przestępstw. Nigdzie żadnego związku z tym, co dotyczyło przydzielonej mu sprawy.

— To musi tkwić gdzieś tutaj — powiedział sobie Salak, spoglądając na grubą folię na swoim biurku, zawierającą wszystkie dane dotyczące sprawy. Folia powiększała się i był prawdopodobnie ową studnią, z której należało czerpać. Możliwe, że między nagromadzonymi faktami jest jeden, który ma decydujące znaczenie i który został przeoczony. Może teraz, jeśli przyjąć, że zaginieni mogą gdzieś pracować, znajdzie się tam coś, co wskaże, gdzie ich szukać. W grę jednak nie wchodzi dawniejszy zawód, myślał już o tym, zawody były przed porwaniem tak różnorodne, że nie dałoby się z nich zorganizować żadna fabryka produkująca coś użytecznego.

Ale nie musi to być coś użytecznego. Być może, że nawet w tym kraju racjonalizacji produkcji produkuje się rzeczy nieużyteczne. Ale chociaż rozumował na wszystkie sposoby, nie przychodziło mu do głowy nic, co byłoby zupełnie bezużyteczne.

Dalsze rozumowanie po tej linii wydawało się Salakowi zupełnie jałowe, więc ponownie zagłębił się w gazetach i zaczął czytać pasjonujący artykuł o tym, że trzeba będzie do obecnych dwudziestu wodociągów miejskich dobudować jeszcze jeden, ponieważ dotychczasowe po pięciu latach będą niewystarczające, wobec czego należałoby już teraz zapoczątkować budowę, jeśli się nie chce dopuścić do katastrofy, w wyniku której za pięć lat mieszkańcy miasta nie mogliby się kąpać w dostatecznej ilości wody.

*

Dyrektor po pierwszym komunikacie dotyczącym Theilera zawezwał do siebie naczelnika Wydziału Śledczego Browna, a posterunkowemu Furedi wydał rozkaz pozostania przy drzwiach, gdyby trzeba było jakichkolwiek wyjaśnień.

Mr Brown, colonel, wpadł za chwilę do środka z donośnym „hauarju”, podczas gdy dyrektor mówił:

— *Sit down and listen...*

Brown usiadł, a twarz jego zmieniła się w jeden znak zapytania. Dyrektor rzekł lakonicznie:

— Theiler znikł. Został porwany na oczach naszych ludzi, i to w ten sposób, że mogli co prawda przeszkodzić w porwaniu, ale umówili się, że będą porywacza śledzić. Głównym zadaniem było przecież znalezienie dwustu zaginionych, a dopiero następnym schwywanie sprawcy. W przeciwnym wypadku w ogóle byśmy ich nie znaleźli...

Następnie dyrektor wyjaśnił mu sytuację, tak jak ją poznaliśmy, a posterunkowy Furedi uzupełnił to bezpośrednim opisem. Brown gwizdnął przeciągle i przez chwilę panowała cisza. Następnie zabrał głos dyrektor:

— Nie trzeba dodawać, że cała sprawa musi być rozwiązana jak najszybciej i dlatego pana wezwałem. Niech pan wyznaczy człowieka, który poprowadzi poszukiwania zamiast Theilera, albo najlepiej niech pan poprowadzi poszukiwania sam. Co pan proponuje?

— To dosyć trudna sprawa — powiedział Brown. — Naszym najlepszym naczelnikiem jest Theiler, poza tym nie mam nikogo, komu mógłbym z czystym sumieniem to powierzyć. Naturalnie mogę zająć się tym, mimo że porwania nie są moją specjalnością. Sam pan wie, że specjalizuję się w morderstwach z zazdrości. W swojej praktyce nie miałem ani jednego porwania. Moglibyśmy to dać Cohenowi z Bostonu, to dobry fachowiec, ale boję się, że stracimy w ten sposób dużo czasu...

— Przybędzie tu na wieczór.

— Tak, ale zanim przestudiuje akta i wyrobi sobie zdanie o tych wypadkach, upłynie sporo czasu. A gdyby tak zrobić wyjątek i dać to temu Salakowi, czy jak się tam nazywa...

— Wolałbym nie — powiedział dyrektor. — Wie pan, mimo wszystko to nie nasz człowiek. Nie twierdzą, że nie jest inteligentny, ale ma rozmaite pomysły, które czuć wschodem, takie różne fantazje. Właśnie nie dalej jak dzisiaj wypowiadał mi jakąś niedorzeczną myśl. W ogóle dużo mówi o tym, co by należało robić, co by proponował, co sobie myśli, jak gdybym był jego kochanką a nie bossem. A przy tym nie przywykł do naszej metody pracy, która jest jedynie słuszna, to znaczy zdobywać fakty i ewidencję, a spekulowanie pozostawić poetom.

— A co panu dziś mówił? — powiedział Brown.

— Nawet dokładnie nie pamiętam. Głosił mi tu jakieś socjalistyczne teorie. Ale słuchaj pan, w tym jednak mogłoby coś być.

— W czym?

— Mówił mi tu, że dwieście osób to właściwie fabryka, która może dać piękne dochody, i że dwustu biedaków reprezentuje większy kapitał aniżeli jeden bogacz, o ile mianowicie ci biedacy na kogoś pracują.

— Tak powiedział? Ależ to niezły pomysł. Moglibyśmy mieć tutaj motyw... — powiedział Brown, którego amerykańskiemu umysłowi była bliska każda koncepcja, dająca się w jakiś sposób przeliczyć na dolary.

— *Well*, zawołamy go — powiedział dyrektor — albo pójdziemy do niego. Ma na biurku wszystkie akta, nie trzeba będzie tego tutaj nosić. Ale obstają przy tym, że jeśli on prowadzić będzie dochodzenia, to żeby robił to za pańską wiedzą i pośrednictwem, ponieważ cudzoziemiec nie może wydawać rozkazów naszym ludziom ani zleceń naszym służącym.

— *All right*, oficjalnie poprowadzę dochodzenie sam. Jemu przydzielę opiekuna. Opiekunowi powiem prywatnie, że ma zlecać wszystko, co sobie ten człowiek będzie życzył...

— *Right, my dear...*

Obaj mężczyźni wstali i poszli do pokoju, w którym siedział Salak. Zastali go przy biurku, czytającego z roztargnieniem gazety; podczas gdy jego wzrok przesuwiał się po wierszach — opisujących we wzruszający sposób, jak pewna gwiazda filmowa rozwiodła się ze swoim mężem, znanym komikiem filmowym — myśli jego błądziły po pokoju, ponieważ ciągle miał uczucie, że owo rozwiązanie tkwi gdzieś tutaj, prawdopodobnie w aktach. Miewał czasem tego rodzaju stany, że myślał równocześnie o dwóch rzeczach, naturalnie o obydwu ogólnie; obecnie jedną rzeczą był czytany przez niego artykuł, drugą powierzone mu zadanie.

Drzwi otworzyły się raptownie i bez pukania wszedł dyrektor i naczelnik Brown. Salak wstał i stanął na baczność, pozostali, Amerykanie, siedzieli dalej, jedynie kiwnęli głowami i tylko jeden z nich dostał lekkiego ataku grzeczności, zdjął bowiem nogę z biurka, co miało stanowić jakąś zachodnią namiastkę głębokiego ukłonu.

— Co się stało? — spytał dyrektor trochę przestraszony, gdy Salak nagle się wyprostował.

— Nic, po prostu się kłaniam. Taki jest u nas zwyczaj — odpowiedział Salak, trzymając w ręku gazetę. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, że dyrektor zobaczył go nie pogrążonego w pracy, lecz czytającego właśnie gazetę.

Dyrektor zachował wprawdzie anglosaski spokój, niemniej jednak był zirytowany, ponieważ tego rodzaju fakt irytuje każdego przełożonego na świecie: zaistniała konieczność

poważnej i nagłej roboty, on sam nie wie, za co się najpierw wziąć, a tu zastaje swego podwładnego siedzącego spokojnie z nosem pogrążonym w codziennych wiadomościach jakiegoś dziennika. Dyrektor zapominając o aktach dotyczących sprawy i nie chcąc karcnąć Salaka w obecności dwóch, służbowo niższego stopnia, pracowników powiedział:

— Chodźmy lepiej do mnie — i wyszedł pierwszy, za nim Brown, a na końcu Salak z Timesem w rękę, ponieważ zapomniał go odłożyć.

W Ameryce karcenie podwładnego zaczyna się od niewinnego pytania, następnie wygłasza się kilka ironicznych uwag, należycie dramatycznie stopniowanych, a potem nakłada się surową karę, o wiele surowszą, aniżeli odpowiadałaby przewinieniu. Zwykły pracownik za czytanie gazet, w czasie gdy jest najwięcej roboty, wyleciałby z pracy. O tym Salak wiedział; nie wiedział natomiast, jak postąpią w stosunku do niego, który był tu stypendystą. Zresztą możliwe, że wszystko skończyłoby się na kilku uszczypliwych uwagach, przecież koledzy jego również czytali czasem gazety, z tą tylko różnicą, że dyrektor ich na tym nie przyłapał.

Gdy weszli do gabinetu dyrektora, stał tam ciągle jeszcze posterunkowy Furedi.

— Proszę, niech panowie siadą — powiedział dyrektor. Brown usiadł, a Salak stał w dalszym ciągu, nie wiedząc, czy słowa te nie dotyczą Furediego. Widocznie jednak nie dotyczyły, ponieważ i w Ameryce robi się różnicę pomiędzy urzędnikiem a zwykłym posterunkowym bez średniego wykształcenia, wobec czego dyrektor powiedział do Salaka: — Niech pan siada także — i milczał przez chwilę, spoglądając na niego wodnistymi oczyma. Brown wglądał tymczasem przez okno, ponieważ nie lubił domowych scen i ostrożnie jak koza obgryzał wystającymi zębami koniec olbrzymiego cygara. Salak usiadł i miał wrażenie, że klucz do jego sprawy tkwi w tym pokoju; wrażenie bez wątplenia dziwne, ponieważ nie było tam niczego, co mieściło się w jego własnym gabinecie, tak że musiał uznać, że jego przekonanie jest zupełnie fałszywe.

— Co pan teraz robi, mr Salak — spytał go dyrektor na pozór życzliwie, przemilczając wiadomość o zaginięciu Theilera.

— Trzymam się swojej teorii, że zaginieni mogli reprezentować duże możliwości produkcyjne, i szukam śladów, które pomogłyby mi ich odnaleźć.

— I myśli pan, że je pan znajdzie w gazecie? W dzisiejszej gazecie? — rzekł dyrektor spoglądając na numer dziennika, który Salak trzymał wciąż jeszcze w rękę. — Musiałby pan pojechać chyba w teren, ślady nie bywają normalnie publikowane w gazetach, a w każdym razie nie w gazetach, czytanych w godzinach urzędowych. My nie mamy zwyczaju robić z gabinetu klubu, zwłaszcza kiedy pańska sprawa znalazła się w punkcie kulminacyjnym...

Muszę panu zakomunikować, że Theiler został dziś rano porwany, że ochrona policyjna straciła go z oczu, że cały nasz aparat postawiony jest na nogi, a pan tymczasem czyta sobie gazety, w których te wiadomości będą dopiero jutro.

W innym wypadku Salak miałby minę skruszoną, ale w miarę, jak dyrektor mówił, twarz jego zaczęła się rozjaśniać; pod wpływem słów dyrektora nagle cała sprawa stała się dla niego jasna, tak jak by ujrzał obraz przy nastawionym na ostro obiektywie aparatu. Poczł nawet dla dyrektora coś w rodzaju wdzięczności.

— *Well*, i co pan na to? — spytał dyrektor, przygotowując się do dalszych uszczypliwych uwag. Salak mimo całej wdzięczności dla dyrektora, który przypadkiem naprowadził go na ślad sprawy, zdecydował się zademonstrować antycypację swego rozumowania i udawać, że przyszło mu to do głowy samo.

— Wybacz pan, panie dyrektorze, ale ślady nie znajdują się zawsze w terenie, czasem można je znaleźć właśnie w gazecie, czytanej przez pracownika w godzinach urzędowych.

— Niech pan nie robi sobie żartów — powiedział dyrektor. — Znam pana i wiem, że potrafi pan znaleźć na wszystko inteligentny wykręt, ale w tym wypadku lepiej by pan zrobił, gdyby się pan usprawiedliwił.

— Nie rozumiem, dlaczego miałbym się usprawiedliwiać. Szukałem w tych gazetach klucza do rozwiązania sprawy i znalazłem go. Do wieczora sprawa będzie rozwikłana, znajdę zaginionych, a także, mam nadzieję, Theilera. Zresztą odniosłem wrażenie, że pan, panie dyrektorze, również zauważył pewien ślad w tej gazecie i dlatego mnie pan o to pytał, wobec czego nie sądzę, żeby trzeba było bliżej to panu wyjaśniać.

Teraz z kolei dyrektor znalazł się w nieprzyjemnej sytuacji. „Możliwe, że Europejczyk natrafił w gazecie na ślad, a możliwe, że to tylko wymówka. Twierdzi jednak, że ślad jest tak wyraźny, że ja również musiałem go zauważyć, a tymczasem nie widziałem niczego, chociaż rano przeczytałem gazetę dokładnie”.

Dyrektor zapomniał natomiast, że czytał gazety, zanim rozmawiał z Salakiem i dlatego nie mógł wpaść na ślad.

— Niech mi pan ją da — powiedział i wzięwszy gazetę do ręki dodał: — Brown, pan także czytał, niech pan popatrzy.

Brown, który z wysiłkiem starał się ukryć uśmiech, ponieważ podobało mu się, jak Salak sprytnie się wykręcił, zbliżył się do nich i razem z dyrektorem zaczął przeglądać poszczególne strony. Nie zauważyli jednak nic nowego poza artykułami, które przeglądali lub czytali dokładnie już rano, słowem nic, co by dotyczyło sprawy.

Dyrektor był w dalszym ciągu przekonany, że Salak się jedynie wykręca, a żeby wymyślić jakąś lepszą wymówkę, i powiedział:

— Nic nie widzę, niech mi pan pokaże. Czy pan Brown coś widzi?

— No — odpowiedział naczelnik Wydziału Śledczego.

Salakowi wystarczyła ta chwila, a żeby jeszcze raz wszystko sobie rozważyć i sprecyzować swoje myśli.

— Niech pan słucha, panie dyrektorze. Powiedzieliśmy sobie, że jedynym motywem zaginięcia tych ludzi — oprócz anormalności sprawcy, którą z góry można wykluczyć, ponieważ sprawa ciągnie się od dwóch lat, co wskazuje na jej konsekwencję — mogłaby być wartość zaginionych jako siły roboczej, reprezentujących poważny kapitał.

— Nie, nie rozumiem dobrze — powiedział Brown. — Niech pan mówi krótkimi zdaniami.

Naczelnik Wydziału Śledczego był człowiekiem otyłym i ze względu na trudności w oddychaniu mówił tylko krótkimi, prostymi zdaniami. Poza tym był wychowankiem pewnego uniwersytetu w stanie Connecticut, na którym tamtejsi profesorowie pod wpływem pewnego filozofa zmuszali uczniów, żeby w wypracowaniach i przy egzaminach wyrażali swoje myśli jak najlapidarniej. Wynik był ten, że wykształconego człowieka z tego stanu można było poznać na pierwszy rzut oka po krótkim sposobie wyrażania się i można było pomyśleć, że wszyscy ci ludzie są absolwentami jakiejś akademii wojskowej.

— Więc powiem panu krócej — powiedział Salak który czuł się panem sytuacji. — Jeśli ktoś tych ludzi uprowadził w tym celu, żeby dla niego pracowali, w takim razie zależy mu, a żeby pracowali bez przerwy i nie brali udziału w żadnym strajku, który na przykład wybuchł dzisiaj wśród windziarzy, a jutro rozszerzy się na inne zawody.

— Może pan ma i rację — przyznał dyrektor — ale u nas rzadko kiedy strajkują wszystkie fabryki.

— W tej gazecie jest na ten temat artykuł. W ciągu ostatnich pięciu lat wszystkie przedsiębiorstwa, zarówno w tym, jak i w sąsiednich stanach, ogarnięte były krótszymi lub dłuższymi strajkami, za wyjątkiem jednego, a mianowicie fabryki zabawnych przedmiotów w Older Valley koło Reading w Connecticut. W roku ubiegłym strajkowali na przykład wszyscy robotnicy przemysłu papierniczego dwukrotnie, ale wymieniona fabryka nie strajkowała, na odwrót, potrafiła podołać zamówieniom innych jeszcze fabryk. Emisariusze, którzy usiłowali skłonić tamtejszych robotników do strajku, spotkali się z niepowodzeniem — ci ludzie pracowali dalej. A było to w czasie, kiedy nawet więźniowie zatrudnieni w przemyśle papierni-

czym również strajkowali.

— Doskonale — powiedział Brown. — Gratuluję. Ale czy to prawda? Może to być przypadek. Fabryka zabawnych przedmiotów. Nigdy nie słyszałem. Co to jest?

— Wyrabiają tam różne dziwne przedmioty: wydmuchują ze szkła bańki do nosa, zapalki, które się nie palą, papierosy wybuchające w ustach, plamy z atramentu, którymi możecie przestraszyć gospodynię, kładąc je na haftowanym obrusie, szklanki, z których nie można się napić herbaty, karty, które się skleją, i tym podobne przedmioty. Nie uwierzylibyście, jak bardzo, według tej statystyki w gazecie, jest ten handel rozpowszechniony.

— Ciągłe jeszcze nie zdaje mi się to prawdopodobne — powiedział dyrektor. — Wie pan, panie Salak, pan ma genialne pomysły i ma ich pan wiele, a wszystkie cechuje jedna wspólna wada — że są nierealne. Na to musiałyby pan mieć jeszcze inne dowody. Możemy oczywiście tam pojechać, ale myślę, że wrócimy rozczarowani.

— Dowodów oczywiście nie mam — powiedział Salak — ale niech pan spojrzy na tę statystykę strajków w ciągu ostatnich dwóch lat. Zawsze ilekroć drobny przemysł papierniczy strajkował, tylekroć ginęli nam masowo ludzie. Krótko mówiąc, fabryka miała w tym czasie więcej roboty, więc zdobywali sobie robotników po prostu porywając ich. Mogę panu przynieść dane dotyczące zaginionych i zobaczy pan, że liczba zaginionych ma związek z nasileniem strajków.

Salak znał już doskonale całą sprawę na pamięć. Wiedział nie tylko, kiedy kto zaginął, ale również, jak wygląda na fotografii i jaki był jego zawód. Przewertował wszystkie akta wielokrotnie, teraz nie potrzebował do nich zaglądać i mógł zwrócić uwagę na ślad tak ogólny i mimowolny, jakim była zamieszczona w gazecie statystyka strajków.

— To ważny szczegół — powiedział Brown. — Ale dlaczego ci ludzie nie uciekają? Przecież nie trzymają ich tam w kajdanach? Co ich tam trzyma, niech mi pan powie.

— Tego nie wiem.

— Ale sprawa jest ważna i pilna — powiedział dyrektor. — Może więc będzie lepiej, jeśli weźmiecie oddział operacyjny i pojedziecie przekonać się na miejscu. Brown, niech pan każe któremuś z ludzi objąć komendę, niech słucha poleceń Salaka. Zabierzcie się już do tego. Nie zapominajcie, że gdzieś tam jest Theiler, przed chwilą otrzymałem następny meldunek, znowu negatywny.

— Pojadę sam, bez operacyjnego — powiedział Brown. — Salak pojedzie ze mną. Nie trzeba, żeby komenderował ktoś inny. Może zajść konieczność natychmiastowej decyzji.

— Dobrze — zgodził się dyrektor — ale to nie znaczy, że macie zrobić napad na tę fabrykę i splądrować ją. Mimo że teoria Salaka wygląda bardzo prawdopodobnie, może się on również mylić i sedno sprawy może tkwić zupełnie gdzie indziej. Postarajcie się najpierw prywatnie o dokładne informacje na miejscu i dopiero potem, gdy będziecie je mieli, przeprowadźcie dochodzenie. Byłaby to straszna kompromitacja, gdybyście wywołali w tej fabryce panikę, a potem by się okazało, że nie ma to z naszą sprawą nic wspólnego.

— *Of course* — powiedzieli równocześnie Brown i Salak. Brown dodał jeszcze: — Jedziemy natychmiast do Older Valley — i tymi słowy pożegnali dyrektora.

X

— Nim człowiek przystąpi do jakiejś akcji, musi się najpierw najeść — powiedział Brown do Salaka i było to prawdopodobnie najdłuższe zdanie, jakie kiedykolwiek wygłosił. Następnie ciągnął dalej we właściwy sobie sposób: — Zatelefonuję po oddział operacyjny.

Zbliża się południe. Najpierw się najemy. Pojedziemy do kantyny albo restauracji. Co chce pan wziąć ze sobą?

— Ja nic — powiedział Salak. — Gdybyśmy potrzebowali pomocy, będziemy mieli przecież kilku ludzi. Najważniejsze jest to, żeby wybrać się natychmiast w drogę, ponieważ nie mogę oprzeć się wrażeniu, że główna przyczyna wszystkich uprowadzeń jest nam do tej pory nie znana.

— Wiem. Dlaczego nie wrócili? Co ich trzyma? Jakiego gwałtu się dopuszczono?

— Tak.

Salak uświadomił sobie naraz, że nigdy dotąd nie zauważył u Browna owej cechy mówienia krótkimi zdaniem. W ogóle dopiero teraz zaczął dostrzegać, jak różne są charaktery i różnorodne obyczaje ludzi w Ameryce, zobaczył i inne drobne różnice, które nadają człowiekowi cechy indywidualne. Z początku zdawało mu się, że tutaj wszyscy ludzie są zupełnie jednakowi, że nie ma między nimi różnic, a teraz wiedział już, który z nich jest zły, a który poczciwy, który próżny, a który lekkomyślny; nie wiedział tylko, czy stwierdził to wszystko dlatego, że jego depresja znikła, czy też dlatego, że nauczył się dobrze po angielsku. Wreszcie uznał obydwa powody i dodał jeszcze trzeci: ponieważ osobowość człowieka w tym kraju jest w znacznym stopniu zniwelowana przez wychowanie — potrzebna jest dłuższa obserwacja, zanim zacznie się różnice rozeznawać.

Poszli razem na lunch, ale nie do kantyny, gdzie nie było jeszcze nic gorącego, ale do mleczarni na rogu Broadwayu; zjedli tam dwa sandwicze z hamburgerem, czyli siekanym i pieprzonym befsztykiem, opieczonym szybko na rożnie i włożonym pomiędzy dwa kawałki białej bułki, popili to dużą ilością białej kawy, do której Brown wypalił czarne cygaro, a Salak dwa papierosy Phillip Morris, po czym wyszli na skapaną w południowym słońcu ulicę i ujrzeli na rogu dwa samochody: jeden zwykły, osobowy, nie rzucający się w oczy, drugi — policyjny, zajęty przez policjantów w mundurach. Siedli do osobowego samochodu, Brown wydał rozkaz komendantowi wozu policyjnego w swój lakoniczny sposób: — Ridgefield, Conn. Szybko. Przez Brooklyn Bridge. Long Island Parkway Thirty Three. W Ridgefield czekać na nas. Stamtąd do Older Valley. Wolno za nami boczną Connecticut 157. Na zakręcie przed fabryką stanąć, jedziemy aż do fabryki. Po godzinie, jeśli nie wrócimy, obsadzić fabrykę.

— Jaką fabrykę? — spytał dowodzący porucznik.

— Older Valley. Zobaczycie jej komin z pierwszego pagórka za Ridgefield. Damy wam sygnał. Jedziemy.

— Skąd pan tak dobrze się orientuje, skoro pan nie popatrzył nawet na mapę — spytał Salak siadając do osobowego auta, które na pozór nie różniło się od innych osobowych, z tą tylko różnicą, że miało rejestrację, znaną wszystkim policjantom jako rejestracja głównej komendy policji.

— Przypadek — powiedział Brown. — Pochodzę z Ridgefield. Orientuję się w tych stronach.

— Zna pan właściciela fabryki?

— Obecnie nie znam. Nie byłem tam dwadzieścia lat. Fabryka zmieniła właściciela. Dawniej wyrabiano tam krzesła.

I oto, donośnie jak podczas alarmu lotniczego, zawyła już syrena samochodu policyjnego stojącego przed nimi. Wszystkie cywilne samochody na 42 ulicy zjechały na bok i zatrzymały się, a przed nimi jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ukazała się wolna ulica, przecięta u góry, w jednym miejscu, wiaduktem kolejki wiszącej. Samochód policyjny ruszył z miejsca, a w ślad za nim ruszył również wygodny obszerny Studebaker, i to z niedozwoloną szybkością lub też ściśle mówiąc z szybkością dozwoloną tylko samochodom policyjnym, straży pożarnej i pogotowiu. Pędzili po 24 ulicy, skręcili piątą Avenue na południe i wkrótce potem wspięli się na stary Brooklyn Bridge, przecinając śmiałym łukiem bardzo w tym

miejscu szeroką East River. Od rzeki powiał chłód, ale zaraz potem wjechali w gorącą Long Island City, przejechali Kulicami Astorii, zabudowanej małymi domkami, i znaleźli się wśród gęstych drzew i trawników parku, gdzie panowała cisza, spokój, mały ruch i gdzie tkliwe milczenie liściastego lasu zakłócone zostało brutalnym wyciem ich syreny. Wkrótce potem przejechali następny most i znaleźli się w stanie Connecticut. Nie było tu wprawdzie granicy, ale Salak uświadomił sobie za chwilę, że nie znajdują się już w stanie Nowy Jork, ponieważ naprzeciw nich zza zakrętu luksusowej autostrady wyjechało po drugiej stronie podobne auto i dało samochodowi policyjnemu sygnał „stój”.

Oba samochody zatrzymały się, Brown wyjrzał na zewnątrz i zawołał: — *Hello, old wolf* — a z drugiego wozu odpowiedziano: — *Hello, old pig* — których to słów wolę nie tłumaczyć. Krótko mówiąc, w drugim wozie znajdował się komendant policji stanu Connecticut, zawiadomiony przez dyrekcję z Nowego Jorku, że Brown ma tu coś do załatwienia i że pojedzie najkrótszą drogą. Komendant z Connecticut rozwiązał ten problem tak, że pojechał naprzeciw.

Wyglądem przypominał istotnie psa lub wilka, wychudły, z wystającym dużym nosem, obwisłymi ustami, czarnym wąsikiem. Kiedy mówił, nie odwracał głowy, tylko sam nos w stronę tego, z kim rozmawiał. Przesiadł się do ich wozu i pojechali dalej.

— *Well*, co się stało — spytał mierzając nosem i ustami Browna, przy czym twarz skrzywiła mu się tak, że Salak się przestraszył.

— Niech pan raczej spyta tego człowieka — powiedział Brown — on to wszystko wymyślił. To jest mr Salak z Europy, a to mr Hardneck, naczelnik policji w Connecticut.

— Kto pana nauczył tak logicznie mówić — zwrócił się Hardneck do Browna. — Od kiedy pana znam, nigdy oddech nie pozwolił panu na więcej niż trzy słowa naraz.

— Niech pan nie przesadza. Salak, niech pan mówi.

Salak zaczął wykładać swoją teorię, a Hardneck powtarzał tylko od czasu do czasu „yes”, podsuwając przy tym nos do samej twarzy mówiącego.

— *Wonderful* — powiedział wreszcie i skrzywił usta w obie strony, jak gdyby chciał obu równocześnie pocałować, tak że obaj mimo woli się cofnęli.

— *Don't kiss me*, niech mnie pan nie całuje — powiedział Brown, ocierając twarz chustką. — I niech pan nie kręci tym nosem, bo mi się robi niedobrze.

— *You know* — rzekł Hardneck do Salaka. — Jesteśmy starymi kolegami, tylko że on lepiej się uczył, a ja byłem lepiej wychowany.

— *I see* — powiedział uprzejmie Salak, a Hardneck spoglądał na przemian z uśmiechem na obu, jak gdyby ich obwąchiwał.

Auto jechało szybko i znaleźli się niedaleko Ridgefield. Samochód ślizgał się bezszelstnie po falistej okolicy. motoru nie było nawet słychać, radio grało melodie taneczne i tylko dwukrotnie przez cały czas podróży, trwającej już prawie godzinę, muzyka przerwana została meldunkiem.

— Superintendenta Theilera do tej pory nie odnaleziono.

Przed miastem Brown rozkazał przez radio jadącemu przed nim samochodowi, żeby wyłączył syrenę i przejechali bezgłośnie przez ciche ulice, skąpane w południowym żarze i ułożone w koronach jaworów niczym w zielonej pierzynie. Zegar na skrzyżowaniu wskazywał dwunastą, co Salaka zdziwiło, podobnie jak zdziwił go najwyraźniej południowy spokój całego miasta. Spojrzał na swój zegarek, który wskazywał pierwszą.

— Zaoszczędził pan godzinę życia — powiedział Brown.

— Jak to?

— W Nowym Jorku obowiązuje czas letni, w stanie Nowy Jork nie, na kolejach również nie, u nas w Connecticut również nie, czyli wszędzie jest inaczej — wyjaśniał Hardneck.

W miasteczku na wszystkich rogach rozlepione były plakaty, wzywające robotników do strajków, a obok nich w braterskiej zgodzie wisały apele pracodawców wzywające do inten-

sywnej pracy. Przejeżdżali właśnie przez fabryczną dzielnicę miasta, kominy już nie dymiły, a przed bramami fabryk stały patrole wyszukujące względnie zatrzymujące łamistrajków. Obok patroli stali policjanci, uważając z kolei na patrole, aby nie zagrażały swobodzie poszczególnych amerykańskich obywateli, gdyby któryś z nich zdecydował się przyjść do pracy. Nikt jednak się nie decydował. W Ameryce, podobnie jak gdzie indziej na świecie, robotnicy są bardzo zdyscyplinowani. Zarówno wtedy gdy chodzi o pracę, jak i — może bardziej jeszcze — o jej przerwanie.

PRZYŁĄCZCIE SIĘ DO STRAJKU! NIE OPUSZCZAJCIE PRACY! — głośiły równocześnie plakaty rozlepione na płocie jeden obok drugiego. Było rzeczą widoczną, że strajk wybuchł wcześniej w Connecticut aniżeli w Nowym Jorku.

Oba samochody wyjechały z miasta i znalazły się w lesistej okolicy poprzecinanej szosami, wijącymi się po niskich zboczach porośniętych lasami pagórków i przeskakującymi przez strumyki po betonowych mostkach. Zapach sosen wpadał do samochodów, a świeży chłód łąk dodawał mu uroku świeżości. Na jednym z zakrętów pierwszy samochód zatrzymał się, zaraz obok stanął drugi. Z pierwszego wysiadł dowodzący nim porucznik, z drugiego wszyscy pasażerowie, jacy się w nim znajdowali.

— Musimy się naradzić — powiedział Brown. — Nie możemy ich napaść. Salak, co pan proponuje?

— Chyba co proponuje mr Hardneck. To przecież jego rejon.

— W żadnym wypadku, w tej sprawie decyduje pan — powiedział naczelnik, kręcąc uprzejmie nosem. — Niech pan proponuje, a my zaraz panu powiemy, co się da zrobić, a co nie.

— *Well*, może dobrze by było — zaczął nieśmiało Salak — gdybyśmy poprosili obecnego tutaj mr Hardnecka, ażeby jako tutejszy naczelnik objął komendę. W fabryce możemy powiedzieć, że przychodzimy skontrolować sytuację strajkową, że chcemy porozmawiać z robotnikami i zobaczyć ich przy pracy. Ja naprawdę chciałbym ich zobaczyć, ponieważ w większości wypadków znam ich z fotografii i jeśli to będą nasi zaginioni, na pewno ich poznam.

— A myśli pan, że ich panu pokażą, skoro trzymają ich przemocą?

— Kiedy nie będą chcieli ich pokazać, będziemy wiedzieli, co się za tym kryje, i możemy w takim razie użyć przemocy. Dlatego bym radził, ażebyśmy domagali się pokazania nam specjalnie tych robotników, którzy nie strajkują, i wysłuchali ich wypowiedzi.

— Dobrze, zgadzam się — powiedział Brown. — Ale pytać będzie pan. Pan to potrafi. Ja mógłbym się nie opanować. Poza tym nie pamiętam twarzy.

— Czy pamięta pan w ogóle cokolwiek — spytał słodkim głosem Hardneck, przybliżając wargi do samej twarzy Browna.

— Tak. Że nigdy nie grzeszył pan taktem — odpowiedział Brown i przełknął z pogardą ślinę z mlaśnięciem przypominającym huk wodospadu.

— *Well* — powiedział Salak, który zaczynał w ten sposób każde zdanie, ponieważ łatwiej mu było potem znaleźć angielskie wyrazy. — Myślę, że najlepiej będzie, gdy tam pójdziemy. Możemy zapytać o właściciela, o ile będzie obecny, a jeśli będzie nieobecny, to o jego zastępcę. Następnie zwiedzimy fabrykę i spokojnie odejdziemy, jak gdyby nigdy nic. Potem wrócimy tutaj i zadecydujemy, co dalej.

— *Good* — powiedzieli równocześnie Brown i Hardneck. Wsiedli do samochodu i wkrótce potem za zakrętem szosy, w dolinie, oczom ich ukazała się duża fabryka z wysokim kominem. To znaczy taka przynajmniej wydała się Salakowi. Na tutejsze stosunki była to zaledwie większa pracownia, produkująca przeważnie ręcznie. Z komina buchał gęsty dym, maszyny słycać było z daleka, na wąskim podwórzcu robotnicy popychali wózki naładowane pakami, przy bramie żadnych strajkowych patroli, krótko mówiąc — obraz intensywnej pracy, niczym w kraju, w którym strajki są surowo wzbronione. Wjeżdżający samochód zatrzymany został przez portiera, który zresztą ich natychmiast przepuścił, z chwilą gdy pokazali

policyjne legitymacje. Portier wskazał im przy tym mniejszy od innych budynek w stylu wiktoriańskim, w którym bez wątplenia mieściły się biura. Zatrzymali się przed nim, a gdy wysiedli, zjawił się jakiś urzędnik zapytując, czego sobie życzą i kogo szukają. Pokazali mu legitymacje i spytali o właściciela.

— Żałuję bardzo, ale jest nieobecny.

— Niech pan słucha, potrzebne są nam informacje na temat sytuacji strajkowej w waszej fabryce. Czy nie ma tu kogoś, kto zastępuje właściciela, na przykład *managera* lub *chairmana*.

— Owszem, jest jeden i drugi, ale najlepszych informacji udzieli panu sekretarka pana Takamine; zna wszystkie sprawy, również te, które boss załatwia osobiście, bez swoich urzędników.

— Więc proszę nas zameldować, dobrze?

— Proszę bardzo, natychmiast — powiedział uprzejmy urzędnik. Zatelefonował na górę, po czym położył słuchawkę i powiedział:

— Panna Coan oczekuje panów, proszę łaskawie na górę.

Na górze jedne z drzwi były już otwarte, a w nich stała szczupła, wysoka dziewczyna i zapraszała do środka. Weszli do jej skromnej kancelarii, przedstawili się, zostali poproszeni o zajęcie miejsc i usiedli. W tym momencie Salak poczuł do niej zaufanie i możliwe, że gdyby on właśnie miał ją pytać, byłby jej powiedział całą prawdę, ponieważ nie znał do tej pory owego typu amerykańskiej sekretarki zawsze uśmiechniętej i na pierwszy rzut oka tryskającej szczerością, ale w rzeczywistości bezwzględnie oddanej swojemu szefowi i przedsiębiorstwu i mającej częstokroć większe znaczenie niż on sam. Na szczęście jednak pierwszy zaczął Hardneck, zgodnie z tym, jak się umówili.

— Przyszliśmy zapytać o sytuację strajkową, chociaż wydaje się, że przedstawia się ona całkiem dobrze. Widzimy, że wasza fabryka pracuje, a może spodziewacie się strajku później?

— W żadnym wypadku, nie spodziewamy się w ogóle. Dziękujemy panom za ich troskliwość, ale o nas możecie się nie martwić.

— Tu nie chodzi o zmartwienie. Nam są potrzebne informacje dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wasz szef, o ile zdołaliśmy zrozumieć, jest nieobecny.

— Nieobecny, ale mogę udzielić wam wszelkich informacji, jakich potrzebujecie, jeżeli tylko o to chodzi.

— Tylko o to. Nasze pytania mają charakter czysto informacyjny i poufny.

— Słucham.

— Czy może pani nam powiedzieć, dlaczego wasi ludzie nie strajkują?

— Może lepiej będzie, jeśli zapytacie ich samych — powiedziała sekretarka, sądząc, że te słowa wystarczą za odpowiedź, ale Hardneck się tego chwycił:

— Właśnie chcieliśmy panią prosić, żeby pozwoliła nam pani porozmawiać z robotnikami, to znaczy przynajmniej z niektórymi, ażebyśmy mogli zdać sprawozdanie z odniesionego bezpośrednio wrażenia.

— Dziewczyna zrobiła minę nieprzystępną. Hardneck wydłużył swą psią twarz, tak że wyglądała jak ryj mrówkojada, i powiedział słodko:

— Zwiedziliśmy już dzisiaj kilka podobnych fabryk, gdzie robotnicy nie strajkują, i stwierdziliśmy niezwykle interesujące szczegóły. Wszędzie pozwolili nam na wstęp do warsztatów.

— Tego właśnie nie jestem pewna, czy mogę wam na to pozwolić bez zezwolenia szefa. Rozumiecie, panowie, chodzi nie tylko o tajemnicę produkcji, ale również o to, dlaczego nasi ludzie pracują nawet podczas strajku. Również i to jest w pewnym sensie tajemnicą produkcji, ponieważ w ten sposób udaje nam się zwyciężyć konkurencję, która mogłaby nasze metody naśladować.

Wyglądało to zupełnie prawdopodobnie, a Salak przestraszył się, żeby Hardneck nie zaczął stosować wobec dziewczyny policyjnego terroru, i wmieszał się do rozmowy.

— Niech pani słucha, my rozumiemy pani skrupuły, ale musi pani uznać, że są one przesadne. Jeżeli nie pozwoli nam pani porozmawiać z robotnikami, w takim razie nie pozostanie nam nic innego, jak poczekać, aż wyjdą z fabryki, a wtedy i tak z nimi porozmawiamy, ponieważ musimy. Jedyłą przykrością, jaką nam pani sprawi, będzie strata kilku godzin.

— Nie chciałabym panów zatrzymywać, ale muszę wam powiedzieć, że nawet gdybyście czekali, nikogo byście się nie doczekali, ponieważ wszyscy robotnicy mieszkają tutaj w barakach.

— Żonaci również? — spytał Salak.

— Tak, żonaci... to znaczy nie wiem... może jednak zadzwonię do szefa, o ile go naturalnie zastanę.

— Niech pani słucha — powiedział Hardneck — to już lepiej ja zadzwonię do generalnego prokuratora i uzyskam bezzwłoczne zezwolenie przeprowadzenia rewizji. Nie chciałem tego pierwotnie robić, chciałem to załatwić polubownie.

Sekretarka znalazła się w kłopotliwej sytuacji, tak kłopotliwej, że pod jej złotymi włosami, spadającymi kokieteryjnie na czoło, ukazały się krople potu.

— Ja naprawdę nie wiem — dodała z zakłopotaniem — nie śmiem decydować sama, boję się, że stracę posadę.

— *Never mind* — mruknął Brown — gdyby ją pani straciła, proszę mi tylko powiedzieć. Potrzebujemy oddanej pracownicy.

— Mam tu zbyt dobre warunki. Na państwowej posadzie nigdy bym takich nie miała.

— Kto mówi o państwowej posadzie? Mam przyjaciela fabrykanta, który szuka sekretarki i nie może jej znaleźć.

— Co pan mówi?

— Nie może. On szuka mądrej i uczciwej. To w Ameryce rzadko idzie w parze. Po pani widać, że tak jest.

— Nie wiem, no dobrze — wahała się sekretarka. — Ale czy będę mogła pójść z wami i posłuchać, o co będziecie robotników pytać, żebym mogła szefowi złożyć sprawozdanie.

— Ależ naturalnie, dlaczego nie — powiedział Hardneck i natychmiast zwrócił się do Salaka: — Zgadza się pan?

— Oczywiście — powiedział Salak, a sekretarka, jak na Amerykankę przystało, spytała:

— Kim jest ten pan? Przepraszam, ale nie dosłyszałam jego nazwiska.

— Czechosłowak. Pracuje u nas w policji jako stypendysta. Między innymi interesuje się strajkami w Ameryce.

— Czy pozostaje pan również w kontakcie z waszym przemysłem? — spytała sekretarka uwodzicielskim głosem, najbardziej uwodzicielskim, jaki kiedykolwiek słyszała na filmie. Salak oczywiście zrozumiał, dlaczego pyta, i powiedział. — Nie, nie jestem i nie będę, nie musi się pani obawiać szpiegostwa przemysłowego. Zresztą figlarne zabawki wyrabiamy również w Czechosłowacji, i to dokładnie takie same jak tutaj.

— Skąd pan wie, o co chciałam pana zapytać?

— Wyłącznie z pani słów, a poza tym jestem detektywem. Na tyle musimy znać się na ludziach. Żeby domyślić się na przykład, iż wzbrania się pani pokazać fabrykę nie tylko z powodu konkurencji, ale dlatego, że zdaje sobie pani sprawę, że jest tu coś, o czym nie wolno pani z nikim mówić, i nie jest pani pewna, czy owym nikim nie jest również policja.

— Na miłość boską, rzeczywiście.

— W takim razie niech pani pozwoli, żebym jako skromny cudzoziemiec dał pani dobrą radę. Jeśli policja się czegoś domaga, niech się pani nigdy nie wzbrania, ponieważ policja działa w myśl prawa, a prawo jest środkiem wymiaru sprawiedliwości, a sprawiedliwość jest celem wszystkich uczciwych ludzi na świecie.

— Ma pan rację — powiedziała dziewczyna i ze słowem „proszę” poprowadziła ich do fabryki.

— *Just a moment* — powiedział Brown. — Czy mogłaby mi pani pokazać jeszcze przedtem listy płac?

— Proszę bardzo — powiedziała dziewczyna, wróciła do pokoju i zadzwoniła do księgowości. Obecni czekali w milczeniu, było dla nich jasne, dlaczego Brown chce je widzieć. Jeśli robotnicy są tam trzymani wbrew ich woli, w takim razie zarobki będą niższe. Jeśli pracują dobrowolnie, zarobki będą wyższe od normalnych, co tłumaczyłoby również, dlaczego nie strajkują. Usłużny urzędnik przybiegł natychmiast i położył na biurku stertę dużych papierowych kartotek. Brown i Salak pochylili się nad nimi, Salak odczytywał nazwiska, a Brown kazał sobie wyjaśniać poszczególne pozycje. Sekretarka usłużnie objaśniała, co jest zarobkiem zasadniczym, co jest potrąceniem za wyżywienie w fabryce, co potrąceniem na ubezpieczenia; wszyscy opłacali fundusz ubezpieczeniowy, mimo że w tym czasie Ameryka nie miała ubezpieczeń od choroby; wszyscy płacili dobrowolnie ubezpieczenia na starość; w ogóle na pierwszy rzut oka jasne było, że załoga jest zdyscyplinowana. Przy tym podstawowe zarobki nie różniły się od normalnych robotniczych zarobków, nie były ani zbyt wysokie, ani zbyt niskie, może nieco wyższe niż gdzie indziej, ale znów nie na tyle, ażeby mogło to wyjaśnić dobrowolną ucieczkę od rodzin lub niechęć do brania udziału w strajku, bowiem jak wynikało z gazet, wysuwali oni o wiele większe żądania aniżeli zarobki w tej fabryce.

Minęło prawie pół godziny, zanim się z tym uporali i przewertowali na prośbę Salaka wszystkie kartoteki. Sekretarka patrzyła przez cały ten czas na Salaka jak na człowieka umysłowo niedorozwiniętego i podkreśliła kilkakrotnie, że wystarczy przejrzeć po prostu pięć czy sześć podstawowych typów, reszta jest zupełnie identyczna. Salak jednakże obstawał przy swoim i nie dał się przekonać ani Brownowi ani Hardneckowi. Wreszcie skończyli i wyszli. Hardneck szedł trochę na przedzie z sekretarką, a Brown z Salakiem za nimi.

— Myślałem, że zna pan dobrze angielski — powiedział Brown. — Nie zrozumiał pan, co do pana mówimy? Dlaczego nas pan tak zatrzymywał?

— Zgadnijcie — powiedział Salak i przystanął w południowym żarze na pustym podwórzu fabryki.

— Wy w Europie jesteście dziwni. Nie rozumiecie. Stoicie, gdy rozmawiacie. Nie potraficie robić dwóch rzeczy na raz. Gdyby trzymał pan szklankę i przemówił, wypuściłby pan szklankę.

— Tak, tacy właśnie jesteśmy. Chciałem zobaczyć wszystkie nazwiska na wszystkich kartotekach.

— To nie było potrzebne. Wystarczyło przejrzeć dwadzieścia, a już można się było zorientować, że nie ma wśród nich żadnego z poszukiwanych.

— Musiałem zobaczyć wszystkich na liście, ponieważ ma to poważne znaczenie.

— Nie wiem dlaczego, ale nie mogę na takim upale myśleć, chodźmy gdzieś w cień.

— Zostańmy tutaj, sekretarka nie musi tego słyszeć.

— A znalazł pan jakieś nazwisko z tych zaginionych?

— Ani jednego.

— Więc widzi pan! Wynik negatywny. W tej sprawie stale to samo.

— Nic podobnego. Wynik pozytywny. Pierwszy w tej sprawie.

Brown osłupiał i powiedział:

— No to niech pan powie jaki. Widocznie osłabił mnie jakoś ten upał, ponieważ nic nie rozumiem. — I otarł chustką spoczone czoło.

— Niech pan popatrzy mr Brown. Sprawa jest jasna. Uderzające jest właśnie to, że nie ma tam ani jednego nazwiska z zaginionych. Niech mi pan wymieni jakiegokolwiek amerykańskie towarzystwo złożone z wielu osób, w którym nie byłoby ani jednego Browna, Smitha, Foxa, Cartera itp. Właśnie tych najczęściej spotykanych nazwisk tam nie ma. To znaczy, że są

tam wyłącznie nazwiska fałszywe, i to wybrane nie przypadkowo, ale w ten sposób, żeby nie znalazło się tam nazwisko żadnego z zaginionych.

— Może ma pan rację. Ale nie musi jej pan mieć. W każdym razie to bystra obserwacja. Lubię pana, ponieważ jest pan bystry — dodał Brown z jowialnością właściwą ludziom potężnej tuszy.

Poszli dalej i doszli do sekretarki i Hardnecka, którzy na nich czekali w cieniu przed bramą pracowni. Upał był rzeczywiście nie do wytrzymania, toteż wszyscy czterej przybrali specjalnie chłodne miny ze znaczną dawką złego humoru, normalnego podczas takiej pogody.

— Że też pan tak lubi gadać na słońcu — powiedział Hardneck, a mimika jego twarzy była tak sparaliżowana przez upał, że wyglądała prawie normalnie. Ani Salak, ani Brown nie odpowiedzieli; było im zbyt gorąco.

XI

Weszli do przestronnej hali, w której przy stołach siedzieli i pilnie pracowali robotnicy. Zatrzymali się przy końcu prowadzącej między stołami uliczki i rozejrzeli się dookoła. Oczom ich ukazał się groteskowy widok. Przede wszystkim upał był tam niemal taki sam jak na dworze, pracownia ochładzana była zaledwie dwoma brzęczącymi cicho wentylatorami, ale twarze wszystkich robotników, mimo że zroszone potem, były uśmiechnięte i promieniały zadowoleniem kontrastując z zachmurzonymi twarzami stojących beczynnie gości. Robotnicy siedzieli przy stołach i lepili jakieś zabawki i figlarne przedmioty. Każdy z nich miał przed sobą na stole zapas drobnych części i składał je szybko w jedną całość. Ale w jaki sposób! Tuż przy drzwiach siedział jeden z robotników i nalepiał na drewniane podstawki sprasowaną sylwetkę kaczonego Donalda, figurynki dobrze znanej z filmów rysunkowych dla dzieci i niespecjalnie śmiesznej, o ile się weźmie pod uwagę fakt, że robotnik ten musiał bez wątpienia składać takie kacorki setkami dziennie. A mimo to za każdym razem, ilekroć brał figurkę do ręki i patrzył na nią, a następnie gdy ją nalepiał i odkładał na bok, tylekroć wybuchał serdecznym śmiechem. Czyli że przy każdej sztuce śmiał się dwukrotnie. I każdy z owych dwudziestu ludzi, siedzących w tej pracowni przy stołach, przy każdej zabawce wybuchał przynajmniej dwukrotnie serdecznym, głośnym śmiechem, nie zwracając uwagi na resztę.

Owe wybuchy śmiechu bynajmniej nie ustały z chwilą ukazania się naszego towarzystwa, na które nikt nie zwrócił uwagi. Śmiech rozbrzmiewający ze wszystkich stron towarzyszył szybkiemu tempu pracy niczym huk jakiejś dziwacznej maszyny.

Policjanci stali w milczeniu i rozglądali się zdezorientowani po pracowni. Pierwszy ochłonął Hardneck i rzekł do sekretarki:

— Proszę pani, ja wiem, że wyrabiacie figlarne przedmioty, ale na miłość boską, dlaczego ci ludzie śmieją się bez przerwy z jednej i tej samej rzeczy? A może mają taki rozkaz? Czy to może jakaś nowa metoda produkcji, w myśl której robotnik zwiększa wydajność swej pracy, gdy przy spojrzeniu na wyrabiany przedmiot będzie się śmiał?

— Nie ma żadnego rozkazu — odpowiedziała sekretarska. — Tym ludziom po prostu praca sprawia radość, bawi ich bez przerwy i śmieją się tak, jak gdyby widzieli każdą rzecz po raz pierwszy.

— *Tell me* — powiedział Brown, który miał dobre serce i któremu z irytacji wystąpiły krople potu na łysej czaszce :— co by ci ludzie robili, gdyby pletli wieńce żałobne? Musieliby chyba przy każdym wieńcu się rozplakać?

— Nie rozumiem pana — powiedziała zimno sekretarka. — My tu wyrabiamy figlarne

zabawki.

Teraz popełnił błąd Salak, który zawołał: — O, tam jest mr Mott! — I wskazał na jeden ze stołów, przy którym siedział człowiek, wybitnie podobny do zaginionego z Phoenicii. Mężczyzna ten był wesoły i był to jedyny szczegół, którym różnił się obecnie od licznych swoich fotografii, znanych dobrze Salakowi. Na zdjęciach Mott był zawsze ponury. Tu śmiał się za każdym razem, ilekroć wziął do ręki szklaną kulkę, przypominającą „kapkę” u nosa i włożył ją do pudełeczka wyścielonego różową watą. Młodzieź szkolna w Ameryce kupuje takie bańki, wsadza je sobie do dziurek w nosie i cieszy się, że robią niesmaczne wrażenie.

— Sądzę, że to nie jest mr Mott — powiedziała sekretarka. — Człowiek o tym nazwisku u nas nie pracuje.

Powiedziała to z oczywistym spokojem, jak gdyby Salak pomylił się przypadkiem. Ten jednakże im dłużej się rozglądał, tym bardziej otaczające go twarze wydawały mu się znajome. Odniósł wrażenie, że znalazł się w towarzystwie znanych sobie osób, których na pierwszy rzut oka nie poznał, ale których podobieństwo coraz bardziej sobie uświadamiał. Czuł się jak człowiek, który przybywszy po dwudziestu latach na zjazd maturzystów ma w pierwszej chwili wrażenie, że znalazł się wśród obcych ludzi i dopiero po chwili zaczyna rozeznawać twarze, które wpierw mu kogoś przypominają, następnie stają się znajome i które w końcu kojarzy kolejno z nazwiskami.

Tak, nie mogło być wątpliwości. Tam siedzi Mott, ten tutaj to Cart, który zaginął w ubiegłym roku, tamten jest mu skądś znany, ale nie wie jeszcze, gdzie go zaszeregować, przy tamtym stole siedzi czarny Bill Neck z Passaiku, nie może być wątpliwości, mimo że nie ma tyłu zmarszczek jak na fotografii. Naturalnie, siedzą tu wszyscy.

— Czy mógłbym zamienić z nim kilka słów? — spytał Salak uprzejmie i wskazał na Motta, którego był najbardziej pewien, może dlatego, że mówił z jego żoną i oglądał wszystkie jego fotografie, nawet z okresu dzieciństwa.

— *Of course* — powiedziała sekretarka — proszę bardzo. Pójdę z panem.

— Czy nie mógłbym z nim pomówić sam na sam?

— Myślę, że niewiele by się pan dowiedział.

Salak nie zrozumiał wprawdzie dlaczego, ale nie oponował. Trudno mu było myśleć logicznie, ponieważ nie mógł się skupić.

— Hahahaha, hehehehe, hohohoho, hihihih — oto jak brzmiały dźwiękowe kulisy, których słuch jego nie mógł się pozbyć i które mąciły mu myśli. Podeszedł do stołu, przy którym pracował Mott, i zapytał:

— Czy mogę zadać panu kilka pytań, mr Mott?

Mężczyzna nawet na niego nie spojrział, a sekretarka rzekła:

— Naprawdę, chyba się pan myli.

Miała przy tym minę taką, jak gdyby chciała powiedzieć: „Widać po panu, że z pana osioł — obcokrajowiec, ale mimo to będę uprzejma”. Salak spostrzegłszy jej minę tracił Motta w ramię i powiedział:

— Chciałbym pana o coś zapytać, gdyby pan był tak łaskaw?

— Proszę, proszę bardzo — powiedział uprzejmie ów człowiek nie podnosząc głowy znad stołu i natychmiast znowu serdecznie się roześmiał, wkładając szklaną bańkę do pudełeczka z różową watą.

— Jak się pan nazywa?

— Martin Coggeshall — odpowiedział mężczyzna, sięgnął po następną bańkę jedną ręką, drugą wziął pudełeczko i złożonywszy w nim kulkę, znowu wybuchnął śmiechem.

— Jak długo pan tu pracuje?

— Nie wiem dokładnie, może miesiąc, tak, miesiąc, miesiąc, miesiąc, miesiąc, miesiąc, miesiąc... — powtarzał to słowo monotonicznie i bez przerwy jak płyta gramofonowa, na której przeskoczyła igła i utknęła w jednym miejscu.

— Miesiąc, miesiąc, miesiąc, miesiąc, hahahaha, tak, miesiąc, tak, miesiąc.

Salak był zdumiony, ale nie rezygnował.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego nie strajkujecie? Zapewne macie tutaj dobre warunki, które dałoby się również zaprowadzić gdzie indziej. Śmieje się pan przy pracy, na pewno jest pan zadowolony. Czy może nam pan powiedzieć dlaczego?

Salak powiedział „nam”, ponieważ w międzyczasie do stołu zbliżył się również Brown z wytrzeszczonymi oczyma i Hardneck wietrzący nosem na wszystkie strony. Mężczyzna otrzymawszy to długie poniekąd pytanie podniósł głowę znad stołu, ręce zatrzymały się w bezruchu, z jednej wypadła mu z cichym brzękiem szklana kulka, a on spojrzawszy nieprzytomnym wzrokiem na Salaka rzekł tylko:

— Tak, tak, jak proszę? Tak, tak.

— Pytałem pana, dlaczego nie strajkujecie?

— Strajk? Tak, strajk, strajk, tak, tak, więc strajk, dlaczego nie strajkujecie, strajk, nie, nie, nie. Dlaczego nie strajkuję? Nie, nie, nie strajkuję. Strajk? Dlaczego? Strajk! Nie potrzeba, tak potrzeba, nie potrzeba.

— Proszę pani, co jest temu człowiekowi? — spytał Brown.

Mott tymczasem, nie zwracając uwagi na leżącą na ziemi bańkę, wyjął z pudełka inną, włożył ją do przygotowanego pudełeczka i serdecznie się roześmiał.

— Nic mu nie jest, jest *all right* — powiedziała sekretarka obojętnym tonem.

— Czy jest pan żonaty? — spytał Salak.

— Żonaty? Jestem żonaty, tak, żonaty. Nie, nie jestem żonaty, nie, na pewno nie.

Było oczywiste, że od tego człowieka niczego więcej się nie dowiedzą. Myśl jego krążyła w sposób oczywisty po nie oznaczonych szlakach, Bóg wie dlaczego, a obecna przy tym sekretarka stwierdziła, że jest *all right*.

— Proszę pani — powiedział Hardneck — niech mi pani powie, co jest z tym człowiekiem, przecież w ten sposób normalny człowiek nie mówi. Pracuje sprawnie, słowa wymawia dobrze, ale mówi jak człowiek umysłowo upośledzony.

— Proszę pana, przecież to robotnik — powiedziała sekretarka pogardliwie.

— Nie, to nie o to chodzi. Zresztą pani nas rozumie — powiedział Salak, który nie mógł się przyzwyczać do ostrożnych metod policji amerykańskiej. „Gdyby to było u nas — powtarzał sobie — wziąłbym babę za łeb, przespałaby się dwie, trzy noce na komisariacie, a czwartej sama by prosiła, że powie nam, co chcemy wiedzieć, my powiedzielibyśmy, że nie jesteśmy ciekawi, a za tydzień nie tylko by nam powiedziała, ale jeszcze sama przedtem napisała”.

— Nie wiem, co pan ma na myśli.

— Mam na myśli to, że ten człowiek nie mówi normalnie — powiedział ostro Salak i znów popełnił błąd, ponieważ mimo wszystko znał amerykańskie kobiety tylko z tej lepszej strony, z towarzystwa.

— Pan mówi także bardzo dziwnie, mister, a to tylko dlatego, że jest pan cudzoziemcem — złośliwie stwierdziła sekretarka i dodała z naciskiem, który smagnął go jak uderzenie bicia: — A pańska pojętność nie odbiegała zbytnio od pojętności tego człowieka, kiedy przeglądał pan naszą listę płac.

Salak byłby chyba wybuchnął, ale Brown pośpieszył mu z pomocą.

— Niech pan porozmawia jeszcze z którymś, panie Salak, jak najwięcej ewidencji — to nasze hasło. Może to tylko przypadek.

Salak odwrócił się w milczeniu i podszedł do stołu, przy którym pracował mężczyzna o twarzy i postaci przypominającej niejakiego Cartera z Yorktown. Był to szczupły blondyn z uśmiechniętą jak księżyc w pełni twarzą. Siedział przy stole i wyciągał z pudełek całymi garściami zapalki, maczał je następnie w jakimś rozczywie, wkładał je z powrotem do pudełka i śmiał się przy tym serdecznie. Ruchy jego były bardzo zwinne, ale na towarzystwo, które do niego podeszło, nie zwrócił w ogóle uwagi.

— Co pan tu robi, przyjacielu? — spytał Salak, próbując innego sposobu.

— Dowcipne zapalki, nie palą się, gdy się je zapala.

Salak pomyślał sobie, że to dziwna zabawka i że u nich w Czechosłowacji również takie zapalki wyrabiają, tylko nikt się z nich nie śmieje, na odwrót — ludzie wymyślają.

— Proszę pana, dlaczego pan się ciągle śmieje, ilekroć zajrzy pan do pudełka?

— To przecież śmieszne, dlatego się śmieję — odpowiedział ów człowiek całkiem rozumnie.

— Ile takich pudełek wyrobi pan w ciągu dnia?

— Dużo, rozmaicie, około pięćset tysięcy sztuk.

Salak policzył szybko w pamięci i stwierdziwszy, że to nonsens, powiedział:

— Tyle chyba nie. To przecież za dużo.

— Dużo? To się pomyliłem. Gdzież tam dwa miliony? Jeśli zrobię ich miliony dziennie, to i tak dosyć.

Było jasne, że lubował się w dużych cyfrach, a Salak wiedział coś niecoś o melancholii, będącej objawem paraliżu postępowego. Jeden z jego przyjaciół, psychiatra, zwykł był mawiać: „Jak tylko ktoś zacznie mi szafować milionami na prawo i lewo, zaraz spoglądam mu w oczy, czy źrenice reagują na światło. Gdy nie reagują, to jest to skutkiem przebytej brzydkiej choroby i jej rzadko na szczęście spotykanego następstwa — paraliżu postępowego”.

— I to pana tak bawi, że śmieję się pan za każdym razem, mimo że robi ich pan kilka tysięcy dziennie?

Mężczyzna cmoknął, włożył zapalki do pudełka, roześmiał się i powiedział:

— To przecież strasznie śmieszne, przecież wszystkie są równie figlarne — przy tych słowach na twarzy jego pojawił się taki wyraz zadowolenia, jak gdyby wychylił kieliszek likieru. Potem dorzucił jeszcze:

— Wszystkie są śmieszne, każda tak samo, dlatego miałbym którąś z nich obrażać tym, żebym się nie śmiał. Muszę się śmiać za każdym razem.

Słowa te brzmiały wcale logicznie, mimo że trochę dziwacznie. Wobec czego Salak rzucił jeszcze jedno pytanie:

— Czy był pan kiedyś w Yorktown?

— Tak, byłem, znam tę miejscowość bardzo dobrze.

— Kiedy był pan tam ostatnio?

— Wczoraj wieczorem. To ciekawe, prawda?

Był to zupełny nonsens, ponieważ gdyby ów człowiek pojawił się wczoraj w Yorktown, w małym miasteczku pomiędzy znajomymi, byłby to pierwszy wypadek powrotu jednego z zaginionych.

— Co pan tam robił?

— Kupowałem pewną fabrykę.

— Ile kosztowała? — spytał Brown, któremu zaczęło wydawać się to głupie.

— Pięćset milionów dolarów — odpowiedział zapytany z głupawym uśmiechem i bez najmniejszego wahania.

— *Well* — powiedział Salak — czuję, że nie dam rady, ale spróbuję jeszcze spytać, jak się pan nazywa.

— Jestem nieślubnym synem prezydenta i jego praczki.

Było oczywiste, że człowiek ten jest chory umysłowo. Mimo to Salak nie rezygnował, ponieważ wiedział, że nawet przy paraliżu postępowym chory potrafi sobie uświadomić jako tako swoje nazwisko.

— Jak się pan nazywał?

— Andrea Takamine — brzmiała odpowiedź, a Salak osłupiał, ponieważ było to nazwisko właściciela fabryki.

Zwrócił się więc do sekretarki i spytał:

— Jak się nazywa ten człowiek, proszę pani?

— Przed chwilą go pan pytał i powiedział panu. W kartotece figuruje pod nazwiskiem Bill Ogden.

Salak w międzyczasie uświadomił sobie, że ten człowiek formułuje przynajmniej logiczne zdania, mimo że mówi same nonsensy, więc spytał jeszcze:

— Dlaczego pan nie strajkuje?

— Dlaczego miałbym strajkować, to dobre dla biedaków, którzy nie mają dostatecznych dochodów. Jeśli ktoś zarabia kilka milionów dolarów rocznie tak jak ja, nie potrzebuje strajkować.

— W takim razie, dlaczego pan pracuje, jeżeli pan tyle zarabia? Przy tak wielkich dochodach nie musiałby pan przecież pracować.

— Praca mnie bawi, przynajmniej się przy tym naśmieję, pracuję chętnie. Ot co, żebyś wiedział kochany malkontencie — rzekł do Salaka protekcyjnym tonem i mrugnął przy tym okiem, jak gdyby zwierzał mu wielką tajemnicę.

Pozostali funkcjonariusze policji wytrzeszczali oczy, mdliło ich, a w głowach rozbrzmiewało im bez przerwy — hahaha, hohoho, hehehe, w wykonaniu reszty załogi owej wzorowej fabryki zabawek.

— Poznał pan kogoś? — zwrócił się szeptem Brown do Salaka.

— Prawie wszystkich. Sądząc po zdjęciach są to ci sami, którzy zostali porwani. Ale zdaje się, że żaden z nich nie poda nam swego nazwiska.

Umilkł nagle, ponieważ zbliżyła się do nich sekretarka. Jeden z robotników pociągnął ją za spódnicę, a ona odwróciła się i powiedziała tylko:

— Co to ma znaczyć? — A wtedy robotnik, chłop jak dąb, pochylił głowę nad blatem stołu i wybuchnął rzewnym płaczem. Potem spojrział na laleczkę, którą trzymał w ręku, i wybuchnął przez łzy serdecznym śmiechem, rozmasał sobie łzy wraz z klejem po twarzy i pracował dalej, wybuchając od czasu do czasu przeraźliwym chichotem. Salak go poznał. Był to pewien betoniarz z Jersey City, człowiek, który według zasięgniętego przez policję wywiadu był bardzo brutalny i miał na sumieniu kilka bójek.

— Jak się pan nazywa? — spytał Salak.

— Julius Rendell, proszę pana — odpowiedział mężczyzna z uśmiechem. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało — według danych Salaka — Robert Smith, nazwisko, które łatwo zapamiętać. Salak wyjął notes i ze słowami: — Chwileczkę, coś sobie zanotuję! — zapisał w notesie nazwiska, które jego zdaniem robotnicy powinni byli nosić. Ogółem na dwudziestu pracujących w warsztatach rozpoznał prawie osiemnastu, dwóch nie mógł sobie przypomnieć. Zdecydował się nie wracać po teczkę, w której miał zanotowane nazwiska i w której przechowywał fotografie zaginionych, wyjęte z akt sprawy. To na razie wystarczy, później może powrócić i dokonać identyfikacji na miejscu, o ile to będzie możliwe. Czuł się zdezorientowany tym, że tych ludzi poznał, podczas gdy oni zdawali się nie poznawać siebie samych. Z drugiej strony nie dopuszczał możliwości tego rodzaju przypadku, że oto ma przed sobą dwudziestu ludzi uderzająco podobnych do zaginionych, a będących kimś zupełnie innym. Jedno było pewne, a mianowicie, że są to ludzie bez wyjątku nienormalni, podczas gdy zaginięni cierpieli co prawda w poszczególnych wypadkach na lekką depresję, ale mimo wszystko przedtem, zanim zniknęli, chodzili do pracy i trudno było przypuścić, aby od czasu zaginięcia umysł ich uległ tego rodzaju rozkładowi, jaki miał możliwość tu zaobserwować. Coś było nie w porządku i Salak nie był pewien, czego się trzymać.

Brown również miał pewne wątpliwości. Wiedział od Salaka, że rozpoznał twarze tych, których szukał, ale wiedział równocześnie, że nie są to ci sami ludzie względnie że do ich absolutnego rozpoznania brakuje jednak czegoś. Żaden z nich natomiast nie mógł wiedzieć, że to coś posiadać będzie decydujące znaczenie.

Wyszli z pracowni i weszli do drugiej, następnie do trzeciej i przeszli w ciągu dwóch

godzin całą tę dziwną fabrykę. Wszędzie spotykali uśmiechniętych robotników, z niektórymi rozmawiali z tym samym rezultatem jak w dwóch pierwszych wypadkach, większość z nich Salak rozpoznał z fotografii, ale żaden z tych, z którymi rozmawiali, nie wymienił swego prawdziwego nazwiska, żaden nie przytoczył ani jednego szczegółu z tego, co oni uważali za jego niedawną przeszłość. W sumie Salakowi udało się zidentyfikować około sto pięćdziesiąt osób, ale brakło wśród nich tego, którego szukali najbardziej, to znaczy Theilera. Sekretarka szła za nimi krok w krok, a jej wyjaśnienia były coraz bardziej lakoniczne. Wywiadowcy nie mówili wiele i w ten sposób wizyta, zrazu pasjonująca i zaskakująca, stała się wreszcie nudna.

XII

Theiler znajdował się w tej chwili ciągle w tym samym miejscu, daleko od nich, i spoglądał od kilku godzin w sufit i w okno na koronę jaworów i kawałek bezchmurnego nieba, blednącego w miarę tego, jak słońce przekroczyło zenit w popołudniowym żarze. Czuł się bardzo źle. Z wyschniętymi ustami, z kawałkiem białego płótna między ścierpniętymi zębami, z bólem we wszystkich stawach leżał na łóżku i nie mógł się poruszyć, ponieważ był od stóp do głowy skrępowany szerokimi pasami płótna. Chwilami cierpły mu członki, potem to przechodziło, chwilami miał wrażenie, że się przyzwyczajają, ale za chwilę ogarniała go rozpacz i wściekłość. Kilka razy usłyszał cichy szept na korytarzu, starał się wydać z siebie jakiś dźwięk, ale potem znowu zapadała zupełna cisza. Kilkakrotnie usłyszał z oddali warkot samochodu, już miał wrażenie, że się zbliża, ale dźwięk się oddalał i wszystko pozostawało bez zmian. Raz usłyszał skrzypiące kroki na ścieżce, przez otwarte okno wiatr przyniósł z oddali rzenie koni, gdzieś zawyła na statku parowym syrena, życie najwidoczniej płynęło wszędzie dalej, tylko nie w tym pokoju, w którym jemu wlokły się leniwie mi nuty i które słusznie uważał za ostatnie w życiu. Było bowiem rzeczą wykluczoną, aby po tym, co zaszło, mogli go wypuścić. Przecież oznaczałoby to dla nich dożywotnie więzienie, jeżeli nie śmierć. W ten sposób upływała sekunda za sekundą liczona według bijącego mu w skroniach tętna i żadna z nich nie przynosiła zmiany.

*

Nasi policjanci zakończyli 'tymczasem przegląd fabryki i znaleźli się znowu na dziedzińcu, w słonecznym upale. Sekretarka była wraz z nimi i sama zaczęła rozmowę.

— Czym jeszcze panom mogę służyć? Czy wolno mi powiedzieć, że nie mogę oprzeć się pewnemu wrażeniu: panowie nie interesujecie się tak dalece warunkami naszych robotników, jak czymś zupełnie innym, tylko nie wiem czym.

— My to zaraz pani powiemy sami — powiedział Brown — ale proszę, żeby nas pani zostawiła chwilę samych. Chcemy się naradzić.

— *All right* — powiedziała dziewczyna, kierując się w stronę biura.

— Panie Hardneck, proszę pana, niech pan z panią pójdzie — powiedział Brown. — Wystarczy, gdy naradzimy się z Salakiem we dwójkę.

— *All right* — powiedział Hardneck skwapliwie.

— Czy mógłbym coś zaproponować? — spytał Salak.

— *Of course* — powiedział Brown — od tego pana tu mamy. Proponuje pan diablo mało.

— Proponuję wydać rozkaz, żeby sekretarka na razie z nikim nie mówiła ani nie telefo-

nowała.

— Oczywiście — powiedział Brown.

— Tak jest — powiedział Hardneck, komendant policji tego stanu oraz pan i władca szerokiej swobody jego mieszkańców.

— Protestuję — powiedziała dziewczyna. — Nie macie prawa ograniczać mojej swobody osobistej bez nakazu aresztowania wydanego przez właściwe władze. Będę krzyczeć — dodała nieopatrznie i to było z jej strony błędem. Hardneck wyjął błyskawicznie mały rewolwer, skierował go w serce dziewczyny tak zręcznie, że nie mogli tego z okien zauważyć, i rzekł spokojnie:

— Jeśli pani piśnie, strzelam. Wiem, co robię. Pani opór jest daremny.

Brown wyjął z kieszeni gwizdek i dodał:

— Przed fabryką stoi auto pancerne z policją, gdy tylko Hardneck wystrzeli, zagwizdź i każę obstawić całą fabrykę. *Well*, Salak, co ma pan na sercu?

Dziewczyna zaczęła się trząść jak osika, a Salak pomyślał, że ci amerykańscy policjanci to jednak twardzi chłopcy. Ciągłe miał im za złe ich zbyt dużą grzeczność, ich względy w stosunku do kobiet, ich podejście raczej towarzyskie i na pewno nie urzędowe, aż tu masz, gdy do czegoś doszło, potrafili naraz bez ostrzeżenia być twardzi jak granit. Uświadomił sobie, że takim jest w gruncie rzeczy cały naród amerykański, że taka jest również ich polityka, na której na przykład załamali się Niemcy w 1917 roku. Wyobrażali sobie, że jeśli Ameryka ciągle pertraktuje, to znaczy, że jest słaba i że nie odważy się przystąpić do wojny; pertraktuje, więc nie chce i nie może walczyć. Nie rozumieli, że naród może być spokojny a równocześnie silny i twardy; wie to tylko ten, kto spędził wśród nich dłuższy czas.

Odszedł wraz z Brownem na bok i przez chwilę obaj milczeli.

Brown ocierał spocone czoło, a po chwili rzekł:

— *Well*?

— *Well* — odpowiedział Salak i znowu przez chwilę milczeli.

— Co teraz? — spytał Salak.

— To samo chciałem się spytać pana — powiedział Brown. — Ilu ich pan poznał?

— O ile mogłem poznać ich z fotografii, to ze stu pięćdziesięciu.

— Na pewno ich pan poznał?

— Na pewno — nie, ale taka ilość rozpoznanych wchodzi w rachubę, to nie mógł być przypadek.

— Theilera tam naturalnie nie było.

— Nie było; zaginął dopiero dzisiaj, kto wie, gdzie się znajduje.

— Cała sprawa wygląda zagadkowo. Ma pan tu ludzi, którzy zniknęli, a oni sami dobrowolnie podają obce nazwiska. Nie widać po nich, żeby tu byli trzymani przemocą, co więcej — są bardzo weseli.

— Straszliwie weseli — dodał Salak — patologicznie weseli. — Czy normalny człowiek może być tak wesoły, jeśli wykonuje tak bezmyślną robotę jak wyrób figlarnych przedmiotów — zastanawiał się Brown.

— To jest właśnie dziwne — rozumował Salak. — Ci ludzie byli po części melancholikami, ten Fox z Phoencii na pewno, a teraz chichocze tu dwa tysiące razy dziennie, ilekroć spojrzy na figurkę, w której w sumie nic śmiesznego nie ma. Ale przecież to niemożliwe, żeby wszyscy do tego stopnia zwariowali. Na mnie robi to wrażenie zakładu dla obłąkanych.

— Jeden z nich był zupełnym osłem, ten drugi był jakiś dziwny i mówił całkiem do rzeczy. Niektórzy mówili nie tylko do rzeczy, ale nawet rozumnie. Jak się pan chce w tym wszystkim połapać, *dear* Salak.

— Przyznam się panu, mr Brown, że w tej chwili nie przychodzi mi nic na myśl.

— Widzę to po panu, ale niech się pan nie martwi.

I w tym miejscu Brown wykazał, że zajmuje wyższe stanowisko służbowe niż Salak i że

w związku z tym posiada trochę więcej może nie pomysłów, ale rutyny w rozumowaniu, tak bardzo typowej dla wyższego stopnia służbowego wszystkich urzędów na świecie. Salak był w Ameryce bystrym uczniem, ale mimo wszystko uczniem. Przed nim stał mistrz, być może mniej genialny, ale mimo wszystko mistrz. Można by to porównać z sytuacją, kiedy młody Dworzak stał ze swoimi kompozycjami przed zwyczajnym wiejskim nauczycielem Lehmanem. Ów nauczyciel znał się lepiej na muzyce, ale Dworzak miał iskrę geniusza, która zmieniła się w pożar ducha jedynie dlatego, że wiejski nauczyciel wyszukiwał w jego pracach błędy i że uzupełniał i korygował jego koncepcję. Oba przysłowia bowiem są prawdziwe: i to, które mówi, że „uczeń nie przewyższy mistrza”, i to, które mówi, że „uczeń przewyższa mistrza”, bowiem jedynie dzięki temu możliwy jest postęp.

— *Well*, Salak. My, gdy nie wiemy, co dalej, kierujemy się jedną zasadą, o której już panu tyle razy mówiłem. Więcej ewidencji.

— Dobrze, ale skąd?

— Nie przesłuchaliśmy porządnie tej jaszczurki. Pójdziemy i pogadamy z nią.

— Myślę, że wiele z niej nie wydobyjemy.

— Zobaczymy. Spróbować można. Niech pan patrzy, jak ją Hardneck zrobił na szaro.

— Brown zaśmiał się jowialnie.

Salak musiał zgodzić się na jego projekt, więc podeszli do tamtych dwojga stojących naprzeciw siebie jak gdyby w niewinnej rozmowie, przy czym jedno z nich trzymało w kieszeni gotowy do strzału rewolwer.

— *Well, miss* — powiedział Brown. — Proszę wejść do środka, porozmawiamy sobie.

— Nie zgadzam się na jakąkolwiek rozmowę.

— W takim razie pojedzie pani z nami i może pani milczeć, jak długo się pani spodoba.

— Nie macie prawa mnie aresztować. Jesteśmy przecież w wolnym kraju, a nie w Niemczech czy gdzie indziej. Nigdzie z wami nie pojedę.

— Niech pani nie uczy starego człowieka znajomości prawa. Składałem z tej dziedziny kilka pomyślnych egzaminów i znam się na tych szaradach, które nazywają paragrafami. Pani odmawia udzielenia urzędowi informacji. Odmawia go pani w poważnej sprawie. To jest karalne. I tę karę zaraz na panią nałożymy.

— I można to zrobić bez sądu?

— Bez sądu, gołąbku, bez sądu. Sąd zdecyduje później, czy nasze postępowanie było słuszne. Zaryzykujemy.

— Niech pan nie ryzykuje — powiedział Hardneck i dotknął go nosem.

Salak słuchał zdziwiony, ponieważ cała rozmowa była dla niego, znającego jedynie prawo średniowieczne, poniekąd dziwna.

— Ma pan rację, mój chłopcze — powiedział Brown. — Dlaczego mielibyśmy jej iść na rękę? Jeśli odmawia informacji, niech ją schowa dla siebie. Salak, niech pan zaprotokołuje, że odmawia informacji.

Dziewczyna patrzyła przerażona, dlaczego przestali się nią nagle interesować. Chciała się odwrócić i odejść, gdy Brown powiedział ojcowskim tonem:

— Zdaje się, że zna się pani na przepisach prawnych. W takim razie powinna pani wiedzieć, że odmawiając informacji staje się pani współnikiem każdej zbrodni, którą tu wykryjemy.

— O jakiej zbrodni pan mówi?

— Tego się pani nie dowie. Wystarczy, jeśli powiemy, że jesteśmy na tropie zbrodni. Zechce pani z nami mówić, czy nie? A może zakazano pani mówić?

— Niech ją pan zostawi — powiedział Hardneck — szkoda czasu, nie chce mówić, to niech nie mówi. Tylko, moja panno, niech pani sobie uświadomi, że za zbrodnię karze się krzesłem elektrycznym, a współnika mniej więcej dwudziestoma latami więzienia. Pani ma teraz około dwudziestu pięciu, ciekawe będzie patrzeć na świat, gdy będzie pani miała czter-

dzieści pięć, pani sobie tylko wyobrazi postęp w owym czasie. Brown będzie już starcem, ja będę w grobie, a Salak będzie prezesem rady ministrów w tej swojej republice, a pani, pani — będzie starszą damą. Żegnam panią.

— Co chcecie wiedzieć? — powiedziała dziewczyna ciągle jeszcze ostrym tonem. — Muszę się wpięrw namyślić, ewentualnie poradzić z prawnikiem.

— Nie — powiedział Brown — żadnych namysłów. Żadnego prawnika czy innego krętacza. Będzie pani mówić zaraz albo wcale. Hardneck ma rację.

— Chodźcie, panowie, do biura. Postaram się pójść wam na rękę. Bronię się tylko dlatego, ponieważ czuję, że powinnam się przedtem naradzić przynajmniej z moim pracodawcą lub prokurentem.

— Na razie z nikim. Pomówimy sobie z obydwoma później — rzekł ciężko dysząc Brown. — Chodźmy gdzieś, gdzie słońce tak nie praży.

Udali się wszyscy do biura, usiedli na krzesłach, a Salak zauważył ze zdziwieniem, że nikt w korytarzu nie zwrócił na nich uwagi. Gdyby to było w Czechach, pomyślał sobie, i policja chodziłaby po fabryce w towarzystwie sekretarki, cała fabryka byłaby na nogach, do każdej dziurki od klucza przytknięto by ucho, zbiegliby się ludzie z sąsiedztwa, prokurent twierdziłby, że sekretarka o niczym nie wie, a sekretarka powtarzałaby, że prokurent jest zupełnym osłem; do kancelarii co pół minuty ktoś by wpadał, niby przypadkiem, i nie ruszyłby się z miejsca, ale tutaj — tutaj nikt nie zwracał na nich uwagi, nie był to ich business. Salak zaczął już się orientować, że nie pozostaje to w związku z dziwnym charakterem załogi, ale że jest to normalny amerykański zwyczaj niemieszania się do spraw, o które mnie nie pytają. Spotkali wprawdzie na korytarzu dwie osoby, najwidoczniej urzędników, ale żaden z nich nie poświęcił im więcej uwagi aniżeli nagim ścianom fabryki. Wreszcie usiedli wszyscy w chłodniejszym pokoju, usadowili się tak, by znaleźć się bodaj trochę w przeciagu, a Brown powiedział:

— Salak, ja zacznę przesłuchanie sam, a pan będzie kontynuować, kiedy pan uzna za stosowne. Miss, proszę odpowiadać Salakowi tak samo jak mnie. Jak się pani nazywa?

— Mary Smith.

— Jak długo tu pani pracuje?

— Cztery lata.

— Gdzie pani była przedtem?

— Studiowałam na Hunters College w Nowym Jorku.

— Jak się nazywa pani pracodawca?

— Doktor Andrea Gerard Takamine.

— Doktor czego?

— Medycyny.

— Gdzie moglibyśmy go teraz znaleźć?

— Nie wiem.

— Kiedy tu będzie znowu?

— Nie wiem.

— Czy mogę o coś spytać? — odezwał się Salak.

— Oczywiście — powiedział Brown.

— Czy doktor Takamine wykonuje praktykę?

— Tak.

— Gdzie?

— Ma małe sanatorium, właściwie szpital prywatny w West-Chester w pobliżu Fairfieldu.

— Co to za szpital?

— Nie wiem, nie byłam tam.

— Miałem na myśli, jakich chorych tam przyjmują?

- Nie wiem.
- Na pewno pani nie wie?
- Zbytecznie się pan jej pyta — wtrącił się Brown — jak raz powie „nie wiem”, to nie będzie wiedzieć. Niech pan pyta dalej.
- Skąd przyjmujecie robotników?
- Nie wiem.
- Przecież prowadzi pani ich kartotekę?
- Tak, ale robotników nie przyjmuję.
- Kto ich przyjmuje?
- O przyjęciu decyduje jedynie pracodawca.
- *Wait a moment*, Salak — wtrącił się znowu Brown — czy przyjmujecie robotników w drodze konkursu?
- Nie, nigdy — powiedziała dziewczyna i zmieszała się, jak gdyby wspomniała o sprawie, którą od początku starała się ominąć.
- Jak odbywa się przyjmowanie nowych robotników?
- Rozmaicie.
- Teraz znów zaczął wypytywać Salak:
- Kiedy przyjęła pani ostatniego?
- Przed miesiącem.
- Jak się nazywał?
- Dziewczyna wymieniła nazwisko człowieka, w którym Salak rozpoznał zaginionego z Yonkers i który również podał mu to samo nazwisko, co dziewczyna, zamiast prawdziwego.
- Jak się tu dostał?
- Przywiózł go doktor Takamine.
- Skąd?
- Nie wiem.
- Czy doktor Takamine przywiózł również innych robotników?
- Tak, tak, przywiózł wszystkich.
- Gdzie mieszkają wasi robotnicy?
- W barakach za fabryką.
- Czy wychodzą poza obręb fabryki?
- Rzadko.
- Kiedy po raz ostatni któryś z nich wyszedł poza obręb fabryki?
- Nie pamiętam.
- Czy ktoś ich odwiedza?
- Rzadko.
- Kiedy któryś z nich miał odwiedzin?
- Nie pamiętam.
- Czy jest pani wiadomo, że robotnicy robią wrażenie ludzi chorych umysłowo?
-
- Zanim pani odpowie, chcę zwrócić pani uwagę, że odpowiedź może mieć znaczenie przy ocenie pani winy przed ławą przysięgłych.

Jak widzimy, Salak orientował się już częściowo w amerykańskim ustawodawstwie. Tego rodzaju ostrzeżenie robi się nie dlatego, że amerykańska policja jest uprzejma i pełna kurtuazji, czy też dlatego, żeby w stosunku do podejrzanego przestrzegała prawideł *fair play*, jak to sobie wyobrażają czytelnicy powieści kryminalnych, lecz po to, by przestrzec niewinnego o grożącej mu współwinie, o ile będzie zeznawał niezgodnie z prawdą, lekkomyślnie lub kierując się względami ubocznymi. Zwraca się więc uwagę, że odpowiedź na postawione pytanie ma decydujące znaczenie zarówno dla śledztwa, jak i dla oceny winy. A ten, kto chce ocenić winę w sposób obiektywny, czyli kto chce jej szukać tylko tam, gdzie istnieje napra-

wdę, a nie chce odnaleźć jej za każdą cenę gdziekolwiek, ten woli z góry zwrócić przesłuchwanemu uwagę, ponieważ może być pewny, że bądź otrzyma wówczas odpowiedź prawdziwą, bądź też ma przed sobą winowajcę. Niekiedy robią w Ameryce jeszcze w ten sposób, że nie ostrzegają przesłuchiwanego natychmiast, ale słuchają jego pierwszej odpowiedzi i zapisują ją do protokołu, po czym udzielają przesłuchwanemu ostrzeżenia i następnie protokołuje się drugą odpowiedź. Jeśli odpowiedzi różnią się, oznacza to niemal zawsze, że chodzi o niewinnego, który zeznawał nieprawdziwie z jakichś ubocznych względów, a nie dlatego, że był winien.

— Tak, jest mi wiadome — odpowiedziała dziewczyna.

— Czy jest pani wiadome dlaczego?

— Niezupełnie.

— Jak sobie to pani tłumaczy? Jakie jest pani zdanie w tej sprawie? To pytanie również posiada decydujące znaczenie dla oceny współwiny.

— Moje osobiste zdanie nie może być przecież powodem do oceny czegoś, o czym nie mam nawet wyobrażenia.

— To będzie pani mogła wyjaśnić ławie przysięgłych, ewentualnie sędziemu śledczemu, jeżeli zostanie pani oddana do jego dyspozycji. Nas, policję, interesują tylko fakty, a pani osobiste zdanie jest dla nas również pewnym faktem.

— Proszę, ażebym była przesłuchiwana przez obywatela Stanów Zjednoczonych — oświadczyła dziewczyna, która jak to często u przesłuchiwanym bywa, miała wrażenie, że właśnie przesłuchujący jest do niej źle nastawiony, podczas gdy na przykład ten grubasek obok, co pali cygaro, to Amerykanin i na pewno byłby grzeczniejszy niż ten człowiek ze wschodu.

— *All right*, tylko że będzie to dłużej trwało — powiedział Brown. — Jakie więc jest pani osobiste zdanie na temat psychicznego stanu robotników? Proszę odpowiadać szybko, nie mamy czasu.

— Panowie — wtrącił się Hardneck — wybaczcie, że wam przerywam, ale wy w Nowym Jorku przesłuchujecie tak, jak gdybyście grali w krokieta, gdzie po zakończonym meczu przeciwnicy podają sobie rękę. Ja bym proponował, ponieważ czas nagli i mamy jeszcze wiele do roboty, żebyście zaniechali tej konwersacji. Zatelefonuję do prokuratora po rozkaz aresztowania i zamkniemy panią. Jak posiedzi sobie przez miesiąc pod kluczem, stanie się bardziej rozmowna. Pani studiowała w Hunters College, prawda?

— Tak, to wam przed chwilą powiedziałam.

— A czy pani wie, że to po pani poznać? Stamtąd pochodzą najwięksi pyszałkowie z całych Stanów. Zgadza się pan, Brown? Zadzwonię do prokuratora.

— Przepraszam, ale ja przecież odpowiadam na pytania — broniła się dziewczyna, którą znowu obleciał strach. — Nie możecie mnie aresztować dlatego, że bronię swoich praw.

Hardneck kilkakrotnie wysunął nos i wargi do przodu i ponownie je cofnął, a następnie ryknął: — A pani sobie myśli, osobo jedna, że się będziemy tutaj z panią bawić? A więc niech pani mówi zaraz i grzecznie, i to także z Salakiem. Mimo że jest cudzoziemcem, sprawuje u nas funkcje urzędowe, a pani, ty biurowy inwentarzu, musi wystarczyć to, że jest w naszym towarzystwie. Jeśli usłyszymy od pani jedną impertynencję, każę panią natychmiast aresztować i rękę, że pani zobaczy swojego adwokata dopiero wtedy, kiedy my na to — zgodnie z prawem — pozwolimy. Prowadzimy śledztwo w sprawie zbrodni, ty sekretarko pospolita. Więc będzie pani mówić, czy nie? — Naraz zauważył, że dziewczyna nabiera oddechu i zamierza wybuchnąć głośnym płaczem, czyli tak zwanym szlochom. Natychmiast wyjął z kieszeni rewolwer, odbezpieczył go i powiedział: — Jeśli pani piśnie — to strzelę, będę zupełnie bezwzględny. Niech pani natychmiast odpowie, będzie pani mówić, czy nie?

Salak był już dzisiaj po raz drugi ciekaw, czy Hardneck naprawdę użyłby broni podczas przesłuchania świadka, co do którego mogło się wkrótce okazać, że jest zupełnie niewinny.

Prawdopodobnie wystrzeliłby w powietrze, a dziewczynę zaaresztował, ale lufa rewolweru podziałała widocznie sugestywnie i uspokajająco niczym porcja bromu.

Dziewczyna powiedziała natychmiast:

— Tak, proszę pytać.

— Niech pan pyta — zwrócił się Hardneck do Salaka, a twarz jego również uspokajała się z wolna.

— Nie będę pytał. Czekam odpowiedzi na ostatnie pytanie. Proszę, niech pani mówi. Nie będę powtarzał pytań, nie jesteśmy w szkole.

— *Right*, Salak — powiedział Brown, wyprężając pierś z zadowoleniem.

— Uważałam zawsze naszych robotników za wyleczonych pacjentów doktora Takamine. Przeważnie przywoził ich tutaj sam, a czasem jego szofer ze szpitala.

— Dlaczego nie powiedziała pani tego od razu?

— Uważałam to za nielojalność wobec mego pracodawcy.

— Dlaczego nielojalność?

— Dlatego, że robotnicy nasi są bez wątpienia tańsi niż robotnicy innych fabryk.

— Czy mają niższą gażę?

— Na papierze nie, ale w rzeczywistości firma na nich zarabia, ponieważ cały ich zarobek pozostaje w fabryce. Płacą tu za mieszkanie i utrzymanie, co przynosi fabryce zysk, a resztę zarobków lokują na rachunku bieżącym przedsiębiorstwa, zwiększając w ten sposób jego kredyty.

— Czy wasi robotnicy mają jakichś krewnych?

— Nigdy nikogo nie widziałam.

— Czy ich oszczędności pozostają na miejscu?

— W większości wypadków tak. Poza tym każdy z robotników płacił z tych oszczędności większą kwotę za leczenie w szpitalu doktora Takamine. Dlatego sądziłam, że szło o niezamożnych chorych, których nasz doktor zatrudniał przede wszystkim dlatego, ażeby otrzymać honorarium.

— *Well*, to byłoby jasne — powiedział Brown. — Czy chce pan jeszcze prowadzić przesłuchanie dalej?

— Myślę, że wiemy wszystko. Teraz moglibyśmy jeszcze przesłuchać kilku innych urzędników w fabryce, ażeby sprawdzić zeznania tej pani.

— Nie, nie zrobimy tego — powiedział Brown kategorycznie. — Pojedziemy do pana Takamine natychmiast. Pani chciałaby pojechać z nami, nieprawdaż?

— Czy to konieczne?

— Obawiam się, że tak.

— Dobrze, powiem w takim razie, że odjeżdżam — i z tymi słowy skierowała się ku drzwiom.

— Nie, powie to pani w naszej obecności — ciągnął dalej Brown. — Niech pani kogoś tu zawoła. Proszę nie mówić, że jesteśmy z policji.

— Jak długo się tam zatrzymamy?

— Powiedzmy, dwie godziny, potem będzie pani mogła przesłać o sobie wiadomość.

— Dobrze, ale nie mogę wzywać prokurenta do siebie, jest moim przełożonym. Wstąpimy do niego, dobrze?

Dziewczyna włożyła kapelusz i wyszli. Najpierw dziewczyna z Hardneckiem, za nią Brown z Salakiem. Zatrzymała się w kancelarii prokurenta i powiedziała:

— Mr Smith, jadę teraz na dwie godziny z tymi panami, nie będzie mnie pan potrzebował?

— Nie — powiedział prokurent — ma pani wolne aż do wieczora.

Salak, który pozostał wraz Brownem nieco w tyle, zapytał go, po co biorą dziewczynę ze sobą, wystarczyło przecież poprosić centralę międzymiastową, ażeby nie łączyła żadnych

rozmów z fabryką.

— Nie zna pan Ameryki, przyjacielu. Mogliby ostrzec pracodawcę za pośrednictwem kilku central; na pewno mają kable w kilku centralkach, w praktyce nie da się więc tego przeprowadzić. Dlatego nie chciałem, żeby pan jeszcze kogoś przesłuchiwał. Musiałby jechać również z nami. A wtedy byłoby nam za duszno. Jest pan inteligentny, ale nie ma pan jeszcze rutyny. Jaki ma pan program?

— Znaleźć Theilera.

— Dobrze, prawdopodobnie będzie w tym szpitalu.

— Tak sądzę, że Takamine tych ludzi w jakiś sposób porwał, w szpitalu ich może zahipnotyzował, w ogóle coś z nimi musiał zrobić, a potem wykorzystał ich jako siłą roboczą.

— Ale co z nimi zrobił?

— Tego właśnie nie wiem. Dlatego najlepiej będzie, gdy weźmiemy ze sobą większe siły, ale do szpitala pójdziemy we dwójkę albo we trójkę i postaramy się zaobserwować, co się tam dzieje.

Wsiadli do auta i pojechali z powrotem do Ridgefield. Tu zatrzymali się najpierw przed komisariatem policji. Brown połączył się z centralą w Nowym Jorku i wydał rozkazy.

Rozkaz 538.27. Fairfield, za godzinę czterdzieści pięć minut.

Oznaczało to, że pięć samochodów pancernych, każdy z dziesięcioma ludźmi załogi, uzbrojonymi w broń palną i sprzęt pożarowy, czyli drabiny z płachtami, ma wyruszyć w drogę tak, aby znaleźć się przed komisariatem policji w Fairfield za godzinę i trzy kwadransy. System dziesiątkowy zdobył sobie prawo obywatelstwa również w archiwach policyjnych i rozkazy wydawane były według niego i według przygotowanego z góry schematu. Miało to tę zaletę, że rozkazy były zwięzłe, a poza tym nie rozumiałaby ich nawet najlepiej zorganizowana szajka, mówiono, że na systemie dziesiątkowym nie zna się nawet sam dyrektor policji. Amerykanom najbardziej przypadła do gustu zwięzłość owych rozkazów.

Zaraz potem Brown powrócił do samochodu i ruszyli poprzeczną szosą, prowadzącą ze wschodu na zachód w kierunku Fairfield. I znowu auto pędziło po asfalcie dalekobieżnej szosy, mijało krzewy i drzewa, trawniki i puste przestrzenie, przejeżdżało ze świstem obok rzeczek i po stokach granitowych zboczy. Z początku panowała cisza. Wreszcie zabrał głos Hardneck, siedzący obok szofera, zwróciwszy do tyłu swój nos, w kierunku wygodnego oparcia, na którym spoczywali Brown, panna sekretarka i Salak.

— Teraz powinniśmy pani wyjaśnić, o co właściwie chodzi.

— Czy to konieczne? — spytał Salak. — Pani wybaczy, ale jest pani współniczką, udzielimy jej w ten sposób zbyt wiele informacji.

— Czy jest współniczką, o tym się przekonamy — powiedział Brown. — Ale może nam udzielić jeszcze informacji. Przyjdzie jej to łatwiej, jeśli jej wyjaśnimy, o co chodzi. Niech pan mówi, Hardneck.

— Pani pracodawca jest podejrzany o porwane przeszło dwustu ludzi w ciągu ostatnich trzech lat. Niektórych z zaginionych poznaliśmy w waszej fabryce. Nie rozumiemy jednak, dlaczego ci ludzie sami nie zawiadomili swych rodzin, ewentualnie dlaczego naraz tak zgłupieli i stracili pamięć. Co to za człowiek ten Takamine?

— Ma około czterdziestu lat, jest lekarzem, po dziadku jest częściowo pochodzenia japońskiego, ale myślę, że ma już więcej krwi amerykańskiej. Jest bardzo lubiany i miły dla każdego. Nie wiem, co mogłabym jeszcze o nim powiedzieć.

— Jaki jest jego stosunek do robotników?

— Odwiedza czasem fabrykę, zamienia tu i ówdzie parę słów, robi sobie uwagi w notesie, ale poza tym nie utrzymuje z robotnikami kontaktu.

— Czy wasi robotnicy są zawsze tacy spokojni?

— Nie zawsze. Czasem zdarza się, że mają ataki gniewu, które musimy poskramiać. Wzywamy do tego zazwyczaj pozostałych spokojnych robotników, a ci polewają ich wodą. Potem szybko się uspokajają i znowu pracują bez szemrania.

— Widzi pani — powiedział Salak — najdziwniejsze w tym wszystkim jest to zadowolenie. My ledwie trzymaliśmy się na nogach w tym upale, a ci ludzie pracowali i śmiali się. Ta wasza fabryka wygląda na pierwszy rzut oka jak wyspa szczęścia.

— Doktor Takamine też to raz powiedział, że jest to jedyne miejsce i jedyni ludzie, którzy są naprawdę szczęśliwi i że jemu to szczęście zawdzięczają.

— Tylko — ciągnął Salak — to szczęście wygląda mi jakoś nienaturalnie. W ten sposób może być ktoś szczęśliwy po zażyciu morfiny albo po prostu gdy oszołomi się alkoholem. On sam czuje się szczęśliwy, ale ktoś trzeźwy, kto na niego patrzy, ma nieprzyjemne uczucie, że jego doznania są fałszywe. A może tak nawet jest. Nie miesza ten wasz doktor tym ludziom do jedzenia jakichś narkotyków? Znanych lub nieznanych. Ci ludzie mogliby w ten sposób reagować na przykład po morfinie.

— Niezupełnie. Tego rodzaju otępienie nie występuje po morfinie — rzekł Brown. — Zresztą gdyby przez dwa lata pozostawali pod działaniem jakiejś trucizny, odbiłoby się to na ich wyglądzie, byłiby wyniszczeni.

— No, a czym w takim razie pan to wytłumaczy? — spytał Salak.

— Nie wyjaśniamy, zbieramy fakty, drogi przyjacielu — odparł Brown z uśmiechem. — Pański mózg jest pełen pomysłów. Musi go pan trochę pohamować. Niech pan mniej myśli, a więcej pracuje. Niech pan nie kombinuje, co tam Takamine z nimi robi. Niech się pan stara to stwierdzić.

— Co pani o tym sądzi? — spytał Salak.

Dziewczyna, która już poddała się woli bożej, odpowiedziała całkiem grzecznie:

— Nie wiem, kilka razy zastanawiałam się nad tym, ale nic nie przyszło mi do głowy; wsypywanie czegoś do jedzenia nie jest prawdopodobne, jemy czasem to samo i niczegośmy nie zauważyli. Nie jest to jednak wykluczone. Po prostu nie wiem.

— Kto u was gotuje w stołówce? — pytał w dalszym ciągu Salak.

— Dawniej mieliśmy kilka kucharek, którym pomagali nasi robotnicy. Teraz gotują i pracują w kuchni robotnicy, tacy jak ci w warsztatach.

— Zrobiłem jeden błąd — powiedział Salak — a to dlatego, że się zbyt zamerykanizowałem. Zapomniałem o swojej fantazji i dlatego nie zajrzałem do kuchni.

— Błąd nie w tym, że nie miał pan fantazji — powiedział Brown — ale w tym, że nie byliśmy dość dokładni.

— Ale dlaczego pan, panie Salak, przerwał rozmowę o tym Takamine — spytał na przodzie Hardneck.

— Istotnie, staję się roztargniony jak Amerykanin. Niech pani powie, ile ten wasz doktor ma lat?

— Około czterdziestki.

— Jest żonaty?

— W tej chwili nie, był kiedyś i podobno się rozwiódł.

— Czy ma dzieci?

— O ile wiem, nie.

— Czy ma jakichś bliskich przyjaciół?

— Wie pan, to ciekawe, nie ma. Przynajmniej nie u nas w Older Valley. Nigdy z nikim nie przyjeżdżał, do klubu nie chodzi, do Ridgefieldu nie jeździ. Nie wiem, oczywiście, czy nie ma swojego towarzystwa gdzieś w Fairfield.

— Czy w stosunku do urzędników jest serdeczny czy raczej chłodny?

— Chłodny, nawet trochę zarozumiały, myślę z europejskiego punktu widzenia, ale tutaj jest to normalna cecha pracodawcy.

— Czy mówił kiedyś o sobie?
— Nie, najwidoczniej jest dobrze wychowany.
— Tutaj opowiadanie o sobie uważane jest za coś złego?
— Pracownikom? Oczywiście!
— Była pani kiedyś w jego szpitalu koło tego Fairfield?
— Tak, trzy albo cztery razy, kiedyś coś spisywał, dyktował mi wtedy.
— Co to za szpital?
— Jest to jego prywatne sanatorium, może mieć chyba z dwadzieścia łóżek. Jest tam kilku pacjentów.
— Jakich?
— Nie wiem, ale myślę, że nerwowo lub umysłowo chorych. Wie pan, coś jak gdyby prywatny szpital dla wariatów, ale na pewno nie wiem.
— Po czym to pani wnioskuje?
— Ponieważ wszyscy nasi robotnicy robią wrażenie ludzi nienormalnych, a poza tym nie widziałam nigdy, żeby w tym sanatorium chorzy poruszali się sami, zawsze w towarzystwie pielęgniarki.
— Dużo jest tam tych pielęgniarek?
— Widziałam kilka.
— Sądzę w takim razie, że musiały to być współpracowniczki. Jeśli porwania odbywały się poprzez to sanatorium — powiedział Salak do Browna.
— Dlaczego pan tak sądzi? Sądzenie to rzecz sędziego. My pójdziemy tylko coś stwierdzić.
— *Dear mr Brown*, niech pan nie niszczy moich zapędów — powiedział Salak. — Jeśli przestanę sądzić, nic mi nie przyjdzie do głowy.
— W wypadku, gdyby pomysł był zły, będzie to tylko korzyść. *Well*, Salak, *never mind*, każdy z nas ma inny mózg. Niech się pan o to nie gniewa.
— A gdybyśmy napili się jakiejś kawy albo zjedli jakieś lody w tym upale? Jestem głodny — powiedział Hardneck.
— Dziwna rzecz, ja nie — powiedział Brown. — Nie mogę jeść ani pić, ciągle myślę o tym, że gdzieś tam czeka na nas Theiler.
— *Sorry* — powiedział Hardneck.
— Czy chce pan jeszcze o coś zapytać, panie Salak?
— Tak, co dyktował pani wtedy w szpitalu?
— Zawsze jakieś rozprawy medyczne, dla mnie przeważnie niezrozumiałe.
— Nie wie pani nawet w przybliżeniu o czym?
— Coś o chorobach umysłowych albo nerwicach, także o medycynie społecznej, ale jak mówię, są to jedyne słowa, które przypadkiem zapamiętałam.
— Skończyłem — powiedział Salak, a samochód, jakby na potwierdzenie tych słów, podskoczył na małym wyboju.
— Teraz ja panią o coś zapytam — powiedział Brown. — Proszę pani, jakie usposobienie ma doktor Takamine? Niech je nam pani opisz. Dziwię się panu, panie Salak, że pan o to nie spytał.
— Nie pytałem celowo.
— Dlaczego?
— Widzi pan, opis osoby to trudna sprawa, a opis usposobienia to jeszcze trudniejsza. Człowiek wyrabia sobie podświadomie, na podstawie czyjegoś opisu, swoje własne niewłaściwe wyobrażenie, kieruje się nim, a to może go zaprowadzić Bóg wie dokąd.
— Czy nawet wtedy, kiedy ja będę pytał, będzie to miało jakiś wpływ na pana?
— Nie, nie będę słuchał.
— No, proszę, niech pani mówi.

— Jest to człowiek wysokiego wzrostu — zaczęła dziewczyna — bez zarostu, o nieco skośnych oczach, nadających mu specjalny wyraz. Z natury jest nieprzystępny, ale w zasadzie uczynny. Zawsze dawał mi zwolnienie, kiedy go o to poprosiłam. Nie jest skąpy, płaci nam bardzo dobrze.

Widać było, że dziewczyna oceniała usposobienie tego człowieka wyłącznie według tego, jak doktor odnosił się do niej samej.

— Nie ma żadnych przywar, jest chłodny i uczuciowo niewylewny. Nie wiem, co bym mogła jeszcze o nim powiedzieć.

Salak przez cały czas spoglądał przez okienko na mijane w szybkim tempie obrazy okolicy, palił papierosa i obmyślał sobie dalsze plany. Był pewien, że robotnicy utrzymywani są w pogodnym nastroju i pomieszaniu zmysłów przy pomocy jakiegoś narkotyku i daremnie zastanawiał się, co to może być, co wywołuje tak gruntowne zmiany i nie szkodzi przy tym fizycznemu zdrowiu, wszyscy bowiem robotnicy wyglądali bardzo dobrze. „Będę się musiał poradzić jakiegoś lekarza albo toksykologa” — powtarzał sobie, ponieważ czuł, że w tej sprawie trzeba zasięgnąć opinii u znawcy. Z rozmyślenia wyrwały go słowa Browna:

— *Well*. Ja także skończyłem. Ma pan jakiś plan?

— Mam, proponuję otoczyć całe sanatorium, a my teraz pójdziemy pod jakimś pretekstem odwiedzić Takamine. Któryś z nas może udawać chorego albo możemy powiedzieć, że policja potrzebuje jego rady w sprawie jakiegoś prawdziwego lub zmyślnego wypadku.

— *All right*, zgadzam się — powiedział Brown, a samochód zbliżał się tymczasem do rozległych fairfieldskich łąk, za którymi dymiły fabryki i wielkie dworce tego miasta. W chwilę później znaleźli się w mieście, minęli je i wjechali przez skrzyżowanie o skomplikowanym trójlistnym kształcie w zachodnią jego część, przechodzącą w urodzajne sady, pola i gaje. Krzewy stawały się coraz gęstsze i naraz pomiędzy wysokimi jaworami ukazał się biały, dwupiętrowy budynek w wiktoriańskim stylu.

— To tutaj — powiedziała dziewczyna.

XIII

Stał tu na szosie szereg samochodów policyjnych. Brown kazał się zatrzymać i wydał krótki rozkaz:

— Oddział otoczy ostrożnie szpital w promieniu słyszalności gwizdka. Nie wolno przystępować do żadnej akcji, dopóki go nie usłyszycie. Gdybyśmy nie wrócili w ciągu dwóch godzin, zaatakujecie szpital. Przez ten czas nikt ze znajdujących się w okrażeniu nie może go opuścić. Zatrzymacie każdego.

— *All right* — powiedział dowodzący oficer i przekazał rozkaz podwładnym. Ci ostatni wysiedli z samochodów, uzbrojeni w krótkie pistolety automatyczne, i rozproszyli się po krzakach. W tym momencie nie trzeba już było pisemnych rozkazów ani nakazu aresztowania, wystarczyła ustna komenda i znać było, że absolwenci średniej szkoły policyjnej wiedzą, co mają robić. Nie będą nikogo aresztować, ponieważ byłoby to sprzeczne z konstytucją Stanów Zjednoczonych, ale gdyby ktoś chciał umknąć ze szpitala i prześliznąć się przez ich kordon, zostanie zawrócony, a za chwilę natrafi na inną część okrażenia, która robi to samo, i będzie to trwało dopóty, dopóki nie nadejdzie konkretniejszy rozkaz. Brown wsiadł do samochodu i ruszyli z wolna w stronę szpitala. Sekretarkę zostawili przy samochodach, przekazując ją dowodzącemu oficerowi. Hardneck pozostał wraz z nią, tak że do szpitala pojechali tylko Brown z Salakiem.

- *Well, Salak, how are you!*
- *All right!*
- Zaciągamy ostatnią pętlę.
- Tak, wiem.
- Cieszy się pan?
- Nie, mam obawy.
- Jakie?
- O Theilera. Jest już prawie szósta.
- *Well*, jest już pan prawie Amerykaninem. Nie czuje pan żadnej satysfakcji z pomyślnie zakończonego dzieła?
- Żadnej, tylko obawę, czy uda nam się ocalić Theilerowi życie?
- Zrobimy, co będzie w naszej mocy.
- Możliwe, że będziemy musieli zrobić więcej.

*

Theilerowi tymczasem upływały powoli minuty. Patrzył bez przerwy na kawałek nieba i bez przerwy zastanawiał się, co ci ludzie z nim na koniec zrobią. Żałował, że nie powiedział, że jest funkcjonariuszem policji, ale z drugiej strony powtarzał sobie, że gdyby to był zrobił, byłby może swój los przypieczętował do reszty. Nie umiał jakoś sprecyzować w myślach, co właściwie powinien był zrobić; te wątpliwości zresztą ma każdy, kto znalazł się w nieszczęściu. Przecież zawsze mówimy sobie: powinienem był zrobić to, powinienem był zrobić tamto, może zrobiłem błąd, i w tym daremnym rozrachunku z samym sobą zapominamy, że przeszłość jest bezpowrotna i nie da się naprawić. Theiler był w tego rodzaju sytuacji, że mógł sobie z tego zdać sprawę, gdyby był w odpowiednim nastroju. Zastanawiał się bowiem, czy ma im coś powiedzieć, jeśli wyjmą mu bodaj na chwilę knebel, czy też nie mówić nic.

Upał zelzał tylko trochę, ponieważ mijała godzina piąta, a światło słoneczne na jaworowych liściach zaczynało żółknąć. W tym momencie usłyszał z oddali znany mu warkot samochodów, znany dlatego, ponieważ charakterystyczny dla samochodów policyjnych. Warkot nagle ustał i zaległa cisza. Theiler już się ucieszył, że jadą po niego, i poczuł prawdziwą radość; wszystkie dolegliwości łącznie z suchością w ustach zniknęły, taka jest siła radości i nadziei. Ale czas włókł się w ciszy dalej, a Theiler zapomniał, że nie potrafi go odgadnąć. Sądził, nie mając możliwości sprawdzić, że minęła przynajmniej godzina i nic się nie dzieje i nadzieja jego znowu poczęła się rozwiewać. Nie mógł wiedzieć, że w tym momencie przybywają mu już na odsiecz, nie mógł wiedzieć, że to, co uważał za godzinę, trwało zaledwie dziesięć minut, ponieważ w tym momencie nie liczył własnego tętna — będącego oprócz słońca jedynym, choć niedokładnym czasomierzem — tętna, którego oczywiście nie mógł namacać na związanych rekach, ale które waliło mu w obolałych skroniach. Panowała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu dalekim warkotem osobowego samochodu.

Naraz usłyszał na korytarzu kroki i ucieszył się znowu.

Dolegliwości znowu minęły, ponieważ był pewien, że nadchodzi pomoc. Drzwi otworzyły się energicznie i weszło kilka osób. Wszyscy byli w białych fartuchach: trzech lekarzy, jeden starszy i dwóch młodszych, oraz dwie rosłe pielęgniarki. Wszyscy zatrzymali się nad jego łóżkiem, przez chwilę panowała cisza, jak przy każdym lekarskim obchodzie, a następnie odezwał się najstarszy:

- Przygotujcie go na godzinę szóstą.
- *All right, doctor* — powiedział jeden z młodszych kolegów.
- Nie moglibyśmy wyjąć mu na chwilę knebla? — powiedziała pielęgniarka.

Ordynator, jak go sobie określił Theiler, przystąpił bliżej i wtedy Theiler go poznał. Był to nieznajomy, który go wiozł autem.

— W żadnym razie, absolutnie na to nie pozwalam — powiedział ów nieznajomy i dodał: — Pacjent mógłby krzyknąć, jest bardzo niespokojny. Nie życzę sobie awantur w moim sanatorium. Ta chwila już mu nie zaszkodzi.

— Proszę bardzo — powiedziała siostra, a młodszy lekarz dodał:

— My go przypilnujemy, doktorze.

Theiler zaczął się rzucać, bowiem wyczuł, że młodzi lekarze nie znają prawdziwego stanu rzeczy. Nie wiedział również, co zamierza z nim zrobić porywacz przy pomocy tych niepoinformowanych ludzi. Czy dokona na nim jakiejś operacji, podczas której na pewno umrze...

Najlepszemu i najgodniejszemu chirurgowi bowiem może się to zdarzyć... Czy może go uśpią i potem go gdzieś zawiozą. Na pewno nie będą z nim robić nic niewinnego, skoro nie pozwolili mu wyjąć z ust knebla.

— Widzicie, jaki jest niespokojny? — powiedział doktor Takamine, przyglądając sobie włosy. — Znacie moje polecenie?

Theiler dobrze wiedział, że polecenie naczelnego lekarza w Ameryce jest czymś, czego nikt nie śmie nie wykonać — ani pielęgniarka, ani młodszy lekarz, ani nikt inny. Przypomniał sobie Salaka, który mu raz opowiadał, że w Czechosłowacji, kiedy wyda się jakieś polecenie, ludzie bodaj częściowo pragną się przekonać, czy polecenie, które otrzymali, jest słuszne. Wyobrażał sobie, że gdyby leżał w czeskim szpitalu, na pewno po odejściu ordynatora pielęgniarka wyjęłaby mu bodaj na chwilę knebel, po chwili przyszedłby pierwszy asystent i zrobiłby to samo, po chwili zrobiłby to drugi asystent i wszyscy byliby przekonani, że są zupełnie w porządku, ponieważ chcą przekonać się, czy stary ich nie nabiera. Ale tutaj w Ameryce ludzie nie są ciekawi, tutaj polecenie nie budzi wątpliwości, nikt nie zastanawia się, dlaczego jest takie, tylko wykonuje swój obowiązek. Theiler naturalnie nie wiedział, że cecha ta została odziedziczona po germańskich przodkach, którzy mają posłuszeństwo we krwi i nie potrafią zastanawiać się nad rozkazem. Jest to cecha dodatnia, będąca nosicielem postępu, o ile rozkazodawca jest osobą szlachetną. Ale jest to cecha zgubna, o ile rozkaz wydaje osoba zwyrodniała. Theiler próbował jeszcze kilkakrotnie podrzucić swoim ciałem, nikt nie zwrócił na to uwagi, a Takamine jeszcze dodał: — Więc o szóstej zawołajcie mnie, gdy będzie przygotowany — i wyszedł wraz ze swym sztabem z pokoju. Drzwi zamknęły się bezszelestnie i w pokoju znowu zapanowała cisza.

*

Samochód z Brownem i Salakiem zajechał przed ogrodzenie szpitala, przejechał przez otwartą bramę i zatrzymał się przed portalem. Obaj mężczyźni wysiedli witani przez portiera w dziwnym mundurze, jaki noszą wszyscy woźni w Stanach Zjednoczonych. Na głowie miał płaską czapkę jak japoński żołnierz, a zamiast krawatu papierowy kołnierzyk składany na wzór krawatu, ale wyglądający jak dziecinna papierowa łódka. W ten sposób ubierają się tam wszyscy portierzy, więc nie zdziwiło to ani Salaka, a tym bardziej Browna.

— Czego panowie sobie życzą? — spytał grzecznie portier.

— Chcielibyśmy mówić z doktorem Takamine.

— Obawiam się, że będzie to niemożliwe. Doktor Takamine przyjmuje tylko przed południem, od dziewiątej do dziesiątej, i to nie tutaj. Teraz pracuje, nie mogę mu przeszkadzać.

— W takim razie, młody człowieku, niech pan przynajmniej zamelduje nasze nazwiska.

— Tego także nie mogę zrobić. Nie śmiem doktorowi przeszkadzać. Mam to surowo zakazane.

To również Salaka nie dziwiło, wiedział, że tego rodzaju zarządzenia są praktykowane w całej Ameryce i nikt nie czuje się tym dotknięty. W ten sposób kraj broni się przeciwko

zawodowym natrętem, opisanym przez Chestertona, w ten sposób chroni swą inteligencję, żeby mogła w spokoju pracować. Albowiem szacunek dla pracy umysłowej nie zniknął jeszcze w tym kraju kultu dolara, jak zwykli go nazywać ci, którym te słowa dyktuje raczej zawiść spowodowana dobrobytem tego kraju aniżeli bezstronny i rzeczowy sąd.

— Niech pan słucha, niech pan słucha, młody człowieku, niech pan zrobi w tym wypadku wyjątek. Tu jest moja legitymacja. Z doktorem Takamine chce mówić za moim pośrednictwem Główna Komenda Policji.

— Jak tak, to co innego — powiedział woźny — zaraz panów zamelduję. — A ponieważ było to w Ameryce, więc nawet przez myśl mu nie przeszło zapytać, w jakiej sprawie policja przychodzi. Był Amerykaninem, mimo że skóra jego była mocno czarna i wskazywała bodaj częściowo na pochodzenie afrykańskie, był bardzo uprzejmy i natychmiast udał się do swej kancelarii, żeby zatelefonować na górę.

Za chwilę zjawił się z powrotem i rzekł: — Doktor Takamine czeka na panów.

Powiedziawszy to pokazał im drogę do windy, która została tu zainstalowana, mimo że dom był zaledwie dwupiętrowy. Potem milczący Murzyn zawiózł ich na pierwsze piętro, gdzie czekała już na nich pielęgniarka, która wprowadziła ich do małej poczekalni ze słowami:

— Doktor Takamine zaraz przyjdzie.

*

Na krótko przedtem w jednym z sąsiednich pokoi, oddzielonych od Salaka i Browna zaledwie kilkoma ścianami, czas przestał się dłużyć Theilerowi. Przede wszystkim całkowicie pochłoneła go obserwacja przypadkowych i zewnętrznych zjawisk. Horyzont, który obecnie koło godziny szóstej bladł coraz bardziej, naraz pociemniał, pokrył się lekką mgłą, a na dworze zerwał się gwałtowny wiatr niosący z sobą zimne powietrze północy i wilgoć gór, zrywający liście jaworów i zginający ich konary niczym jesienna wichura. Naraz zrobiło się chłodno. Theilerowi przyniosło to zrazu ulgę, za chwilę wstrząsnął nim zimny deszcz. Usłyszawszy kroki, sądził, że ktoś idzie zamknąć okno, ale kątem oka zauważył, że do pokoju weszła pielęgniarka wioząca jakiś aparat, za nią szedł młody lekarz. Obrócił się trochę i zobaczył, że wiozą aparat do narkozy z dużą bombą tlenu. Zatrzymali się przy jego łóżku, nie zwracając żadnej uwagi na wicher z deszczem szalejącą na dworze. Taka nagła zmiana pogody jest zresztą w stanę Nowy Jork czymś zupełnie normalnym. Siostra przysunęła aparat do jego łóżka i powiedziała:

— Teraz pana uspiemy, a potem będzie wszystko dobrze.

Theiler energicznie się poruszył, o ile to było możliwe, ponieważ skrępowany był kaftanem bezpieczeństwa, jak stwierdził. Stwierdził również, że kaftan bezpieczeństwa jest bardziej niezawodny niż kajdanki policyjne i że lekarze umieją swoje ofiary obezwładnić lepiej niż policja.

Lekarz zauważył jego niepokój i powiedział:

— Ciągłe jest jeszcze niespokojny, będziemy musieli zaczynać. Knebel niech mu siostra zostawi, mógłby narobić hałasu.

Nałożyli mu na nos maskę i Theiler począł wchłaniać gaz, inny aniżeli rano w samochodzie, ale i tak poznał, że był to cyklopropan. Teraz poczuł strach przed śmiercią. Był przekonany, że dokonają na nim jakiegoś zabiegu operacyjnego, po którym umrze. Kto bowiem ryzykowałby porwaniem urzędnika policyjnego, a następnie dokonywałby na nim operacji, po której zostałby przy życiu. Ponownie opanowało go wstrętne uczucie nicości i wyrzuty, dlatego postępował tak lekkomyślnie, a potem ogarnął go już tylko paniczny, zwierzęcy strach, strach zdrowego człowieka przed śmiercią, która nadchodzi i która jest zupełnie zbyteczna. Nikt nie stał przy jego łóżku — jak przy łóżkach innych chorych — kto by mu

strach wyperswadował, kto by mu powtarzał, że znowu wszystko będzie dobrze, kto dawałby mu ostatnią nadzieję, tę jedyną broń w walce ze strachem. Nie, umierał gorzej niż pies, ponieważ nie miał nadziei. I w miarę jak wdychał gaz, zdawało mu się ze zgrozą, że spada gdzieś w głęboką przepaść, usiłował krzyknąć, ale coś ścisnęło mu gardłom, spadał coraz głębiej i głębiej, dokoła panowała mgła i świszczał wiatr, w głowie mu huczało, chciał się podnieść, lecz nie mógł, spadał jeszcze głębiej, potem coraz wolniej i wolniej, aż wszystko ustało. Theiler oddychał spokojnie w głębokiej narkozie, serce mu biło regularnie, policzki miał zaróżowione, źrenice silnie zwężone i był w tym momencie dalej od śmierci aniżeli człowiek przechodzący przez skrzyżowanie ulic.

— Śpi dobrze — powiedział lekarz — przewieziemy go.

Pielęgniarka wyszła, przyszły dwie inne z wózkiem, wyjęły Theilerowi z ust knebel, przenieśli go ostrożnie na wózek i powiozły gdzieś korytarzem.

*

Salak z Brownem czekali na doktora Takamine. Rozglądali się po wąskiej poczekalni, w której znajdowały się dwa fotele klubowe i mapa na ścianie, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna słusznego wzrostu o czarnych włosach i ostrym spojrzeniu lekko skośnych oczu. — Doktor Takamine — powiedział. — Czym mogę panom służyć?

— Nazywam się Brown, a to jest pan Salak — opowiedział Brown. — Przyszliśmy prosić pana o radę. Proszę wybaczyć, że przyszliśmy w niestosownej porze.

— *That's right*, o co chodzi?

— Jest pan podobno specjalistą w zakresie chorób nerwowych, a pan Salak cierpi na depresję. Czy zgodziłby się pan go leczyć?

— Kim jest ten pan?

— Urzędnik policji z Czechosłowacji. Przebywa tu na studiach i tu zachorował. Jesteśmy zainteresowani w tym, żeby wyzdrowiał. Pan jest podobno specjalistą od depresji?

— Tego na pewno nie powiedział wam żaden lekarz?

— Nie, ale mamy takie informacje.

Salak siedział na krześle milczący i z przygnębioną miną — taką jaką miewał zwykle jeszcze przed kilku tygodniami, gdy jego depresja dosięgnęła szczytu. Doktora Takamine po chwili wahania powiedział:

— Musiałbym pana Salaka dokładnie zbadać, a teraz nie będzie na to czasu. Jestem bardzo zajęty.

— Oczywiście, przyjdziemy jutro. Chcieliśmy uzyskać tylko pańską zgodę — powiedział Brown.

— I może jakieś informacje o sposobie leczenia — dodał Salak. — Dowiedziałem się mianowicie od pacjentów, że ma pan bardzo dobre wyniki, podczas gdy lekarze są innego zdania. Ale ponieważ jestem pacjentem, a nie lekarzem, wierzę raczej w to, co mi powie wyleczony pacjent, niż w to, co twierdzi zazdrosny kolega.

Dr Takamine zaniemówił, jak gdyby go ktoś uderzył czymś po głowie, a Salak zrozumiał natychmiast, że popełnił błąd., bo powiedział zbyt wiele. To samo czuł również Brown.

— Żałuję, panowie — powiedział Takamine ostro — ale zdaje mi się, że nie mówicie ze mną poważnie. Mam wrażenie, że przyszliście tu w zupełnie innym celu.

— Nie potrafię sobie wytłumaczyć pańskiego zdenerwowania — powiedział Brown spokojnie. — Przecież Salak niczym pana nie obraził.

— Obraził, i to bardzo, tym, że kłamał. Pacjent, który przychodzi do lekarza z kłamstwem na ustach, nie może spodziewać się szacunku. Jeśli to w ogóle jest pacjent — dodał spoglądając uparcie na Salaka, który w podnieceniu zapomniał zachowywać przygnębiony wyraz twarzy.

— To co pan mówi — to ważna sprawa — powiedział Brown, który ciągle jeszcze trzymał się zasady: jak najwięcej ewidencji, za każdą cenę. — Powiedział pan, że obaj kłamiemy, i to przed jednym świadkiem. Tym świadkiem jestem ja. Proszę, żeby zechciał pan wytłumaczyć to tak, ażeby mogło to być uważane za uchybienie towarzyskie, a nie za obrazę.

— Możliwe, że otrzymaliście o mnie złe informacje od lekarzy — powiedział Takamine cierpko. — Koledzy mnie nie rozumieją, jak nie rozumieją nikogo, kto jest genialny i wyprzedza naukę o wiele lat. Tak, mam ciężkie życie człowieka, który nie jest rozumiany. Nie mogliście natomiast zdobyć żadnych informacji u pacjentów o mojej metodzie leczenia, ponieważ moi chorzy o mojej metodzie nie mówią.

— Dlaczego? — powiedział Salak przechodząc ostrożnie do porządku nad nielogicznością tej wypowiedzi.

— Ponieważ tej metody nie znają, nie mają możliwości jej poznać.

— Ale przecież lekarze ją znają.

— Ci również jej nie znają. Wygłosiłem o niej odczyt przed pięciu laty na kongresie w Atlantic City i zostałem wyśmiany, omal że nie wykluczony ze społeczności lekarskiej, chociaż moje odkrycie jest tego rodzaju, że pewnego dnia będą z niego korzystać równie funkcjonariusze policji, naturalnie w charakterze pacjentów. A teraz przepraszam, ale muszę już iść.

— Czy możemy przyjść jutro? — spytał Brown. — Wie pan, dzięki tej wymianie słów dowiedzieliśmy się czegoś o pańskiej metodzie i zainteresowała nas.

— Nie wiem, czy to jest potrzebne — powiedział Takamine. — Mr Salak cierpiał być może na depresję, ale jak widzę, już się z niej wyleczył. A jeśli przybyliście tu panowie w charakterze poborców podatkowych, to mówcie tak od razu, a ja wam udzielę informacji i nie musicie uciekać się do naiwnych wybiegów.

— Pan jest, panie doktorze — powiedział Salak — właścicielem fabryki zabawek w Older Valley?

— Aha, więc stąd są te informacje! Tak, jestem. I na tym kończę rozmowę. Jeśli zechcecie ze mną jeszcze porozmawiać, postarajcie się o decyzję prokuratora, ponieważ sprawa nie ma nic wspólnego z policją. Żegnam panów.

Powiedziawszy to wyszedł z pokoju. Brown miał jeszcze na końcu języka uwagę, że o zezwolenie prokuratora postara się lada moment, ale wołał milczeć, ponieważ i jemu wydawało się, że już teraz ewidencja niewiele da. Salak milczał również, zdając sobie sprawę z bezcelowości dalszej rozmowy. Takamine trzasnął drzwiami, obaj nasi znajomi milczeli przez chwilę, a następnie Salak wychylił głowę na korytarz.

— Co teraz? — spytał Brown. — Nic z tego?

— Ja proponowałbym zrewidować całe sanatorium i przesłuchiwać dopóty, dopóki nie dowiedzielibyśmy się, gdzie jest Theiler.

— Dobrze, wrócimy do wozów, zwołamy ludzi i zaryzykujemy — powiedział Brown i zauważył, że wyglądający na korytarz Salak znieruchomiał nagle.

— Co się stało? — spytał, ale Salak milczał. Ujrzał bowiem, jak z jednego z pokoi wywożą chorego na wózku z maską na twarzy. W tej chwili lekarz idący obok wózka zdjął maskę, żeby skontrolować źrenice pacjenta i oto... tym chorym był Theiler. Salak wyraźnie go poznał. Ale zaraz potem otworzyły się obite gumą drzwi i wózek wraz z chorym wjechał do środka.

Salak cofnął się w tył, otarł spocone czoło i na pytanie Browna powiedział jedno tylko słowo:

— Theiler.

— Niech pan zamknie drzwi! — powiedział Brown, który był równie gruby jak szybki. Salak usłuchał, zamknął cicho drzwi i powiedział do Browna:

— Ale co teraz?

— Czy na pewno to był Theiler?

— Był, ale w narkozie i gdzieś go zawieźli. Prawdopodobnie do sali operacyjnej. Takamine bez wątpienia zorientował się, że złapał niewłaściwą osobę i widocznie zainscenizował operację, podczas której Theiler przypadkiem umrze. To pewne!

— Dlaczego pan tak myśli?

— Proszę pana, kto pozostawiłby przy życiu funkcjonariusza policji, którego porwał przez pomyłkę? Zabije go, a potem powie, że Theiler dostał na przykład nagłego zapalenia ślepej kiszki, że musiał go natychmiast operować, ale że pomoc była daremna. Przy waszym systemie, gdzie właściciel sanatorium może robić, co mu się podoba, a młodzi lekarze nie mogą go kontrolować w tym stopniu, co u nas, jest to zupełnie możliwe. Oprócz tego Theiler miał w ustach knebel.

— W jaki sposób go pan tak dokładnie poznał?

— Po włosach i po oczach. Człowiek, który ma trochę praktyki, nie może się pomylić.

— Czyli, innymi słowy, nie ma czasu. Idziemy!

Brown wyszedł na korytarz, wyciągnął rewolwer, odbezpieczył go i powiedział do Salaka:

— Które to drzwi?

— Te naprzeciw.

— *Right*, idzie pan ze mną? Jako cudzoziemiec nie ma pan przy sobie broni.

— Idę z panem. Broń jest mi niepotrzebna. W sali operacyjnej nie będę strzelał.

Brown otworzył! energicznie drzwi. Za nimi ukazały się jeszcze jedne, przez które słyhać było plusk wody i szcęk instrumentów. Brown otworzył również te drugie drzwi.

— Ręce do góry! — powiedział.

I wycelował rewolwer, jak robią to traperzy na filmach lub tak jak robili to w preriach jego indiańscy przodkowie, gdy ich tego Europejczycy nauczyli. Brown bowiem miał rzeczywiście w swych żyłach domieszkę indiańskiej krwi, przejawiającej się w jego spokoju i w krótkich urywanych zdaniach.

Obecni w sali odwrócili się przestraszeni, sądząc bez wątpienia, że chodzi o jakiś napad. Tego samego zdania był doktor Takamine, który skończył właśnie myć ręce i trzymał je wzniesione w górę niczym pogański arcykapłan. W sali oprócz niego było jeszcze dwóch lekarzy: jeden dawał narkozę, drugi miał ręce już umyte i również wzniesione w górę i był tak bystry, że natychmiast zupełnie je wyprostował. Oprócz tego w sali były dwie pielęgniarki, z których jedna miała ręce podniesione — jak przed każdą operacją, żeby się niczego nie dotknąć — a druga, młodsza, stała przy drzwiach i miała wygląd arogancki. Natychmiast też się odezwała:

— Panowie, jesteście w sali operacyjnej! Nie zapominajcie, że idzie o życie człowieka.

— *Shut up!* — ryknął Brown. — Od tej chwili każdy z was będzie mówić dopiero wtedy, kiedy go zapytam. Idzie o życie człowieka!

Nastała chwila grobowej ciszy, przerywana jedynie syczeniem uchodzącego cyklopropanu. Z chwilą gdy dający narkozę lekarz podniósł ręce, gaz automatycznie sączył się do płuc Theilera. U sufitu kołysał się dziwny przyrząd, funkcjonariuszom policji zupełnie nie znany i przypominający wiertarkę elektryczną.

— Hej tam! — powiedział Salak, zwracając się do jednego z lekarzy. — Niech pan natychmiast przerwie narkozę! — Cudzoziemski akcent Salaka na skutek irytacji stał się jeszcze bardziej widoczny.

— Nie będę słuchał cudzoziemców — powiedział wyniośle młody lekarz, a Brown zawołał z gniewem. — To jest funkcjonariusz policji, tak jak ja.

— To mógłby powiedzieć każdy — powiedział ów wychowanek uniwersytetu w Yale, pochodzący z najlepszego amerykańskiego towarzystwa. Ale zaledwie skończył, Brown wyprężył wolną rękę i uderzył go pięścią w twarz tak silnie, że lekarzowi natychmiast trysnęła krew z ust. Jego wyniosła mina zmieniła się na płacziwą, zaczął drżącymi rękoma manipulo-

wać koło aparatu, przy czym syczenie gazu wzmogło się, a Theiler zaczął się rzucać. Nie miał już knebla, ale nie mówił i tylko stękał w głębokiej narkozie.

Młody lekarz miał się doczekać dalszych upokorzeń.

Salak był wprawdzie człowiekiem wychowanym w kraju, w którym znieważanie fizyczne jest karalne i na które wyższy urzędnik policji nigdy sobie nie pozwoli — ale tym razem nie wytrzymał i dał lekarzowi kontrę w piersi, a następnie zerwał maskę z twarzy Theilera. Zaznaczam dla ścisłości, że upokorzeń tych doznał lekarz robiący narkozę, który, jak się to potem okazało, był zupełnie niewinny, nie doznał ich natomiast nie stawiający oporu doktor Takamine.

— Ręce do góry! — ryknął Brown na młodego lekarza. Ręce jego tym razem wyleciały w górę z niezwykłą ochotą, a zamazane krwią kąciki ust wykrzywiły się do płaczu.

Brown sięgnął wolną ręką do kieszeni, wyciągnął gwizdek policyjny i podał go Salakowi.

— Niech pan da sygnał do akcji — powiedział, a Salak podszedł do okna i trzykrotnie przeciągle zagwizdał. Wyglądało to jak w dziwnej bajce. Na dźwięk gwizdka rozwarły się ze wszystkich stron krzewy i wyszli z nich policjanci w mundurach, uzbrojeni w pistolety automatyczne i krótką broń palną, to jest rewolwery, i zaczęli posuwać się w kierunku domu. Teraz trzeba było wydać jeszcze dalsze rozkazy, a ponieważ nie wszyscy znali Salaka, rozkazy musiał wydać Brown. Salak odszedł więc od okna, przystąpił do Browna i powiedział:

— Niech mi pan pożyczy rewolwer i wyda rozkazy.

Brown natychmiast podał mu rewolwer, a doktor Takamine, wiedziony pogardą dla cudzoziemców, natychmiast opuścił jedną rękę, ale Salak wycelował mu rewolwer między oczy tak energicznie, że ręka znowu sama uniosła się w górę.

— Niech pan nie waha się strzelać — powiedział Brown i wychylił się przez okno. — Wszyscy do mnie. Aresztować wszystkie kręcące się po szpitalu osoby. Przy łóżkach chorych postawić straż, kobiety-pielęgniarki aresztować. W stosunku do opornych użyć bezwzględnej przemocy.

Salak widział przez okno, jak policjanci ruszyli kłusem i pobiegli w mżącym deszczu wśród fruujących zielonych liści ku obu wejściom.

Ci amerykańscy policjanci przypominali mu tutejszy klimat. Mili, układni, spokojni, potrafią się zmienić nagle w szalejący żywioł, w huragan. Wszystko zależnie od potrzeby. Pędzili po schodach jak ów wichur, co zerwał się na dworze, z sąsiednich sal przez otwarte drzwi słychać było brzęk kajdanków nakładanych wszystkim bez wyjątku, mimo że nie podejrzewano, by wszyscy byli winowajcami. W ten sposób policjanci obeszlą się i z personelem w sali operacyjnej nie wyłączając młodej pielęgniarki, mimo jej gróźb, że zwróci się ze skargą do Międzynarodowej Ligi Kobiet, YMCA, skautów, Związku Esperantystów, Związku Komunistów i Związku Kapitalistów; wmieszała do tego Roosevelta, i Ku-Klux-Klan, ale nikt nie brał jej słów na serio. Tylko doktor Takamine nie protestował. Powiedział jedynie: — Nic nie rozumiem — i spokojnie pozwolił sobie nałożyć kajdanki. Salaka dziwiło, że nikt dotąd nie wygłosił formuły aresztowania. Sala operacyjna była pełna ludzi, a cisza, jaka zapanowała po nałożeniu kajdanków, przerywana była tylko gwałtownym oddechem Theilera, przywiązanego do tej pory do łóżka i przychodzącego do siebie po narkozie. W pewnym momencie Theiler wyprężył się i zaczął wymiotować wbrew temu, co fabryka wyrabiająca cyklopropan twierdzi, jakoby zaletą tego środka było, iż chory po narkozie nie wymiotuje. Aż do tej chwili ani Salak, ani Brown nie troszczyli się o Theilera. Wiedzieli, co znaczy narkoza pod cyklopropanem, którego zapach unosił się w sali, i zdawali sobie sprawę, że otrzeźwienie przyjdzie samo wraz z normalnymi objawami. Brown zawołał dwóch swoich ludzi i powiedział:

— Przenieście go gdzieś na łóżko i postawcie przy nim straż. Gdyby mu się pogorszyło, zawołajcie mnie! A wy — rzekł do trzeciego z policjantów — idźcie po najbliższego lekarza, niech tu natychmiast przyjdzie.

— Mógłbym mu pomóc — powiedział młody lekarz, ten sam, który miał asystować przy operacji.

— Nie, pan nie. Pan jest na razie aresztowany.

Teraz pojawił się wreszcie Hardneck, który usłyszał z daleka gwizdek Salaka i przyszedł popatrzeć, co się dzieje. Wszedł do sali, wyciągnął do wszystkich swój nos, jak gdyby chciał ich obwąchać, powiedział tylko „hm” i stanął w kącie, wietrząc na wszystkie strony.

— Wyprowadźcie wszystkich oprócz doktora Takamine — powiedział Brown.

A gdy sala się opróżniła, zwrócił się do doktora Takamine ze słowami:

— Aresztuję pana. Za porwanie dwustu trzydziestu sześciu ludzi, obecnie zatrudnionych w fabryce Older Valley, za ograniczenie ich swobody osobistej, za poważne uszkodzenie ciała spowodowane nie znanym dotąd sposobem oraz próbę zabójstwa, pod pozorem operacji, superintendenta Theilera. Jeśli ma pan coś do powiedzenia, może pan powiedzieć zaraz. Początek przesłuchania zostanie panu zakomunikowany.

— Protestuję — powiedział doktor Takamine. — Jestem niewinny.

— Wyprowadźcie go — powiedział Brown. — Nie wolno mu z nikim mówić.

— Ale... — zaczął Takamine.

— Teraz będzie pan już tylko mówić wtedy, gdy pana zapytają — powiedział Brown i odwrócił się do niego plecami. Gdy go wyprowadzono, Brown wychylił głowę na korytarz i zawołał:

— Sierżant Hughes, do mnie!

Sierżant przybiegł, a Brown wydał polecenie:

— Aresztowanym nie wolno ze sobą rozmawiać. Będzie pan trzymał wartę przez godzinę, potem pana zmienimy.

— *All right, sir* — brzmiała odpowiedź, sierżant stuknął obcasami i wyszedł.

— Panowie, pójdziemy teraz do Theilera, a potem na kolację. Po kolacji rozpoczniemy przesłuchanie.

Theiler leżał w jednym z pokoi na łóżku blady jak ściana. Był jednak przytomny i przywitał ich męczeńskim uśmiechem.

— Jak się pan czuje? — spytał Brown krótko i chłodno.

— Na ogół dobrze — powiedział Theiler.

— Baliśmy się o pana — dodał Salak.

— Na pewno nie tak, jak ja sam. Dziękuję panu, panie Salak, jestem pewny, że to pan mnie znalazł.

— Jak pan widzi, nie byłem sam.

— Theiler — powiedział Brown — odnalazł pana Salak. Dowodził nami przez cały czas.

Teraz Salak się zawstydził wiedząc, co dał z siebie w akcji ów małowówny człowiek, który zachował skromność dawnych indiańskich wojowników. Po chwili ktoś zapukał do drzwi. Był to wiejski lekarz, który odległość dziesięciu mil pokonał niezwykle szybko. Staruszek, pokaszując bez przerwy, zabrał się do badania.

— Ehm, hm, chr, więc co panu brakuje, chory człowieku?

— Doktorze, został uśpiony cyklopropanem. Poza tym nic mu nie jest. Chcielibyśmy, żeby jak najprędzej przyszedł do siebie.

— Hm, ehm, do tego nie musieliście wzywać takiego dziadka jak ja. Ja się na tym w ogóle nie znam — powiedział, grzebiąc w walizeczce — jakiś tam cyklopropan, mnie się to miesza z cyklonem i cyklotronem. Za moich czasów robiono to prościej — chloroformem; wtedy prawie każdy umierał i nie było kłopotu. Dlaczego właśnie ja, po coście mnie wzywali, hm, ehm...

Salak był zły, że wezwali takiego osła, który najwidoczniej dobija w tych okolicach ludzi, ale mimo wszystko milczał, widząc, że reszta, w tym również Theiler, bynajmniej nie

są tymi słowami rozgniewani.

— Gdzież tam na prowincji, ehm, człowiek tutaj zupełnie głupiej i nawet tego nie zauważa, proszę was. A cyklopropan — kto to kiedy słyszał? Jak nie ma mu być niedobrze?

Przy tych słowach wyjął jakieś małe blaszane naczynie, podsunął je Theilerowi pod nos i powiedział:

— Niech pan wdycha, młodzieńcze, głęboko. Skoro do pańskiego łóża wezwali już takiego wielbłąda jak ja, co panu innego pozostaje.

Salak byłby z rozkoszą tego faceta wyrzucił, nie mógł przyzwyczaić się do tego, że w Ameryce im kto jest rozumniejszy, tym bardziej się gani, a im kto bardziej się chwali, uchodzi za tym większego głupca.

— Ja już, hm, hm, ehm, będę musiał pożegnać się z praktyką. Wie pan, że niedawno zdechł mi na ręku koń, którego leczyłem.

Teraz Salak już nie wytrzymał:

— Na miłość boską, pan jest weterynarzem?

— Nie, hm, nie miałbym serca dręczyć zwierząt, gdzież tam, tego konika leczyłem przypadkiem, była to pierwsza pomoc, ale zdechł, jak tylko położyłem na nim rękę. Po tych słowach, widząc, że Theiler odetchnął głęboko, starzec pogłaskał go po twarzy.

— Może lepiej byłoby, żeby go pan nie dotykał — powiedział Brown rzeczowo.

— Niech się pan nie boi, ten nie zdechnie.

Salak wytrzeszczył oczy, ponieważ Theilerowi rozszerzyły się nagle źrenice, policzki nabrały koloru, a za chwilę usiadł już na łóżku i powiedział spokojnie:

— *Thanks*, jest mi już zupełnie dobrze.

— To, ehm, dziwny przypadek. W takim razie ja już sobie pójdę, pošlijcie mi potem cztery dolary.

— *All right* — powiedział Brown, a Salak był zupełnie oszołomiony.

— Proszę pana, co mu pan dał? Nie jest to przypadkiem tajemnica?

— Hm, nauka nie zna tajemnic, dałem mu benzendrynę. Za jakiś czas będziesz to, chłopcze, wahał po każdej birbantce i biada ci, jeśli w młodzieńczej lekkomyślności zaczniesz tej trucizny nadużywać. Może pan sobie przeczytać rozprawę w ostatnim numerze „Medycyny”, sam ją napisałem. Jest zresztą do niczego.

I powiedziawszy to lekarz skierował się ku wyjściu.

— Na co zdechł ten konik? — zapytał jeszcze Salak.

— Przejechał go autobus, dzieciaku — powiedział starzec i wyszedł.

W tym czasie benzendryna była jeszcze w Ameryce nowością i Salak o niej nie słyszał. Patrzył więc na to jak na czary, tym bardziej że dał się nabrać.

Brown poradził Theilerowi:

— Niech pan zostanie tutaj, jedzenie by panu zaszkodziło. My pójdziemy na kolację, a pan niech się tymczasem położy. Nawet może się pan przespać, ponieważ będziemy później przesłuchiwać, a to potrwa co najmniej do północy. Gdy będziemy odjeżdżali, weźmiemy pana ze sobą. Meldunek o tym, żeśmy pana znaleźli i że jest pan cały i zdrowy, wyślę jeszcze przed kolacją.

W portierni pełnił służbę policjant. Brown siadł przy telefonie i połączył się najpierw z centralą w Fairfield:

— Policja, Brown — powiedział. — Proszę natychmiast zwolnić przewód do Nowego Jorku. — Nie trwało sekundy, jak urzędniczka oświadczyła, że linia jest wolna.

— *Police Headquarter* — powiedział Brown, nie trudząc się z wyszukaniem numeru.

Natychmiast odezwał się pełniący dyżur urzędnik, któremu Brown zameldował:

— Superintendent Theiler znaleziony w szpitalu w... w narkozie, z której się już przebudził. Jest zupełnie zdrowy. Powiadomcie dyrektora. Powiadomcie rodzinę. Wycofajcie patrole na szosach. Jako porywacz aresztowany został doktor Takamine. Nie wydawajcie na

razie komunikatów do prasy. Grupa operacyjna wróci po północy. Za godzinę będziemy potrzebować ludzi na zmianę. Możecie przysłać oddział z Albany. To wszystko.

Następnie podał słuchawkę Hardneckowi i powiedział: — Teraz kolej na pana. W tym pańskim zdeptanym przez krowy stanie nikt mnie nie chce słuchać.

— *All right*, ty asfaltowy płazie — powiedział Hardneck biorąc słuchawkę do ręki. — Proszę przewód do Connecticut. *Police Headquarter*, wyślijcie pięćdziesięciu ludzi, niech obsadzą fabrykę Older Valley w Ridgefield. Żadnego robotnika nie może brakować. Obsadzić fabrykę i czekać aż do naszego przyjazdu, możliwie że nawet dwadzieścia cztery godziny. Postarajcie się o zmianę ludzi i wyżywienie. Załoga fabryki niech otrzymuje na razie wikt więzienny pierwszej klasy. Urzędników internować, do wydania dalszych rozkazów nie wolno im ze sobą rozmawiać. Wizyty są oczywiście zakazane.

Powąchał słuchawkę i powiesił ją, potem powąchał Browna i powiedział:

— Idziemy na kolację!

— Co pan na mnie poczuł? — spytał Brown.

— Befszytk, a w każdym razie coś wołowego, drogi przyjacielu!

— „I bracie” w takim razie. Zapomniał pan to dodać.

I wszyscy trzej wyszli na chłodne, wieczorne powietrze, kazali się zawieźć samochodem do Fairfieldu, wzięli ze sobą sekretarkę, ponieważ, jak powiedział Brown, kobiety pobudzają apetyt, przynajmniej w jego wieku, i po chwili siedzieli przy stole w Sizling Bar i zamawiali amerykańską kolację. Pieczone kiełbaski z jaworowym syropem i naleśnikami, smażony ser na grzance, popili to kilkoma garnkami białej kawy ze śmietaną i nikomu to nie zaszkodziło.

Podczas kolacji panowało milczenie. Wszyscy mieli za sobą tyle wrażeń, że nie mieli ochoty do rozmowy. Wszystkich, z wyjątkiem sekretarki, ogarnęło osobliwe uczucie niesmaku, mającego swe źródło w nienormalnym wyglądzie fabryki. Dwustu robotników, śmiejących się serdecznie przy każdym ruchu z każdego głupstwa, mówiących mniej lub więcej od rzeczy, przy czym żaden z nich nie pamięta dokładnie swej własnej przeszłości, to coś, co potrafi popsuć zdrowemu psychicznie człowiekowi humor, podobnie jak odwiedziny w szpitalu wariatów, o ile samemu nie jest się wariatem lub lekarzem, któremu uczucie niesmaku jest w ogóle obce. Ciągle jeszcze jednak brakowało logicznego wytłumaczenia całej sprawy. Jedli więc w milczeniu, a Salakowi nie przyszło nawet na myśl, że je potrawę, której w domu nikt nie śmiałby mu podać. Ale ich duchowy niesmak nie miał najwidoczniej nic wspólnego z apetytem. Najedli się do syta, a najwięcej zjadła sekretarka, posiadająca dar wszystkich Amerykanek: dużo jeść i zachować linię.

Dopiero kiedy zapalili po kolacji papierosy, a Brown czarne cygaro, rozpoczęła się dyskusja, którą Brown zagał krótko słowami:

— Co teraz?

Pierwszy odpowiedział Hardneck:

— Co pan, to mnie nie obchodzi. Ja pojedę teraz do domu i zatrzymam się jeszcze w tej fabryce Older Valley

— Mnie trudno jest proponować — powiedział Salak. — Teraz chodzi już tylko o techniczną analizę sprawy, a pod tym względem mister Brown ma większe doświadczenie niż ja.

— Dobrze — powiedział Brown — Hardneck pojedzie do domu i odwiezie panią sekretarkę. My wrócimy o szpitala. Przesłuchamy aresztowanych. Przynajmniej wstępne policyjne przesłuchanie.

— *All right* — powiedział Hardneck — w takim razie jedziemy.

Dochodziła godzina ósma, kiedy wyjechali z Fairfield, każdy w swoją stronę. Okolica tonęła w mroku, wiatr już ustał, ale było chłodno i wilgotno. W powietrzu unosiła się woń opadłych liści i mokrej trawy, a auto szeleściło po mokrej drodze, pokrytej kiepskim asfaltem.

Brown i Salak milczeli; kierujący wozem policjant milczał również. Za kilka minut byli w szpitalu. Brown zawołał jeszcze sierżanta Hughesa i wszyscy trzej usadowili się w urzędowym luksusowo gabinecie doktora Takamine. Przez chwilę panowała cisza, w którą od czasu do czasu wpadał serdeczny śmiech jaskrawo kontrastujący z faktem, że wszyscy pracownicy szpitala byli w tej chwili aresztowani i skuci.

— Kto to się śmieje? — spytał Brown.

— Widocznie jakiś kandydat na robotnika w fabryce zabawek. Zdaje się, że ten Takamine ma jakąś receptę na dobry humor kosztem poważnej części rozumu — wyjaśniał Salak.

— Zawołajcie najpierw tego asystenta, który był w sali operacyjnej — powiedział Brown do sierżanta.

— Czy nie byłoby lepiej pomówić najpierw z tym Takamine? — spytał Salak. — Jest przecież głównym winowajcą i może coś nam powie.

— Właśnie dlatego, że jest głównym winowajcą, porozmawiamy najpierw z kimś innym — obstawał przy swoim Brown.

— Więc kogo mam przyprowadzić? — spytał sierżant. — Było tam dwóch młodych lekarzy, jeden przy tej narkozie, a drugi miał na rękach gumowe rękawiczki.

— Tego, co miał rękawiczki. Tego czarnego z tym yalskim akcentem.

— Dobrze — powiedział sierżant.

Wyszedł z gabinetu i po chwili wrócił z młodym człowiekiem, którego pyszałkowatość znikła bez śladu. Zdobył się jedynie na uprzejmy protest.

— Nie wiem, dlaczego założyliście mi kajdanki. Nie zrobiłem przecież nic złego.

— Zaraz je panu zdejmujemy, młody człowieku, i jeśli pan jest niewinny, już ich panu nie nałożymy. Będzie to zależało od pana.

I rozpoczęło się normalne policyjne przesłuchanie. Prowadził je Brown, a Salak dorzucał tylko tu i ówdzie poszczególne pytania, ponieważ jego praca była już właściwie skończona.

— Jak się pan nazywa?

— Dan Morton.

— Kiedy się pan urodził?

— W 1908 r.

— Gdzie się pan urodził?

— W Passaic.

— Jak długo pan tu pracuje?

— Trzy lata.

— Kogo chcieliście dziś operować?

— Niejakiego Martina Smuthsa. Nie wiem, naturalnie, czy to jest jego prawdziwe nazwisko.

— Nie jest, mogę to panu powiedzieć. Ale jak to możliwe, że pan sam nie uważa jego nazwiska za prawdziwe?

— W tym szpitalu — wyjaśnił młody lekarz — leczymy wyłącznie chorych umysłowo. Jest rzeczą zrozumiałą, że większość chorych figuruje pod fałszywymi nazwiskami; w ten sposób ich prawdziwe nazwisko nie dostało się do kartoteki i nie zaszkodzi im w przyszłości fakt, że byli kiedyś w szpitalu dla umysłowo chorych.

— Na co cierpiał pacjent, który leżał na stole operacyjnym?

— Jak wynika z objawów — na melancholię.

— Czy był przez pana badany?

— Nie. Był to prywatny pacjent doktora Takamine. Doktor sam sporządził opis choroby.

— Co chcieliście operować przy melancholii? O ile wiem, tej choroby nie leczy się drogą operacyjną.

I teraz nastąpił uroczysty moment, kiedy policja miała wreszcie poznać całą tajemnicę. Salakowi przeszły ciarki po grzbiecie, ponieważ zdawał sobie sprawę, że od zeznań tego lekarza, względnie personelu sanatorium, zależy ostateczne rozwikłanie tej sprawy. Obydwaj zresztą wiedzieli dobrze, że chociaż udało im się znaleźć zaginionych i ująć sprawcę, niełatwo byłoby im stwierdzić, co ów sprawca zrobił ze swoimi ofiarami, że od chwili, gdy dostali się w jego ręce, stali się posłusznymi, wesołymi robotnikami, że zapomnieli o swoim dawnym życiu i swoich najbliższych, nie pamiętali swoich nazwisk, nie marzyli o przyszłości i nie myśleli o przeszłości, żyli tylko dniem dzisiejszym, bezduszni, zadowoleni z siebie. Czy mieli duszę? Przecież dusza to w gruncie rzeczy suma naszych wspomnień, sądów, są to nasze troski i radości i gdyby usunąć to wszystko, dusza zostałaby zabita i pozostawałoby tylko życie fizyczne już nie ludzkiego, ale zwierzęcego ciała. Czy dusze tych ludzi nie zostały zabite, zastąpione namiastką taniej wesołości, jaką czuje chwilowo człowiek, oszołomiony alkoholem? Czy nie została tu zabita większa część osobowości ludzkiej i czy nie pozostało tylko to, co ma każde zwierzę? A czym ją zabito? Było to najważniejsze pytanie, ponieważ obaj funkcjonariusze policji skłonni byli przypuszczać, że robotnicy w fabryce nie byli zatruci jakimś narkotykiem i że nie istnieje narkotyk, zdolny spowodować taką trwałą zmianę. Salak wprawdzie jeszcze do wieczora sądził, że Takamine wynalazł nowy lek, zmieniający w sposób trwały naturę człowieka i zdolny zatrzeć wspomnienia, działać tak jak lotos na przyjaciół Odyseusza. Zaczął w to wątpić od chwili, gdy ujrzał Theilera na stole operacyjnym. W dalszym ciągu jednak nie mógł pojąć, w jaki sposób mógł Takamine mordować dusze swych robotników.

— Jest to wielkie i nieocenione odkrycie doktora Takamine — zaczął wyjaśniać młody lekarz wśród głębokiej ciszy błędzących po gabinecie myśli. — Doktor Takamine stwierdził, że z chwilą uszkodzenia przedniej części mózgu człowiek traci wszystkie przykre myśli, a w zamian za to pojawia się radość i chęć do życia. To swoje odkrycie praktykował na chorych.

— Na miłość boską, w jaki sposób — spytał Salak, który jako eks-melancholik był tym osobiście zainteresowany.

— Całkiem zwyczajnie. Pograżonemu w narkozie pacjentowi wbijano do przednich płatów mózgu szybko obracającą się igłę. Obracającą się dlatego, by przebijała czaszkę, a nie uszkodziła przy tym ścianki mózgu. Do mózgu wprowadzał doktor Takamine, przy pomocy strzykawki, małą dawkę trypsyny, zżerającej komórki przednich płatów mózgu, w wyniku czego po przebudzeniu chory nie miał już ani przykrych wspomnień, ani zmartwień, ani wyrzutów sumienia, krótko mówiąc — był zadowolony i wesoły.

Lekarz skończył swój wykład i w ciszy, jaka zapanowała, jakby na potwierdzenie jego słów doleciał ich skądś z daleka stłumiony wesoły śpiew.

— To okropne — powiedział sierżant Hughes, którego prosty umysł nie mógł pojąć aż takiej brutalności. Brown i Salak milczeli. Salak wspominał nawet w duchu, że był czas, kiedy niedawno sam podświadomie marzył o tym, żeby mu wypalili kawałek jego mózgu tak, jak to robił przy pomocy trypsyny ten okrutnik Takamine. Dopiero po chwili odezwał się Brown.

— Czy pacjenci zgadzali się na tę operację?

— Naturalnie, że się zgadzali.

— Dlaczego naturalnie?

— Dlatego, że każdy melancholik gotów jest ofiarować wszystko i zgodzić się na największe ryzyko, byleby tylko uwolnić się od swoich cierpień.

W tym momencie Salak ponownie uznał, że musi wmieszać się do rozmowy, ponieważ wysłizgiwał mu się doniosły szczegół.

— Czy słyszał pan kiedyś na własne uszy zgodę tych pacjentów?

— Osobiście nie słyszałem, byli to pacjenci doktora Takamine.

— Czy rozmawiał pan z nimi kiedyś przed operacją sam na sam?

— Nie rozmawiałem, chodziło zawsze o chorych umysłowo, przeważnie w kaftanie bezpieczeństwa i kneblem w ustach.

— Dlaczego byli zakneblowani?

— Doktor Takamine nie życzył sobie, żeby ewentualnym krzykiem przeszkadzali otoczeniu.

— Czy nigdy nie przyszło panu do głowy — kontynuował przesłuchanie Salak — wyjąć im knebel i porozmawiać z nimi?

— Wybacz pan — powiedział lekarz trochę wyniośle, ponieważ znowu zaczął odzykiwać pewność siebie — nigdy nie przyszło mi do głowy przekroczyć zakaz swego przełożonego lub w ogóle się nad nim zastanawiać.

Tak, to była ta Ameryka.

— Ale przecież panu, jako lekarzowi, musiało wydać się dziwne — nie dawał za wygraną Salak — że melancholikowi włożono kaftan bezpieczeństwa i knebel do ust, skoro, jak panu łaskawie wiadomo, chodziło o chorych, których zdolność rozumowania nie jest w zasadzie naruszona i których zachowanie po największej części nie wykracza poza granice norm towarzyskich.

— To było dla mnie dziwne i zastanawiałem się nad tym. Uważałem to za przesadę ze strony doktora Takamine, ale nigdy nie przyszło mi do głowy krytykować zarządzenia mego przełożonego, dla którego żywię szczerą szacunek jako dla wybitnego fachowca.

— My panu zaraz powiemy, co to za wybitny fachowiec. Pacjent, który leżał na stole operacyjnym, nie był żadnym panem Smuthsem, tylko superintendentem Theilerem z naszej dyrekcji policji i nigdy nie cierpiał ani na melanczolię, ani na depresję. Został po prostu przez pańskiego szefa porwany na szosie.

— Nie mogę w to uwierzyć — bronił się lekarz. — Mimo że był to wasz urzędnik i chociaż sądzicie, że nie cierpiał na depresję, być może na nią cierpiał, ponieważ pacjenci nie chwala się zazwyczaj tą chorobą w miejscu pracy.

Salak pomyślał, że cała sprawa będzie twardym do zgryzienia orzechem dla sędziego. Przypomniał sobie mianowicie, że Theiler mówił kiedyś coś w tym czasie, że skorzysta z teorii Salaka i będzie chodzić po szosach z przygnębnym wyrazem twarzy. Jeżeli porywacz szukał melancholików, możliwe że Theiler wmówił w niego, że cierpi na depresję, i sędziom przysięgłym trudno będzie wyjaśnić tak skomplikowaną sprawę. Dał wyraz swoim wątpliwościom słowami:

— Będziemy musieli porozmawiać z Theilerem.

— Dobrze — powiedział Brown. — Jak się czuje?

— Usnął, jak tylko odeszliście — odpowiedział sierżant Hughes.

— Czy chce pan jeszcze doktora Mortona o coś spytać?

— Nie, już skończyłem.

— Może pan odejść. Kajdanków już panu nie nałożymy, ale proszę się liczyć z tym, że pozostanie pan w zamkniętym pokoju pod strażą, dopóki wszyscy nie zostaną przesłuchani — powiedział Brown.

— Wniosem zażalenie — oświadczył Morton. — Nie mieliście prawa nakładać mi kajdanków i nie macie prawa zamykać niewinnego człowieka. Jest to ograniczenie swobody osobistej, a tego nie wolno robić nawet policji.

— Niech pan słucha, doktorze — powiedział Brown. — Może pan złożyć zażalenie, ale my prowadzimy dochodzenie w ważnej sprawie i musimy przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności. To już nasza rzecz, jak swoje postępowanie usprawiedliwimy. Wyprowadźcie go — dodał, zwracając się do Hughesa, który rozkaz natychmiast wykonał.

Gdy wyszli, Salak zwrócił się do Browna:

— Czy naprawdę nie będzie pan miał nieprzyjemności z tego powodu, że kazał pan nałożyć kajdanki tylu ludziom, którzy są najwidoczniej niewinni? Przecież zgodnie z tutej-

szymi ustawami nie macie do tego prawa.

— Nie mamy — powiedział Brown — ale mamy jedno prawo, a mianowicie — pomylić się. Policja ich przeprosi, ewentualnie coś im za to zapłaci. Ale nie możemy ryzykować tego, żeby się ci ludzie z sobą porozumiewali. Pójdźmy do Theilera.

Weszli do pokoju, w którym zostawili Theilera. Ten właśnie przeciągnął się po krótkim śnie i był już zupełnie wypoczęty. Obaj funkcjonariusze weszli do pokoju niczym dwa charty ścigające zwierzę, którym w tym wypadku był zbrodniarz Takamine. Obaj widzieli, że jest zbrodniarzem, ale obaj też czuli, że mógłby się z procesu sądowego zupełnie dobrze wykreścić, właśnie dzięki swemu lekarskiemu wykształceniu i okoliczności, że wszystko tłumaczyć mógł troską o pacjentów. Porobił z nich przy tym tego rodzaju idiotów, że wszyscy stracili pamięć i żaden z nich, z wyjątkiem Theilera, nie mógł w gruncie rzeczy zeznawać w charakterze świadka.

— Jak się pan czuje? — spytał Brown Theilera.

— Zupełnie dobrze. Dajcie mi papierosa, nie wiem, gdzie mam ubranie.

Brown jednak przerwał mu pytaniem:

— Niech pan mówi, jak to z panem było?

Theiler opowiedział im więc szczegółowo wszystkie swoje przeżycia. Rzeczywiście cała sprawa wyglądała tak, że doktor Takamine mógł śmiało bronić się przed sądem takim argumentem, że Theiler opowiadał mu o swych dolegliwościach, a on, Takamine, nie mógł odpowiadać za symulację domniemanego pacjenta. Było to nawet zupełnie możliwe, że uda mu się wmówić sędziom przysięgłym, że obawiał się, widząc melancholię Theilera, że człowiek ten jest bliski samobójstwa, i chciał mu swą operacją użyczyć pierwszej pomocy.

Tak, funkcjonariusz policji nie może myśleć jedynie o tym, by trafić na ślad zbrodniarza i znaleźć jego ofiarę, jak to wyobrażają sobie normalni ludzie nie znający normalnej pracy organów policji. Prowadzący dochodzenie organ, z chwilą gdy mu się uda znaleźć oba te przedmioty, to jest ofiarę i sprawcę zbrodni, musi przede wszystkim myśleć o tym, by na trzeźwo przygotować całą sprawę urzędowi prokuratorskiemu i dla przewodu sądowego, i to w ten sposób, aby już z góry pokrzyżować możliwą obronę oskarżonego albo też ściśle mówiąc, aby starannym dochodzeniem w należyty sposób naświetlić i bezstronnie stwierdzić, czy tego rodzaju obrona będzie rzeczowa czy też nie. Jasne było dla wszystkich, że Theiler został uprowadzony i że wbrew jego woli miała być na nim dokonana nieludzka, zbyteczna operacja. Ale równocześnie zdawali sobie sprawę, że tego rodzaju przekonanie trudno będzie wmówić bezstronnemu sądowi, zwłaszcza że Theiler rzeczywiście symulował melancholię, co sprytnie może wykorzystać dobry obrońca oskarżonego. Tym wątpliwościom dał wyraz Brown, mówiąc:

— Wszystko wskazuje na to, że jest to w gruncie rzeczy pańska wina, Theiler. Czy nie przypomina pan sobie jakiegoś rzeczowego dowodu, który by wskazywał, że Takamine żywił wobec pana złe zamiary?

— Naprawdę nie przypominam sobie.

W tym miejscu raz jeszcze zabłysnął bystrością Salak:

— Dowód rzeczowy przecież istnieje, i to zupełnie wyraźny. A pan nie wpadł na niego dlatego tylko, że jest pan jeszcze oszołomiony narkozą. Przecież uspił pana już w samochodzie. Wynika z tego, że musi mieć w nim jakieś szczególne urządzenie i że urządzenie to będzie dla sędziów przysięgłych dostatecznym dowodem rzeczowym.

— Idziemy do tego samochodu — wykrztusił Brown i dodał: — Doskonale, Salak, to nam właśnie było potrzebne. Theiler — ciągnął dalej — będzie pan mógł iść z nami?

— Mogę. Czuję się już zupełnie dobrze. Muszę mieć tylko ubranie.

Upłynęło trochę czasu, zanim dowiedzieli się od pielęgniarek, gdzie schowano przed operacją ubranie Theilera. Wreszcie ubranie znaleziono, Theiler ubrał się i poszedł wraz z nimi do garażu. Zatrzymali się w portierni, gdzie pod nadzorem jednego z policjantów melan-

choliwnie siedział skuty portier. On im właśnie powiedział, w którym garażu mieści się auto jego szefa.

— Hughes — powiedział Brown — niech pan każe zdjąć kajdanki wszystkim z wyjątkiem doktora Takamine. Dochodzenia posunęły się już na tyle, że należy sądzić, iż reszta jest prawdopodobnie niewinna. Na razie niech zostaną jednakże pod indywidualnym nadzorem, po to, by ze sobą nie rozmawiali.

Auto doktora znaleźli z łatwością, mimo że w garażu było kilka identycznych samochodów.

— Mówi pan, że zapach ulatniał się z urządzeń klimatyzacyjnych lub z motoru.

— Tak — odpowiedział Theiler.

— W takim razie rozmontujemy lodówkę.

W garażu znaleźli śrubokręt i zaczęli odkręcać pokrywę urządzeń klimatyzacyjnych. Zauważyli przy tym, że śrubki były już kilkakrotnie odkręcane, co przy amerykańskich wozach jest rzeczą niezwykłą, ponieważ wypuszczane są w tak doskonałym stanie, że rzadko kiedy wymagają naprawy. Zdjęli pokrywę lodówki, usunęli wietrznik wpędzający chłodne powietrze do wnętrza samochodu, ale nie znaleźli nic szczególnego. Przewody klimatyzacyjne były wprawdzie w jednym miejscu zadrapane, ale ani śladu po naczyniu z narkotykiem lub czymś podobnym. Przejrzeli następnie silnik, ale również nie znaleźli niczego; krótko mówiąc, żadnych urządzeń wskazujących na to, że Theiler uśpiony został przemocą.

— Czy jest pan pewien, że był to chloretyl i że pana uśpił? — spytał Brown.

— Oczywiście, jestem pewny. Ale jak ma mi uwierzyć sąd przysięgłych, kiedy nie wierzycie mi nawet wy?

Salak majstrował jeszcze przy lodówce, a następnie zawołał:

— Szukajcie, a znajdziecie — i podsunął im pod oczy zaokrąglony odłamek szkła, wyglądający jak kawałek cienkiego szkiełka od zegarka.

— Co to jest? — spytali równocześnie Brown i Theiler.

— Odłamek ampułki z kelenem. Prawdopodobnie umieszczona była w ten sposób, że przy przekręcaniu wyłącznika tłukła się, a zawartość jej wylewała się do urządzeń klimatyzacyjnych. Wentylator wpędzał następnie opary do wnętrza samochodu.

— Czy przekręcał wyłącznik? — spytał Brown.

— Tak, gdy wysiadał z wozu, dwukrotnie. Najpierw lodówkę wyłączył i natychmiast potem znów uruchomił. Po jakiejś sekundzie poczułem zapach i jak pewnie pamiętacie, doktor Takamine znajdował się w tej chwili poza samochodem. Powiedział, że idzie coś załatwić, ale prawdopodobnie był gdzieś w pobliżu i obserwował mnie.

— Teraz musimy jeszcze podjąć decyzję w jednej sprawie — powiedział Salak. — Czy mamy ten fakt oznajmić prokuratorowi natychmiast, czy też wystąpić z nim dopiero przed sądem?

— Oznajmić musimy natychmiast — zdecydował Brown — ale możemy mu poradzić, ażeby zaczekał z tym aż do końca rozprawy. Wtedy wywoła to większe wrażenie aniżeli na jej początku.

— Oznacza to w takim razie — powiedział Theiler — że podczas przesłuchania doktora nie możemy ani słowem wspomnieć o mojej pierwszej narkozie w samochodzie.

— Oczywiście — powiedział Salak, a Brown dodał:

— Pozakręcajcie wszystko z powrotem, ażeby ktoś nie doniósł mu do więzienia, że majstrowaliśmy przy samochodzie. Będziemy udawać, że o niczym nie wiemy, a prokuratorowi oznajmimy to w oddzielnym poufnym piśmie.

Wszyscy trzej udali się do gabinetu doktora Takamine, gdzie miały być kontynuowane nocne przesłuchania.

— Kogo teraz zawołamy? — spytał Brown.

— Ja bym chętnie spytał jeszcze o coś tego doktora Mortona, jeśli nie macie nic przeci-

wko temu — powiedział Salak.

Brown wstał w milczeniu z fotela, otworzył drzwi i zawołał krótko do sierżanta Hughesa: — *Call Morton again.* — Hughes stuknął obcasami i po chwili przyprowadził młodego lekarza.

— Kiedy zobaczył pan po raz pierwszy Theilera, doktorze?

— Zaraz, jak go przyprowadzili.

— Kto go przyprowadził?

— Takamine i portier.

— Jakie zrobił na panu wrażenie?

— Wrażenie człowieka chorego umysłowo, plótł coś o tym, że jest funkcjonariuszem policji.

— Melancholik przecież nie plecie.

— Nie wiedziałem, że to melancholik.

— A co pan sobie pomyślał, kiedy się pan dowiedział?

— Myślałem, że jest pijany. Policjanci cierpiący na depresję wpadają czasem w nałóg alkoholizmu.

— Czy czuł pan od niego alkohol?

— Nie, nie czułem, ale ciekawe...

— Co ciekawe?

— Czułem od niego wyraźnie kelen, ale uświadomiłem to sobie dopiero teraz.

— To nam wystarczy, dziękuję, może pan odejść.

Następnie miały miejsce dalsze przesłuchania. W sumie nie dały one nic nowego. Zarówno drugi lekarz, jak pielęgniarki i portier zgadzali się we wszystkich punktach, o ile były im znane, z doktorem Mortonem. Zbliżała się noc, zakończyli przesłuchiwanie krótko po jedenastej. Przez otwarte okno wiatr przyniósł do pokoju rześki chłód. Wszyscy przesłuchujący byli już poważnie zmęczeni całodzienną pracą, a Theiler ponadto przejściami. Po odejściu portiera, który zeznawał ostatni, Brown powiedział:

— Czy nie powinniśmy już skończyć? Wszyscy jesteśmy zmęczeni, pozostał nam tylko Takamine, a ten nam nie ucieknie.

— Ja bym jeszcze wytrzymał — powiedział Salak. — Skończmy już z tym wszystkim. Wiemy już prawie wszystko, a to, co robimy, jest tylko przygotowaniem materiału dla prokuratora. Jeśli chcecie, przesłucham go sam.

Sprawa była rzeczywiście jasna i jasne było również to, że nikt z personelu sanatorium nie brał udziału w zbrodniach doktora Takamine. Można już było sprecyzować akt oskarżenia. Takamine uprowadził ponad dwieście osób, pozbawił ich pamięci przeprowadzoną wbrew ich woli operacją, dał im w zamian dobry humor i zadowolenie i wykorzystywał ich jako robotników w fabryce, która musiała dawać poważne dochody. W ten sposób miał zapłaconą wielokrotnie operację każdej ze swych ofiar. Dlaczego wybierał ludzi o smutnym wyglądzie lub melancholików, było również jasne: prawdopodobnie okłamywał w ten sposób resztki swego sumienia lub też z góry przygotowywał możliwą obronę na wypadek, gdyby się wszystko wydało. Nie należało przypuszczać, że się czegoś od niego dowiedzą, tego rodzaju człowiek nie pomyli się podczas przesłuchania. Ale mimo to Brown, jako prawdziwy Amerykanin, zgodził się z projektem Salaka, a Theiler oświadczył, że jeśli będzie zbyt zmęczony, to po prostu uśnie. Poprosili więc sierżanta Hughesa, żeby przyprowadził doktora Takamine. Po chwili ów człowiek wszedł z pewną siebie miną i skutymi rękoma do gabinetu.

— Zdejmijcie mu kajdanki — rozkazał Brown, a Hughes natychmiast to uczynił.

— Niech pan siada, doktorze — ciągnął dalej Brown spokojnie i prawie życzliwie. —

Pytania zadawać będzie panu Salak.

Takamine nie odpowiedział.

— Jak się pan nazywa? — spytał Salak.

- Andrea Takamine.
- Ile ma pan lat?
- Czterdzieści trzy.
- Gdzie się pan urodził?
- W Jersey City, New Jersey.
- Czym był pański ojciec?
- Aktorem.
- Matka?
- Aktorką.

I w ten sposób jedno za drugim padały pytania i odpowiedzi. Brown notował wszystko w notesie.

- Gdzie pan studiował medycynę?
- Na New Yorker University.
- Czytuje pan gazety?
- To nie należy do rzeczy.
- Proszę odpowiedzieć.
- Odpowiadam, że to nie należy do rzeczy.

— Niech pan słucha. O tym, co należy do rzeczy, decydujemy my, a pan niech po prostu odpowiada albo zanotujemy sobie, że odmówił pan na to pytanie odpowiedzi. Oczywiście wolno to panu zrobić. I proszę się uważać za aresztowanego.

— Chciałbym wiedzieć, za co zostałem aresztowany.

— To panu powie prokurator, jeśli nie mówi panu tego pańskie sumienie — wtrącił się do rozmowy Brown. — Proszę, Salak, niech pan pyta dalej.

- Czytuje pan gazety?
- Nie.
- Nigdy?
- Nigdy.

— Proszę stwierdzić to na piśmie. — I Salak wyjął z biurka arkusz czystego papieru, napisał: „Oświadczam, że w ciągu ostatnich pięciu lat nie czytałem gazet” — i podsunął go doktorowi Takamine pod nos.

- Nie podpiszę.
- Nie szkodzi. Napiszemy, że pan odmówił podpisu i podpiszemy my we trójkę.

Brown był zdziwiony, Theiler również: do czego zmierza Salak tymi pytaniami — ale zachowując koleżeńską postawę milczeli. Takamine jednak nie wytrzymał:

— Nie rozumiem, w jakim celu pytacie mnie o północy o takie głupstwa jak to, czy czytam gazety, czy nie. Przecież nie ma to nic wspólnego z waszymi domysłami.

— Co to ma wspólnego ze sprawą, powiemy panu później. Teraz niech panu tylko to wystarczy, że przekonamy się na podstawie zeznań świadków, czy widział ktoś pana czytającego gazety w ciągu ostatnich pięciu lat. Jeśli pan je kiedykolwiek czytał, będziemy mieli obiektywny dowód, że zaraz na początku przesłuchania usiłował nas pan okłamać.

— Ach tak — powiedzieli sobie w duchu równocześnie Brown i Theiler — to niezły trick. Ale oni również nie zrozumieli, do czego Salak zmierza.

Takamine spieszył się. Zdawał sobie sprawę, co by dlań znaczyło dać na pierwsze niewinne pytanie kłamliwą odpowiedź. Dlatego powiedział:

— Jeśli ma to dla was jakieś znaczenie, nie będę oponował. Oczywiście czytam codziennie gazety, a mianowicie New York Times. „Naturalnie — mówił sobie w duchu — muszę tak powiedzieć, w przeciwnym razie ci ludzie mogą łatwo sprawdzić, gdzie kupuję gazety i ilu ludzi widziało mnie czytającego je przy śniadaniu, przy obiedzie lub przy innej okazji. Z powodu takiego głupstwa nie będę się targował, dobrze jeszcze, że ten idiota detektyw, który najwidoczniej nie jest Amerykaninem, sam mi powiedział, dlaczego chce to wie-

dzieć. Gdyby mi tego nie powiedział, mogłem popełnić poważny błąd, ponieważ nic nie robi tak złego wrażenia na przysięgłych, jak to, kiedy przesłuchiwany kłamie lub zmienia zeznanie, i to nawet wówczas, kiedy nie ma to nic wspólnego ze sprawą”.

— I nigdy pan nie zauważył, że poszukują w nich ludzi będących pańskimi pacjentami. Że poszukują ich rodziny?

Doktor Takamine milczał. Czuł, że natrafił na mistrza. Ten obcy facet, sądząc z szerokiej twarzy — Słowianin, będzie prawdopodobnie tak wstrętny jak Rosjanie, sąsiedzi jego japońskich przodków.

— Pytałem pana, czy pan nie zauważył, że rodziny poszukują pańskich pacjentów jako osób zaginionych. Proszę mi odpowiedzieć.

— Nie zauważyłem.

— Nie będę pana pytał, dlaczego pan nie zauważył, ponieważ o to będą pana pytali przysięgli i może pan sobie przygotować wygodną odpowiedź.

— To dopiero osioł — pomyślał Takamine — jeszcze mi mówi, co mam sobie przygotować dla przysięgłych. Stawia dobrze pytania, ale zawsze je czymś zepsuje. Ale to tylko z korzyścią dla mnie.

— Nie poznał pan ich z fotografii?

— Nie poznałem.

— Jak pan mógł nie poznać, kiedy sam pan mówi, że ich pan nie zauważył.

— Pomyliłem się. Naprawdę nie zauważyłem.

— Mister Brown, może zechce pan to zaprotokołować.

— Niech pan będzie spokojny, protokołuję słowo a słowem. Robi pan to *all right*.

— Więc, doktorze, nie zauważył pan, że poszukuje się dwustu trzydziestu pięciu zaginionych, o których pięciokrotnie był komunikat w gazetach wraz z fotografią, czyli razem tysiąc sto siedemdziesiąt pięć razy, a więc w ciągu ubiegłych trzech lat prawie codziennie. Przyznaje się pan do tego, że owych dwustu trzydziestu pięciu ludzi uprowadził pan, dokonał pan na nich wbrew ich woli operacji, pozbawił ich pamięci i wykorzystywał w charakterze siły roboczej? Przypominam panu, że w tym kraju okazana zawczasu skrucza jest okolicznością łagodzącą. Zwracam panu uwagę, że mamy dostateczną ilość dowodów, że moje przesłuchanie się na tym kończy i że policja prawdopodobnie więcej już pana przesłuchiwać nie będzie, a jedynie sędzia śledczy. Przyznaje się pan, czy nie?

— Nie.

— Skończyłem. Nie mam już dalszych pytań — powiedział Salak. — Mnie to wystarczy, a przysięgłym, myślę, wystarczy to również. Mister Brown i mister Theiler, macie panowie jakieś pytania? Jeśli tak, to proszę.

— Dlaczego mnie pan nie spytał — powiedział Theiler — czy zgadzam się na operację, czy nie?

— Pytałem pana, a pan się zgodził — powiedział szybko Takamine — ale nawet gdyby się pan nie zgodził i tak byłbym pana operował, ponieważ zachodziła konieczność udzielenia pierwszej pomocy. Był pan bliski samobójstwa, przynajmniej tak pan mówił i tak się pan zachowywał.

— Sam pan wie, że to kłamstwo — powiedział Theiler.

— Kłamać możemy obydwaj — odciął się Takamine. — Zobaczymy, komu uwierzą przysięgli, czy ofiarnemu lekarzowi, czy podstępnemu detektywowi, symulującemu chorobę. Najwyżej będę miał złą opinię jako lekarz, że pozwoliłem się symulantowi nabrać.

Salakowi zrobiło się głupio i chcąc przyjść z pomocą Theilerowi wmieszał się znowu do rozmowy. Było to dlań tym łatwiejsze, że jako były pacjent znał poszczególne objawy depresji.

— Czy badał pan Theilera?

— Tak, naturalnie, ale tylko poprzez rozmowę.

— Jaki miał test siódemkowy?
— Trzy minuty.
— Proszę, mister Theiler, niech pan nam zademonstruje ten test.
— W ogóle nie wiem, o co chodzi.
— Niech pan odejmuje od stu po siedem tak długo, dopóki nie otrzyma pan dwóch, tzn. sto, dziewięćdziesiąt trzy, osiemdziesiąt sześć itd.
Theiler zaczął liczyć i skończył dokładnie w ciągu 30 sekund.
— Czy myśli pan, doktorze — spytał Salak — że jego test siódemkowy mógł się za pół dnia tak poprawić?
Ale Takamine nie był głupi i próbował wykrętów:
— Mógł się poprawić, jeżeli pacjent za pierwszym razem symulował, mógł bowiem symulować również test. Znowu wszystko zależeć będzie od tego, komu uwierzą przysięgli. Zresztą test mógł się poprawić, jeżeli pacjent używał jakiegoś narkotyku, czarnej kawy lub benzendryny. Nie używał czegoś?
Salak i Theiler równocześnie naraz pomyśleli, że ów stary lekarz dał mu naprawdę wahać benzendrynę i że nie dałoby się tego przed sądem zataić. Salak chciał jednak ratować sytuację i dlatego pytał w dalszym ciągu:
— Czy miał pan jeszcze innych pacjentów, poza tymi, których pan uprowadził?
— Nikogo nie uprowadziłem.
— Więc — oprócz tych, których zatrudnia pan jako robotników w Older Valley?
— Tak, od czasu do czasu. Nie mam szerokiej praktyki, ale miałem kilku pacjentów oprócz tych, o których pan mówi.
— Ilu ma pan teraz chorych w sanatorium?
— W tej chwili ośmiu.
— Czy krewni ich odwiedzają?
— Nie, wizyty są całkowicie zakazane. Krewni mogą chorego zabrać dopiero po pisemnym zawiadomieniu.
— Niech nam pan wyjaśni, dlaczego w wypadku tych dwustu trzydziestu pięciu, którzy pracują u pana jako robotnicy, krewni nie otrzymali żadnych wiadomości?
— Nie domagali się tego.
— Ci krewni?
— Tak. To znaczy nie. Ci pacjenci.
— Czy żądanie nienormalnego człowieka ma jakieś znaczenie?
— Tak, czasem tak.
— I nikt z krewnych nie zapytywał, jak się czują?
— Nikt.
— Nie wydawało się to panu dziwne?
— Wydawało.
— Jak pan na to zareagował?
— Nie reagowałem.
— Czy znał pan adresy swych pacjentów?
— Nie będę odpowiadać. Nie wiem, co to ma za sens. W niektórych wypadkach znałem, w innych nie. Nie troszczyłem się o to.
— To mi zupełne wystarczy.
— Proszę go wyprowadzić — powiedział Brown do sierżanta Hughesa, który natychmiast rozkaz wykonał, zapytawszy tylko uprzednio, czy mu znowu nałożyć kajdanki.
— Nie trzeba — zdecydował Brown — ale będzie pozostawał pod ścisłym nadzorem. Jest pan aresztowany, doktorze, i zostanie przeciwko panu wniesiony akt oskarżenia za pańskie czyny.
— Protestuję. Mogę być aresztowany tylko na podstawie wyroku sądowego.

— O to niech się pan nie troszczy, postaramy się o to dodatkowo. Jest pan aresztowany. Dokładne brzmienie aktu oskarżenia zakomunikuje panu prokurator. Dla nas jest pan winnym uprowadzenia przemocą dwustu trzydziestu pięciu osób i jednego urzędnika policji.

— Jak to, a ja nie jestem osobą? — zaprotestował Theiler.

— W tym wypadku jest pan czymś więcej, był pan urzędnikiem na służbie.

— U nas się to nazywa osoba urzędowa — dodał Salak.

— *Well*, wyprowadźcie go.

Doktor Takamine wyszedł pod strażą sierżanta na korytarz. Jego precyzyjny umysł i chłodny sposób rozumowania został zakłócony. Po raz pierwszy czuł coś w rodzaju zainteresowania własnym losem, teraz, kiedy los jego zdawał się pomimo idealnej konstrukcji jego zbrodni przypieczętowany. Naraz musiał się zastanowić, czy musiał to wszystko robić. Jego zimna azjatycka natura poczęła tracić swój chłód. On, którego interesował zawsze tylko świat zewnętrzny, luksus, pieniądze, praca lub to, co nazywał pracą, nauką lub to, co wydawało mu się nauką, a co w gruncie było wytworem zwyrodniałych myśli, on, który ze spokojem myślał o przyszłości, poczuł naraz, że właśnie jego los niczym pewnym nie jest, czuł to, co czuje idealnie zdrowy człowiek, gdy naraz zmoże go choroba. Ale nie uświadamiał sobie do tej pory, że tego rodzaju uczucia są w gruncie rzeczy początkiem depresji, początkiem wywołanym przyczynami zewnętrznymi, początkiem przejawiającym się w tym, że człowiek zaczyna naraz zastanawiać się nad samym sobą, że odwraca się od świata zewnętrznego i zagłębia w samym sobie, bez względu na to, czy idzie o przyczyny wewnętrzne czy zewnętrzne. Już nie rozumował tak, jak do tej pory, bez zaangażowania się uczuciowego w przedmiot, a równocześnie gdy tak szedł po korytarzu, poczuł nagle brak zainteresowania samym sobą, zaczynało mu być wszystko jedno. Przyszło mu na myśl, że to w gruncie rzeczy obojętne, czy skażą go nawet na śmierć. Umrze i tak w rok czy dwa naturalną śmiercią. Nie czuł głodu, mimo że nie jadł obiadu. W tym stanie zaprowadzono go do jednej z sal, w której jeszcze do niedawna leżeli jego pacjenci; usiadł na łóżku, a nad nim stanął policjant.

Po północy policja nie miała już wiele do roboty w tym przycichłym sanatorium. Wszyscy aresztowani z wyjątkiem Takamine zostali zwolnieni, tymczasem kierowanie zakładem powierzono doktorowi Mortonowi, doktora Takamine wsadzono do karetki i zawieziono do więzienia w Albany. Theiler, Brown i Salak wsiedli do samochodu i kazali się zawieźć do Nowego Jorku. Po przybyciu na miejsce udali się natychmiast na spoczynek, umówiwszy się, że na drugi dzień spotkają się w dyrekcji policji o godzinie dziewiątej na naradzie.

XIV

Na drugi dzień o godzinie pół do dziesiątej, ponieważ wszyscy się spóźnili, zgromadziło się pięciu mężczyzn przy okrągłym stole konferencyjnym w gabinecie dyrektora. Był tu dyrektor Hower, Brown, Salak, Theiler i dziwna rzecz, również Hardneck, który przyjechał z Connecticut. Za chwilę debatowali już o całej sprawie.

— *Well* — powiedział dyrektor, kiedy mu wszystko opowiedzieli. — Mamy więc do czynienia z niezwykle wypadkiem i proszę, abyście jeszcze dziś opracowali meldunek do głównego prokuratora w Albany, żeby mógł przygotować akt oskarżenia. Komunikat dla prasy możecie dać, jaki uznacie za stosowny, obecnie nie potrzeba już niczego taić. Gratuluję wam wszystkim, a zwłaszcza Salakowi, którego dziwne pomysły w osobliwy sposób przyczyniły się niewątpliwie do szybkiego rozwikłania sprawy; jego metoda, wprawdzie sprzeczna z wszystkimi prawidłami, zdała w tym wypadku egzamin. Dziękuję naturalnie również Theile-

rowi. Było to z pańskiej strony bardzo ofiarne i będzie pan w całej sprawie koronnym świadkiem. Panu Brown i panu Hardneck dziękuję również; wykonaliście dobrze swój obowiązek, więcej nie można było od was oczekiwać. To znaczy chciałem powiedzieć — dodał dyrektor, który bez względu na to, jak się wyrażał, zawsze musiał powiedzieć coś nieuprzejmego — że nie mieliście sposobności zrobić nic ponadto nie dlatego, że brak wam było zdolności, ale dlatego, że sprawa została wam przydzielona zbyt późno, kiedy już nie mieliście czasu zapoznać się z materiałem. A teraz Hardneck, co pan zrobił z tymi śmiejącymi się robotnikami?

— Na razie nic, ponieważ fabryka musiałaby stanąć. Zawiadomiłem telegraficznie ich rodziny i zawezwałem je, żeby przyszli rozpoznać swoich bliskich. Prawdę mówiąc nie wiem, co mógłbym innego zrobić, ponieważ w domu z tymi ludźmi byłby prawdopodobnie kłopot. Jeśli jakaś kobieta zechce kogoś z nich zabrać, to może, ale nie wiem, co będzie z nim robić w domu. W tej fabryce natomiast mają mimo wszystko zatrudnienie i mogą się utrzymać sami.

— Dobrze pan zrobił. Jak będzie coś nowego, niech nam pan zamelduje i zobaczymy, co się da zrobić. A teraz, panowie, jakich dopuściliście się błędów?

Salakowi to pytanie wydało się dziwne. Nie wiedział jeszcze, że w Ameryce istnieje zwyczaj przy podsumowaniu wyników pracy meldować przełożonym o błędach, a to w tym celu, aby mieć również przegląd niedociągnięć. I tak na przykład: w każdym planie na przyszłość omawia się nie tylko jego zalety, lecz również jego wady. W ten sposób podchodzi się do każdego zadania na trzeźwo, w wyniku czego unika się często przykrych niespodzianek.

— Wad i błędów było wiele — powiedział Brown. — Zapomnieliśmy o wielu rzeczach.

— Na przykład? — spytał dyrektor.

— Na przykład było oczywistym błędem, że jadąc do szpitala nie wzięliśmy ze sobą lekarza policyjnego, chociaż gdzieś po drodze. Byliśmy pomiędzy tymi lekarzami jak tabaka w rogu i tylko przypadkiem mieliśmy szczęście. Gdyby na przykład doktor Morton był współnikiem doktora Takamine, mógłby Theilerowi zwiększyć dawkę narkozy i zgładzić go, zanim zdążyłby stać się koronnym świadkiem. Nikt z nas nie umie obchodzić się z aparatem do narkozy i nikt by się nie zorientował, czy Morton narkozę przerywa, czy zwiększa. Okoliczność, że ją wstrzymał, dowodzi w sposób widoczny jego niewinności. Ale to drugi dowód. W przeciwnym wypadku Theiler mógłby przyłapać życie.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę — wmieszał się do dyskusji Salak — że ten doktor właściwie nie przerywał narkozy; zachowywał się dość niezdecydowanie. Narkozę wstrzymałem właściwie ja sam, kiedy ściągnąłem Theilerowi maskę. Ale to nie zmienia postaci rzeczy, i tak jest prawdopodobnie niewinny. Cała sprawa zorganizowana była w ten sposób, że wszystkie uprowadzenia mógł przeprowadzać Takamine sam i nie potrzebował w tym celu świadomego współnika. Tutaj jest to rzeczywiście możliwe, ale myślę, że tylko tutaj, w Ameryce, gdzie szacunek dla spraw prywatnych i szacunek dla przełożonych jest tak powszechny.

— Bardziej niż szacunek dla siebie samego, nieprawdaż, mister Salak — powiedział dyrektor. — Pan naturalnie nie dopuścił się żadnego błędu, ponieważ u was, o ile mi wiadomo, nie ma zwyczaju przyznawać się do błędów, wy robicie wszystko w stu procentach dokładnie, *of course*...

Salak się zmieszał, ponieważ była to prawda i ponieważ zdawał sobie sprawę z tej słabostki swojego narodu. Starał się ten błąd bodaj teraz naprawić, ale w pierwszej chwili stwierdził w duchu, że w ogóle nie widzi w swym postępowaniu żadnego błędu, tak bardzo było w nim zakorzenione przeświadczenie o własnej doskonałości. W końcu jednak mimo wszystko coś sobie przypomniał.

— Tak, popełniłem wielki błąd. Nie powinniśmy byli tracić czasu na oglądanie fabryki, a trzeba było udać się natychmiast do szpitala za Takamine, któregośmy już przed wejściem do fabryki silnie podejrzewali. Bylibyśmy go aresztowali o kilka godzin wcześniej.

— Co by to miało za sens?

— Bylibyśmy uwolnili Theilera o kilka godzin wcześniej i nie byłby się w ogóle znalazł w tak poważnym niebezpieczeństwie. Nam natomiast udało się go ocalić zaledwie cudem; wystarczyłoby, żebyśmy po drodze złapali gumę, a Theiler byłby dziś takim samym wesołym idiotą jak tamci.

— Tak, to był wielki błąd. Człowiek nie powinien się dać zaabsorbować dochodzeniami w jednym miejscu, chociażby były one jak najbardziej interesujące, i powinien pamiętać o wszystkim co ważne. *All right*, Salak, zaczyna się z pana robić prawdziwy Amerykanin.

I dziwna rzecz, Salak poczuł dumę, i to właśnie w chwili, gdy przyznał się do uczniowskiego błędu; przy czym sytuacja była z naszego europejskiego punktu widzenia paradoksalna tym bardziej, że właśnie za ten błąd spotkała go pochwała, a ściślej mówiąc za to, że zdawał sobie z niego sprawę i że się do niego przyznał. Albowiem inteligentny przełożony wie, że najlepszym pracownikiem jest ten, kto zna swoje błędy i potrafi się do nich przyznać.

*

Konferencja ciągnęła się jeszcze dość długo i zakończyła się rozkazem dyrektora, w myśl którego wszyscy trzej, to jest Theiler, Brown i Salak, mieli opracować obiektywny meldunek dla prokuratora w Albany. Hardnecka poprosił dyrektor, by uczynił to samo w sprawie fabryki i zabezpieczonego w niej materiału. Następnie panowie się pożegnali, każdy na swój sposób. Brown chrząknął, Theiler z lekkim symptomem grzeczności skinął głową, Hardneck dotknął dyrektora nosem, a Salak skłonił się głęboko.

*

Mister Fox, jeden z robotników fabryki w Older, wracał autem policyjnym do domu. Żona jego wyraziła mianowicie życzenie, żeby przyjechał sam, nie mogła bowiem zostawić swoich chłopców. Wiedziała już wprawdzie z komunikatów policji, że umysł jego w jakimś stopniu został naruszony, ale poza tym jest zdrow, więc uważała za zbyteczne przedsięwziąć tak daleką podróż i zgodziła się na propozycję policji, że przywiozą go samochodem. Zrobiła porządek w swoim domku w Yonkers i jako dobra żona przygotowała smaczną kolację, poszła do fryzjera, umalowała się jak każda dziewczyna w tym kraju, ładnie się ubrała i czekała.

Foxa, który pracował w fabryce najkrócej — znalazł się tam w końcu czerwca — wyprowadzili z fabryki, wsadzili do samochodu i powieźli. Miał teraz minę zadowoloną i co chwila wybuchał śmiechem. Wszystko sprawiało mu radość, ciągle go coś cieszyło, chwilami uczucie szczęścia, zadowolenia, błogostanu było tak wielkie, że aż go ścisnęło w wnętrznościach i musiał serdecznie się śmiać.

Usadowił się w samochodzie wygodnie na miękkim siedzeniu i poczuł taką falę rozkoszy, jaką odczuwa człowiek obejmujący ukochaną kobietę. Natychmiast jednak zapomniał o tym, ponieważ auto ruszyło, a jego rytmiczny warkot brzmiał w jego uszach jak bohaterski marsz. Ogarnęło go niemal patriotyczne uczucie entuzjazmu, z tą tylko różnicą, że nie uświadamiał sobie wyrazu i pojęcia — ojczyzna. Ale uczucie trwało. Przez okienko — było wczesne popołudnie — wpadał świeży chłód i woń trawy rozległych łąk, skropionych wczorajszym deszczem. Zapach tak był silny, że Foxowi zdawało się, jak gdyby głowę zanurzył w pęku trawy. Chłonał te wonie rozdętymi nozdrzami, a rozkosz, jaką przy tym odczuwał, zapierała mu oddech.

Auto sunęło po szosach, huštało, w miarę tego jak szosa wznosiła się i opadała. Huštało się tak, że niejednym byłoby dostał morskiej choroby. Policjanci siedzieli w milczeniu, kierowca również milczał, a Fox miał wrażenie, że kołysze się na srebrnych falach baśniowego jeziora.

Pod wieczór zbliżyli się do Yonkers od wschodu. Z oddali słychać było syreny paro-

wców na rzece Hudson, dolatywał tu już znany zapach ryb, a Foxowi zdawało się, że kiedyś już coś podobnego widział i czuł. Widział w wyobraźni chłopca łowiącego ryby i słyszał, jak matka mówi do niego wieczorem: — Chłopcze, ty pachniesz rybami — i słowo to wydobyło się jak gdyby na powierzchnię jego świadomości, więc powiedział na głos:

— Pachniesz rybami, hahaha.

— Co panu jest? — spytał policjant.

— Nic. Hahaha.

Myśl odleciała, świadomość jego okryła się jak gdyby mgłą, wszystko było niejasne, myśli rozdziły się, ale nie umiał ich połączyć, nie umiał im rozkazać, wszystko mu się plątało, a on nie zdawał sobie sprawy, że jest to jego własne ja. Jednym wyraźnym uczuciem było uczucie radości. Gdyby go ktoś ukłuł lub sprawił mu inny ból, chyba by z radości zupełnie zwariował, ponieważ wszystkie zmysłowe wrażenia, czy to przyjemne czy przykre, wywoływały u niego uczucie rozkoszy, tym większe, im doznanie było silniejsze.

Słońce zaczęło zachodzić i teraz, około godziny ósmej, ta olbrzymia kula już nie grzała, ale świeciła czerwono na tle jasnego nieba, przykrytego tu i ówdzie różowymi chmurkami. Samochód wjechał do miasteczka i wkrótce zatrzymał się przed małym domkiem. Stąd tak niedawno wyruszył ponury Fox, który spóźnił się do pracy i sądził, że nieznajomy go tam jeszcze w porę podwiezie. Tu, w tym miejscu, widział po raz ostatni żonę, ale już nic z tych wspomnień nie pozostało w jego okaleczonym mózgu.

Zobaczył domek i zdawało mu się, że jest mu skądś znany. Ta kobieta stojąca przed drzwiami również była jak gdyby znajoma i dziwnie na niego patrzyła.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział policjant, gdy auto się zatrzymało. Fox dobrze wiedział, że kiedy się powie: jesteśmy na miejscu — należy wstać i iść; iść prosto przed siebie tak długo, dopóki znowu ktoś nie da znaku, że należy stanąć i powiedzieć „co słyhać”. Wysiadł z samochodu i szedł. Pani Foxowi patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami. Uczyniła ruch, jak gdyby chciała rzucić się mu w objęcia, ale Fox gwałtownie się cofnął. Wiedział dobrze, że kiedy ktoś idzie naprzeciw, należy się cofnąć, a jego biedny mózg nie sygnalizował, że istnieją w tym względzie subtelne różnice. Cofnął się, a jego żonie napłynęły łzy do oczu. Nie dostrzegał ich albo dostrzegał i nie uświadamiał sobie tego; przeszedł obojętnie obok niej i wszedł do domku. Otoczenie wydało mu się znajome, ale pamięć jego była jak gdyby przyćmiona. Obszedł dokoła hall i zaczął wchodzić po drewnianych schodach na górę. Schody pod nim skrzypiały i to go bardzo ubawiło. Śmiejąc się serdecznie wszedł na górę, otworzył pierwsze drzwi, na jakie natrafił, i zobaczył w pokoju dwóch chłopców. Byli to jego synowie, z których był zawsze dumny. Matka poleciła im siedzieć w swoim pokoju, żeby nie zobaczyli ojca pierwsi. Nie wiedziała, jak się będzie zachowywać, i chciała zobaczyć go najpierw sama.

Chłopcy zawołali:

— *Hello, dad!* — Podnieśli się i podeszli do niego, Wiedział, że kiedy ktoś powie „*hello*” — należy zrobić to samo. Powiedział więc *hello*, roześmiał się, odwrócił i zaczął schodzić po schodach w dół, obok tej pani, która — zastanawiał się czemu — ma mokre oczy. Wyszedł przed dom i usłyszał wyraźne, jak policjant mówi:

— Niech go pani zabierze do domu. Musi pani obchodzić się z nim ostrożnie, z czasem się pani przyzwyczai.

Słyszał te słowa zupełnie wyraźnie, zgłoska po zgłosce, ale ich nie rozumiał. Natomiast kiedy jego żona podeszła do niego i powiedziała: — Chodź do domu — mruknął „dobrze”, zrozumiał i poszedł.

— Ty mnie nie poznajesz? — spytała sadzając go przy stole.

— Poznaje — odrzekł, ponieważ wiedział, że należy wszystkiemu przytakiwać, by uniknąć wielu słów, które słyszał, ale których nie rozumiał lub rozumiał z nich niewiele. Żona objęła go i pocałowała, a jemu, choć nie uświadamiał sobie dlaczego, zrobiło się bardzo

przyjemnie, więc roześmiał się głośno. Przez drzwi zaglądali dwaj chłopcy i byli przerażeni.

— Chłopcy, ojciec jest chory, ale wkrótce wyzdrowieje.

— Tak, oczywiście — powiedział Fox, ponieważ przytakiwał z naciskiem zawsze wtedy, gdy czegoś nie rozumiał.

— Mów, co się z tobą działo?

— Działo, działo. Nie wiem. Dlaczego? Tak, oczywiście.

To było wszystko, co umiał powiedzieć. Przyniosła kolację i o dziwo, jedzenie nie sprawiało mu żadnych trudności. Napychał się żarłocznie i bez przerwy. Żona była trochę zdziwiona, ale sądząc, że jest wygłodzony, stale mu dodawała. A on jadł i jadł, aż naraz zaczął wymiotować. Nie umiała sobie z nim poradzić i postanowiła zaraz z rana zawołać lekarza, żeby jej coś poradził w tej sprawie. Zaprowadziła go do sypialni, rozebrała i położyła do łóżka, chociaż zdawało się, że potrafi zupełnie dobrze zrobić to sam, ruchy miał zupełnie normalne. Przykryła go kołdrą, a on roześmiał się radośnie. W ostatniej chwili przed usnięciem ujrzał nad sobą zatroskaną twarz kobiety, która stała teraz koło niego i jakichś dwóch przerażonych chłopców. Ale widział to wszystko jak przez mgłę i nie mógł zrozumieć, co oznacza ten obraz nad nim — obraz złożony z trzech żywych twarzy. Po chwili twardo usnął.

XV

Naczelnny prokurator stanu New York był mężczyzną szczupłym, czterdziestoletnim i ambitnym. Był prokuratorem z powołania i marzył o tym, żeby dostać się do najwyższego sądu federalnego. Miał akurat tyle fantazji co wiedzy prawniczej i kiedy otrzymał meldunek policji o porwaniu dwustu trzydziestu pięciu ludzi przez doktora Takamine, naprawdę się ucieszył. Od razu ocenił znaczenie, jakie może mieć dla niego ten niecodzienny wypadek, i postanowił całą sprawę dokładnie przygotować, żeby zamieniła się w sensację i żeby imię jego pojawiło się na łamach prasy. Miał na myśli prasę fachową, prawniczą, ale jeśli jego nazwisko pojawiłoby się w prasie codziennej, również nie miałby nic przeciwko temu. Przynajmniej jego wyborcy zobaczą, kogo wybrali.

Przestudiował więc przede wszystkim szczegółowo akta, a następnie udał się samochodem do Nowego Jorku, aby odwiedzić swego znajomego, doktora Franesa, ordynatora szpitala dla umysłowo chorych. Zapowiedział się rano przez telefon, a teraz o godzinie drugiej po południu wchodził do ponurego, starego budynku. Zapisał swoje nazwisko u portiera i za chwilę Murzyn wiozł go windą na górę.

Doktor Francis przyjął go serdecznie. Nie widzieli się już dość długo, od czasu, gdy jako studenci grali przeciwko sobie w dwóch różnych drużynach w piłkę nożną.

— Popatrz no, doktorze, stary przyjacielu. Mam tu ciekawą sprawę. Niech pan to zechce przeczytać, jeśli ma pan dla mnie chwilę czasu, a ja potem spytam pana o radę.

— Doskonale, czas już sobie zarezerwowałem i jak widzę, potrwa to mniej więcej pół godziny. Co pan chciałby tymczasem przeczytać?

— Niech mi pan da coś o melancholii, ale coś takiego, żebyśmy zrozumieli.

— Dobrze, poszukam wobec tego jeden z numerów znanego panu tygodnika humorystycznego. Jak go pan sobie przeczyta, ogarnie pana tak ciężka melancholia, że zrozumie ją pan doskonale bez dalszych wyjaśnień.

— Dobrze! Dziękuję.

Doktor Francis zagłębił się w lekturze prawniczej, a prokurator, nazwiskiem Gasser, przeglądał tymczasem pewien magazyn i rzeczywiście stawał się coraz smutniejszy. Po

pewnym czasie do pokoju weszła uśmiechnięta pielęgniarka i przyniosła im lodowatą czarną kawę. Uśmiechnęła się słodko, postawiła szklanki na biurku, spytała, czego sobie jeszcze życzą, i znów odpłynęła. Doktor Francis czytał, a czoło jego zasępiało się. Na oknie zabrzęczała mucha, rzadkie zjawisko w amerykańskich szpitalach, a z korytarzy dolatywały tu od czasu do czasu wrzaski umysłowo chorych, tłumione przez grube, stare ściany.

Za pół godziny Francis skończył, poskładał akta, przetarł oczy i powiedział tylko jedno słowo:

— Potworne!

— Tak — odpowiedział Gasser — ale potrzebowałbym do tej potworności jakiegoś wyjaśnienia.

— Jestem do pańskiej dyspozycji.

— A więc ten człowiek, ten Takamine, jak pan czytał, przewiercał ludziom mózgi, wstrzykiwał im tam jakąś trypsynę czy innego czorta, mózgi im się częściowo rozpuszczały, tak że ci ludzie uwalniali się od wszelkich zmartwień i byli zupełnie weseli. Ale przy tym tracili również pamięć, niektórzy głupieli zupełnie, inni tylko częściowo. Ich pierwotne usposobienie zniknęło i stawali się zupełnie obojętni na swój los.

— Obojętni? Tego nie można powiedzieć. Obojętnym jest człowiek zrezygnowany, niezadowolony, a oni byli nie tylko zadowoleni, ale nawet szczęśliwi. Właściwym określeniem byłoby, że nie byli obojętni, ale że byli zadowoleni ze wszystkiego w ogóle.

— To byłaby w pewnym stopniu wygoda — powiedział prokurator Gasser — ale ja mam wrażenie, że tu idzie o zbrodnię, i to o bardzo ciężką zbrodnię. Przecież Takamine robił to bez wiedzy rodzin poszkodowanych i sądząc z zeznań Theilera również bez wiedzy ich samych. Na to świadków wprawdzie nie mamy, ponieważ nikt z nich nie przypomina sobie, jak się rzeczy miały przed samym zabiegiem, ale można tak sądzić per analogiam.

— Pan wie, jako prawnik, że sądzić, ewentualnie oceniać, a udowodnić — to dwie różne rzeczy. Ale ostatecznie materiał jest dosyć jasny, policja wam sprawę doskonale przygotowała. Nie wiem, co dla pana jest w niej jeszcze niejasnego.

— Przede wszystkim jedna rzecz: dlaczego reakcje psychiczne u każdego z tych poszkodowanych są różne? Wszyscy mają wprawdzie niektóre wspólne cechy, jak na przykład to zadowolenie, ale poza tym niektórzy są głupszy, inni bardziej znośni; jeden wygląda ze swoją melancholią na paralityka, czyli każdy wygląda inaczej, a przy tym prawdopodobnie, jak świadczą zeznania personelu szpitalnego, u wszystkich przeprowadzono identyczny zabieg.

— To się da łatwo wyjaśnić. Niech pan posłucha: ta trypsyna rozpuściła jednemu więcej mózgu, drugiemu mniej, jednemu tę część, a drugiemu inną, mimo że robił on te zastrzyki zawsze w zatokę czołową. Ale nie mógł ich widocznie tak dokładnie odmierzyć, żeby uszkodzenie było zawsze jednakowe. Na tym polega właśnie jego dyletantyzm w tej dziedzinie.

— A teraz druga rzecz, o którą chciałbym pana zapytać. Zamierzam mianowicie wnieść skargę o wielokrotne morderstwo.

— Ejże, przecież oni żyją.

Ich ciało żyje, ale ich dusza jest martwa. A nam chodzi o duszę, a nie o ciało. Zresztą niektóre części ciała żyją jeszcze po śmierci; mówi się, że rosną wąsy, mimo że śmierć, czyli trwała utrata świadomości u tych ludzi już nastąpiła. Jeśli robi pan na zawsze z człowieka ssaka, to ten człowiek jest martwy, a pozostało tylko zwierzę.

— Ależ na miłość boską, pan jako prawnik musi wiedzieć, że nie można oskarżać o morderstwo tam, gdzie nie ma trupa.

— To już jest sprawa przysięgłych, jak zadecydują. Ja będę oskarżał o morderstwo dusz i zobaczymy, jak się do tego sąd ustosunkuje. Mam na myśli nie sędziego zawodowego, ale sędziego z ludu — sędziego przysięgłego.

— W tej sprawie, jak widzę, nie potrzebuje pan ode mnie rady. A czego pan w takim razie jeszcze chce się ode mnie dowiedzieć?

— Jednej rzeczy. Rzeczy ważnej również dla osądzenia czynu. Niech pan słucha. Czy jest jakaś nadzieja, żeby ci ludzie wyzdrowieli? Żeby ich umysł wrócił do normalnego mniej więcej stanu?

— Nie ma. Ich stan jest trwały i może zmienić się jedynie na gorsze. Tych komórek mózgowych, które zostały zniszczone, nic już nie zastąpi.

Gasser niemal że się ucieszył, kiedy usłyszał, że stan ofiar jest nieuleczalny. Dawało mu to bowiem szansę wyczarowania z tego przestępstwa — zbrodni, morderstwa, ponieważ, tak jak wielu innych prokuratorów na świecie, starał się, żeby każdy proces wyglądał jak najbardziej imponująco.

— Więc dusza ich zniknęła na zawsze?

— Zależy, co pan przez to słowo rozumie.

— A co pan przez to słowo rozumie?

— Sumę przejawów działalności mózgu — powiedział doktor Francis.

— To czysto lekarska definicja. Nawet gdyby sąd przysięgłych się na nią zgodził, to przyzna pan, że większość owych funkcji zniknęła, z chwilą gdy komórki nerwowe zostały na zawsze zniszczone.

— No tak, ale przecież wszystkie nie uległy zniszczeniu. Ci ludzie jedzą, śpią, pracują, więc mimo wszystko mają jakieś życie duchowe.

— Według tego, co pan sądzi, mniej więcej takie samo życie duchowe jak koń, który także je, śpi i pracuje. Zresztą — dodał Gasser — myślę, że sąd przysięgłych w Albany będzie się trzymał w tej sprawie raczej definicji biblijnej, a nie naukowej. Będzie prawdopodobnie obstawał przy tym, co wszczepił im do głowy pastor podczas niedzielnych kazań. Dusza jest nieśmiertelna i kontaktuje się z ciałem jedynie za pośrednictwem mózgu.

— O ile mi wiadomo, to bardzo zmodyfikowana definicja biblijna. Ale, człowieku, jak pan chce oskarżać o zabicie dusz, skoro sąd przysięgłych będzie zdania, że dusza jest nieśmiertelna i zabić się nie da?

— Przez zabicie rozumiem w tym wypadku — tu Gasser uśmiechnął się szelmowsko — przemocą oddzielenie duszy od ciała.

— Zgoda, przyjacielu, rozumiem — oponował ciągle Francis — ale mimo wszystko musi pan przyznać, że nawet według biblii musiałoby tu pozostać martwe ciało, pozbawione duszy. Zgadza się, że w pańskim wypadku dusza tych ludzi została częściowo lub nawet prawie zupełnie oddzielona od ciała, ale to ciało żyje i to żyje zupełnie dobrze.

— Wiem, co pan ma na myśli, ale w tej chwili jest to bez znaczenia. Poglądy religijne również muszą ulec zmianie. Niech pan patrzy: dzisiejsza medycyna potrafi przechować żywą krew ludzką i dać ją innemu człowiekowi, potraficie wyjąć z gałki ocznej trupa żywą rogówkę i przeszczepić ją żywemu człowiekowi, który miał na własnej kataraktę. Podobno udało się utrzymać przy życiu serce ludzkie oddzielone od ciała. Czy to prawda? — spytał Gasser, który nie czuł się w tych zagadkach lekarskich zbyt pewnie.

— Prawda — potwierdził Francis.

— Więc widzi pan — ciągnął dalej Gasser. — Przeczytałem niedawno, że Carrelowi i Lindbergowi udało się utrzymać przy życiu tkanki różnych organów zwierzęcych i ludzkich w oderwaniu od ciała, i to nieskończenie długo. A propos, czy udało się im to również z ludzkim mózgiem?

— O ile wiem, z ludzkimi komórkami mózgowymi tego nie próbowali. Ale nie jestem pewien. W każdym razie nie publikowano nic na ten temat. Zresztą może pan pójść zapytać, to parę kroków stąd, Carrel pracuje w Instytucie Rockefellera.

— Nie będę ich fatygował.

— Myślę, że nie próbowali tego robić ze względów, że tak powiem, humanitarnych, ale nie widzę poza tym przyczyny, dlaczego by się to miało nie udać;

— Co pan rozumie przez te względy humanitarne?

— Niech pan sobie wyobrazi kawałek mózgu oddzielony od ciała i jakąś myśl zakłęta w nim w ten sposób, że wprawdzie istnieje, ale nie może wydobyć się na zewnątrz.

— To nie byłoby znowu takie nieludzkie, sądząc z tego, co twierdził ten Takamine. W niewielkim stopniu naruszył mózg, a osiągnął w rezultacie całkowite zadowolenie tych, którzy cierpieli na depresję.

— Ma pan rację, ale o czym właściwie dyskutujemy?

— No, chciałem powiedzieć tylko tyle, że tego rodzaju tkanki żyją, że w praktyce może żyć cały człowiek, pokrajany na kawałki, i to żyć nieskończenie długo, ponieważ te kawałki w słojach nie starzeją się, a przy tym wszystkim nie będzie to człowiek. Ale żebyśmy już długo nie dyskutowali — sędzę, że przy postępie medycyny nie wystarczy do pojęcia morderstwa warunek istnienia zwłok, ale należy również wziąć pod uwagę stan duszy i stan świadomości łącznie z wszystkimi wspomnieniami.

Jeśli byśmy wykonali na kimś egzekucję, a pracownicy naukowcy wzięliby zwłoki i ożywili wszystkie ich poszczególne części, nie byłoby to jeszcze udaremnienie funkcji urzędowych, ponieważ ten człowiek byłby martwy, a dusza jego — używając terminologii biblijnej — nie byłaby połączona z ciałem. Dopiero gdyby ożywili całego człowieka, a on poznałby swoich znajomych i przypomniałby sobie swoje życie przed egzekucją, można by mówić o udaremieniu funkcji urzędowych, ale do tego nam lekarzom jeszcze daleko. Zresztą nie będę pana dłużej zatrzymywał.

— Ależ skądże! Cieszę się, że pana widziałem. A jednak po raz ostatni panu radzę, niech pan z tego nie robi morderstwa, bo może się pan najeść wstydu.

— Niech się pan o to nie obawia.

Amerykańskie lato miało się ku końcowi i na początku września nastąpiła owa czarująca pora, która nosi nazwę indiańskiego lata. Z sadów dolatywała woń dojrzewających jabłek, z dalekich łąk parowała wilgoć, słońce przygrzewało i cała atmosfera przepojona była uczuciem dobrobytu i miłości, która rozkwitała właśnie o tej porze roku, a nie w czasie krótkiej, przechodzącej w nieznośny żar lata wiosny. Salak był już zupełnie zdrowy, praca jego została szczęśliwie zakończona, więc nie szczydził sobie rozrywek towarzyskich, a do biura chodził jedynie po to, by usłyszeć jakieś świeże wiadomości. Byłby już wrócił do swego kraju, ale czekał na proces doktora Takamine, na którym miał wystąpić jako świadek. Rozprawa wyznaczona została na drugą połowę września, a w październiku Salak postanowił opuścić Amerykę. Nie tylko on czekał na ten proces.

Czekał nań przede wszystkim Takamine. Pograżony w apatii siedział w swojej celi w więzieniu w Albany, gdzie na razie powodziło mu się całkiem dobrze. Kazał nawet przysyłać sobie jedzenie z restauracji. Obaj zmieniający się przy nim dozorczy byli dlań uprzejmi, po pierwsze dlatego, że nie był dotąd skazany, tzn. nie zapadł jeszcze wyrok w jego sprawie, a po drugie dlatego, że otrzymywali za różne usługi przyzwoite wynagrodzenie, a dolar jest kluczem, który — obrazowo mówiąc — potrafi otworzyć mocniejsze jeszcze zamki aniżeli bramy więzienia. Takie warunki w więzieniu mogłyby stanowić dla niejednego przyjemny wypoczynek, ale nie dla doktora Takamine. Człowiek ten jak gdyby utracił swoją dawną naturę. W całym swoim życiu i tak był więźniem swojego zawodu, przebywając na przemian w szpitalu i w fabryce, a jego chora dusza zaprzątnięta była wyłącznie myślą o nauce i myślą o zbrodniach, o których był naturalnie przekonany, że nie są zbrodniami.

Ale mimo takiego rozumowania jego dobry nastrój znikł. Dawna bojowość przekształciła się w bierność, ponieważ raz na zawsze stracił cel i sens swoich zainteresowań. Zabrakło mu przygotowywanych starannie porwań, które były dla niego równie pasjonujące jak polowanie na zwierzynę lub łapanie ryb na wędkę. Te właśnie zaprzętały do tej pory jego umysł, a naraz przestało istnieć wszystko. Począł rozmyślać o tym, że życie jego staje się niepotrzebne. Poddając się takiemu nastrojowi zaobserwował, że traci apetyt, że przestały mu smakować

papierosy, mimo że palił coraz więcej. Stosy gazet leżały nie przeczytane na więziennym stole, a Takamine siadywał przy oknie i spoglądał całymi godzinami w jasne niebo, po którym płynęły od czasu do czasu białe, jesienne chmurki.

*

Proces doktora Takamine rozpoczął się dnia 28 września i trwał zaledwie dwa dni. Rozprawa odbyła się w Town Hall, czyli wielkiej sali ratusza. Rozprawą kierował przewodniczący Sądu Okręgowego w Albany, Howell, mając po obu stronach dwóch wotantów. Ława przysięgłych składała się przypadkiem z samych mężczyzn. Doktora Takamine bronił najlepszy adwokat w mieście, doktor Brandeis, czeskiego pochodzenia, naturalnie po dalekich przodkach, tak że sam już po czesku nie umiał. Mimo że powołano kilkuset świadków, rozprawa posuwała się szybko naprzód. Odczytanie aktu oskarżenia trwało kilka minut. Prokurator Gasser oskarżał doktora Takamine o zamordowanie dwustu trzydziestu pięciu ludzi, o usiłowanie zabójstwa jednego urzędnika policji oraz o uprowadzenie i ograniczenie swobody osobistej dwustu trzydziestu sześciu ludzi.

Po przeczytaniu aktu oskarżenia powstał wśród publiczności, składającej się przeważnie z dziennikarzy, taki tumult, że przewodniczący był zmuszony uderzyć w stół drewnianym młotkiem. obrońca, doktor Brandeis, poprosił natychmiast o głos i powiedział:

— Protestuję przeciwko bezsensowności aktu oskarżenia. Nie może być mowy o morderstwie. Wszystkich dwustu trzydziestu pięciu zamordowanych siedzi obok w sali, i to w dobrym humorze.

Na potwierdzenie jego słów, w ciszy, jaka zapanowała, zabrzmiał śmiech kilkuset ludzi z sąsiedniej sali. Przewodniczący Howell zirytował się i zawołał.

— Kto się tam śmieje?

— Pomordowani — odpowiedział ironicznie Brandeis.

— Niech pan zaprzestanie żartów, panie obrońco, stoi pan przed ławą przysięgłych.

Obrońca spokorniał i dodał grzeczniejszym tonem:

— Proszę mi wybaczyć, śmiejący się świadkowie są w dobrym humorze dzięki genialnej operacji, jakiej dokonał na nich doktor Takamine.

— Chciał pan powiedzieć oskarżony — poprawił go przewodniczący i ciągnął dalej: — Panie prokuratorze, z tym morderstwem to chyba lekka przesada, skoro ci ludzie siedzą tutaj obok.

— To nie są ludzie, to są ruiny. Zostały tylko żywe ciała, ale dusze są martwe. Zresztą wysoki sąd przekona się o tym na własne oczy. Zabito ich dusze. Oskarżony jest mordercą dusz. Udało mu się to zrobić tak zręcznie, że ciała pozostały żywe, ale ta zbrodnicza zręczność nie zmienia samego faktu ani jego natury. Obstawę przy swoim oskarżeniu, a wysoki sąd niech zadecyduje sam po wysłuchaniu świadków.

Oskarżony siedział w czasie tej pierwszej wymiany zdań przygnębiony i apatyczny na ławie, patrząc bezmyślnie przed siebie.

Schudł, kości policzkowe wystawały mu jeszcze bardziej, tak że jego azjatyckie pochodzenie było wyraźniejsze niż przedtem. Jego ciemne oczy pozbawione drapieżnego blasku błędziły apatycznie po sali, nie mogąc skoncentrować się na żadnym przedmiocie. Jego obecny stan i wygląd nie był jednak spowodowany skrucą ani strachem. Po prostu zaczął tracić zainteresowanie dla czegokolwiek, a w duszy jego zaczęło rodzić się uczucie nicości i zbezdności wszystkiego.

Prokurator podtrzymywał oskarżenie, a sądowi nie pozostało nic innego jak je rozpatrzyć. Nie obyło się przy tym bez wielu przykrych scen, zwłaszcza gdy jeden za drugim występowali w roli świadków „pacjenci” doktora Takamine. Bełkotali, nie pamiętali niczego i zachowywali się tak, że zarówno trybunał, jak ława przysięgłych byli zupełnie zdezoriento-

wani. Pierwszy zeznawał niejaki Baxter z New Jersey, człowiek mający w sobie domieszkę krwi murzyńskiej.

— Jak się pan nazywa? — spytał przewodniczący.

— Hahaha, w ogóle się nie nazywam.

— Proszę zachowywać się przyzwoicie przed sądem.

— Hahaha — brzmiała odpowiedź.

— Wysoki sędzie, pozwalam sobie zwrócić uwagę, że przesłuchanie tego świadka, podobnie jak i innych świadków, jest bez znaczenia, żaden z nich nie ma duszy.

— Czym pan jest z zawodu? — spytał na chybił trafił przewodniczący, mimo że drugie pytanie powinno brzmieć inaczej.

— Jestem zadowolonym człowiekiem — odpowiedział Baxter naturalnym tonem i roześmiał się hałaśliwie.

— Gdzie się pan urodził?

— Wcale się nie urodziłem.

— Panie prokuratorze, czy sprawdził pan podczas śledztwa, w jaki sposób ten człowiek mógł pracować?

— Tak. Według orzeczenia lekarskiego jego zdolność wykonywania automatycznych funkcji pozostała — podobnie jak u innych — nietknięta.

— Proszę, żeby to zanotowano w protokole — zawołał adwokat.

— Może pan sobie protokołować, co się panu podoba — powiedział prokurator. — Automatyczne funkcje wykonywać mogą również maszyny, ale to bynajmniej nie oznacza, że to, co widzimy przed sobą, jest żywym człowiekiem. Panie Baxter, czy jest pan żywy?

Baxter siedział w milczeniu i nie zauważył nawet, że pytanie dotyczy jego osoby. Chichotał cicho i gładził na brodzie zarost.

— Człowieku! — prokurator przystąpił do niego i potrząsnął nim. — Czy pan w ogóle żyje?

— Żyję — odpowiedział Baxter. — W ogóle nie żyję.

— Teraz ja z kolei proszę — powiedział prokurator — żeby to zeznanie świadka zostało zaprotokołowane, jeśli już chcecie notować każdy absurd. Świadek sam oświadcza, że w ogóle nie żyje i nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy mu wierzyć. Jest osobą pod tym względem zupełnie wiarygodną, panie mecenasie, przynajmniej pan tak uważa.

— Panowie, proszę mi tu nie dyskutować. Nie jesteśmy na zebraniu — upomniał ich przewodniczący. — Mamy stwierdzić ściśle charakter czynu. Widzę, że od tego świadka niczego się nie dowiemy. — Czy doktor Takamine uprowadził pana, czy pojechał pan z nim dobrowolnie? Niech pan mówi — kontynuował nieudane przesłuchanie przewodniczący, chcąc zagłębić się wreszcie w sedno sprawy.

— Na dworze dziś nie pada — odpowiedział Baxter i serdecznie się roześmiał.

— Może by raczej przesłuchać jego żonę — zaproponował jeden z wotantów.

— Proszę ją zawołać — rzekł z niechęcią przewodniczący.

Do sali weszła starsza pani i oświadczyła łamanym językiem, że nie umie po angielsku.

— Jakim językiem pani mówi?

— Po czesku — odpowiedziała, a Salak, który siedział na sali, ponieważ został przesłuchany już przedtem, wyprostował się, ażeby lepiej zobaczyć swoją rodaczkę, która wyszła za mąż za Mulata.

— Czy jest tu ktoś, kto zna czeski? — spytał przewodniczący.

— Ja — zgłosił się Salak.

— Tak, rzeczywiście — powiedział przewodniczący — zupełnie zapomniałem. Proszę bardzo, niech pan nam pomoże w tłumaczeniu.

— Ja także umiem trochę po czesku, pochodzę z Kutnej Hory — powiedział adwokat Brandeis. — Mister Salak, witam w panu rodaka!

— Wolę tłumaczyć sam — powiedział Salak, ponieważ zrozumiał, o co chodzi chytremu adwokatowi, który przypomniał sobie, że są rodakami i przedstawił się jako człowiek znający trochę język czeski po to, by życzliwie nastawić do siebie Salaka, co mogłoby wpłynąć na sens tłumaczenia.

— Proszę, mister Salak — powiedział przewodniczący — niech pan tłumaczy. — Czy jest pani Józefiną Baxterową, urodzoną w 1908 roku w... jak się to czyta... — Silejkowajsi?

— Czelakowice — powiedział Salak.

— *Yes, czel, stop it*, dobrze, czy to pani mąż? Proszę odpowiedzieć tak lub nie.

Salak przetłumaczył wszystko słowo po słowie.

— Ma się rozumieć, że jestem jego żoną. Kim miałabym być? A to jest mój mąż. Biedak, ładnie go ten drań urządził. Żeby go tak dostała w swoje ręce, ja bym mu pokazała! Łobuz jeden parszywy!

— Mówi, że tak.

— Na miłość boską, ten proces doprowadzi mnie do rozpacz — zawołał przewodniczący — takiego języka jeszcze nie słyszałem, żeby słowo „yes” składało się z kilkudziesięciu liter. Proszę pana, jak się w takim razie powie „przepraszam”. To musi trwać tydzień.

— Co ten pan mówi? Dlaczego tak się gniewa? — spytała pani Baxterowa.

— Co tam, nic nie mówi.

— Jezus Maria! Ten angielski to straszny język, ja się go nigdy nie nauczę. Jeszcze nic nie powiedział, a już charczy tutaj piętnaście minut, co dopiero gdyby zaczął mówić. Proszę pana, ja się tutaj zgubię.

— Co mówi? — spytał przewodniczący.

— Że angielski to trudny język.

— Naturalnie, na wszystko wystarczy kilka zgłosek. Mister Salak, pan jest doświadczonym funkcjonariuszem policji, niech ją pan przesłucha i powtórzy nam, co powiedziała — ciągnął dalej przewodniczący.

Salak wypytał ją o wszystko, co chcieli wiedzieć i nie trwało to wcale długo. Potwierdziła, że jest to z całą pewnością jej mąż, ale że zostało z niego tylko ciało, z jego natury i duszy — jak się wyraziła — nie pozostało nic.

— Zabrał mi ten drań dobrego męża. Nawet nie wiecie, jaki był pocziwy. Biedak był mi wdzięczny, że wysłałam za niego za mąż, ja, głupia osoba, tylko dlatego, że mam białą skórę. Tak się tym cieszył, mimo że był mądrzejszy ode mnie. Czytał książki i gazety, a ja, gdzie tam, ja nie czytam, ja ledwie umiem czytać. A teraz mi z niego zrobili żywy automat. Powinieneś go być raczej, draniu podły, całkiem zabić.

I pogroziła pięścią w stronę ławy oskarżonych.

— Co mówi? — spytał jeden z przysięgłych.

— Że powinien go być raczej zabić, skoro zamiast dobrego męża zwrócił jej automat.

— Pozwolę sobie zauważyć — wtrącił się adwokat — że świadek umyślnie przesadza w swojej rozpacz. Nie jest przecież możliwe, żeby biała kobieta pałała taką sympatią do kolorowego.

— Czy mógłbym coś powiedzieć — spytał Salak, zdając sobie sprawę, że nie powinien mieszać się do procesu, na którym najpierw występował jako świadek, a obecnie był tylko tłumaczem.

— Oczywiście, mister Salak — powiedział przewodniczący.

— Panie Brandeis, zapomniał pan w tej chwili o swoim czeskim pochodzeniu. My nie robimy różnic, jeśli idzie o kolor skóry.

— Dziękuję panu — powiedział prokurator, któremu była ta uwaga na rękę.

Po chwili, kiedy przesłuchanie świadka zostało zakończone, zawezwano i przyprowadzono Foxa, białego Amerykanina, i skończyło się tak samo. Fox wszedł do sali sądowej z błogim uśmiechem na ustach. Mimo że nigdy tutaj nie był, również tutaj otoczenie zdawało

mu się skądś znajome; w ogóle wszystko w ostatnim czasie wydawało mu się znajome, ale nie wiedział skąd. Myśli kłębiły mu się w mózgu, skakały jedna przed drugą, natrafiając w tkance mózgowej na skały blizn pozostałych po żrącym działaniu trypsyny. Ale było mu przy tym dobrze i kiedy wszedł do sali, w której przez otwarte, wielkie okna wpadał ciepły, wrzesniowy wiaterek a wraz z nim złote liście jaworu, sprawiło mu to taką radość, że roześmiał się głośno.

— Co to ma znaczyć? Dlaczego się pan śmieje? — spytał przewodniczący.

Głos jego zabrzmiał głucho, a Foxowi przypomniało to dźwięki organów, piękne akordy i to, co odczuwał, było tak silne, że roześmiał się aż do łez.

Prokurator zwrócił uwagę przysięgłym, że również i ten człowiek jest okaleczony i nie odpowiada za to, że się ciągle śmieje, i to samo będzie z wszystkimi innymi.

— Doktor Takamine, chciałem powiedzieć, oskarżony — zniszczył im wszystkim część mózgu, kierując się zasadą, którą sam prawdopodobnie odkrył, że im mniej mózgu i rozumu, tym lepszy humor. Wszyscy ci ludzie, te ludzkie ruiny, są, jeśli chcecie, zadowoleni i szczęśliwi, ale nie mają duszy.

— Protestuję przeciwko określeniu, że nie mają duszy — powiedział adwokat. — Wszyscy ci ludzie byli przed operacją chorzy. Cierpieli na melancholię i ciężką depresję. Teraz są zdrowi. Dusze ich, w każdym razie, nie są w większym stopniu okaleczone niż przedtem.

— Wcale nie wszyscy byli chorzy. Wiem to tylko o połowie. Pozostali byli zdrowi, a mimo to oskarżony wykończył ich również, ponieważ ich należycie nie zbadał, chociaż tłumaczył się tym, że biorąc pod uwagę ich smutny wygląd sądził, że chodzi o melancholię.

Było to rzeczywiście skomplikowane zadanie stwierdzić obiektywnie, jakie cechy umysłowe posiadali chorzy przed zabiegiem i co z tego pozostało po operacji. Ale przy pomocy żon, krewnych i znajomych ofiar sąd stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że jakkolwiek w większości wypadków przed operacją byli smutni, niektórzy nawet w stanie depresji, a po operacji szczęśliwi i zadowoleni, to jednak ich zdolności umysłowe łącznie z pamięcią zniknęły bez śladu.

Ostatnią część procesu wypełniły orzeczenia biegłych, zgodnie z żądaniem prokuratora, który obstawał przy swoim, że chodzi o morderstwo. Jako pierwszy zeznawał wybitny lekarz-filozof Simon Flexner. Prokuratorowi nie sprawił zbytniej satysfakcji, oświadczając, że funkcje umysłowe wszystkich ofiar są niewątpliwie naruszone, ale z biologicznego punktu widzenia niepodobna mówić o śmierci, ponieważ ciało żyje w sposób skoordynowany dalej, a to, co nazywamy przejawami duchowymi, daje się również zauważyć, mimo że brak większości tych przejawów. Przyznał, że ofiary zostały sprowadzone na poziom ssaków niższych aniżeli człowiek, ale tego, co najważniejsze, co charakterystyczne dla życia — mianowicie radości — im nie odebrano. Niepodobna omawianej zbrodni uważać za morderstwo, lecz z biologicznego punktu widzenia jedynie za ciężkie uszkodzenie ciała. Oczywiście wysoki sąd i panowie przysięgli niech zadecydują według swego zdania.

Drugi biegły, doktor Lyle, jako znawca funkcji mózgowych wygłosił donośnym głosem podobną opinię. Niepodobna mówić o zniszczeniu mózgu jako siedziby duszy, lecz najwyżej o zniszczeniu pewnej jego części, z tym że pozostałe funkcjonują zupełnie dobrze. Uszkodzeniu uległa jedynie pamięć. Nie idzie więc o śmierć organu, jakim jest mózg, lecz jedynie o jego częściową amputację. Ten stan ofiar jest rzeczywiście trwały.

Prokurator rozumiał, że popełnił jeden wielki błąd. Nie powinien był wzywać w charakterze biegłych lekarzy-racjonalistów, ale zaproponować raczej filozofów lub duchownych, z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że duchownego trudno byłoby w charakterze biegłego przeforsować, ponieważ dwunastu przysięgłych należało do pięciu różnych wyznań, jeden z nich był nawet członkiem trzech kościołów; był to kupiec, z pochodzenia Turek, który z całym spokojem przyznawał się do wyznania mahometańskiego, katolickiego i prezbiteriań-

skiego. Tłumaczył to tym, że jako kupiec musi w wierze iść za wiarą swoich klientów, a mahometaninem jest z szacunku dla swych zmarłych rodziców.

W ten sposób nawet przemówienia stron, które miały miejsce pod koniec drugiego dnia procesu, nie przyniosły żadnych niespodzianek, ponieważ było już całkowicie jasne, jak będzie brzmiał werdykt przysięgłych. Zwłaszcza adwokat miał łatwe zadanie, ponieważ mógł oprzeć się o orzeczenia biegłych i co za tym idzie, prokuratorowi nie udało się wywalczyć dla oskarżonego fotela elektrycznego. Na drugi dzień, gdy zapadł już ciepły, wrześnieowy wieczór, przysięgli udali się na naradę, która trwała kilka minut, po czym przewodniczący odczytał wyrok.

— Sąd uznaje doktora Takamine winnym porwania dwustu trzydziestu sześciu ludzi, ich trwałego okaleczenia i ograniczenia swobody osobistej i skazuje go na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia w więzieniu federalnym w miejscowości Sing Sing, obostrzonego z uwagi na wyjątkowe okrucieństwo zbrodni twardym łóżem raz na tydzień i postem raz na dwa tygodnie. Raz na kwartał spędzać będzie tydzień w pojedynczej celi. Czy skazany ma coś jeszcze do powiedzenia?

Takamine wstał. Była to ruina człowieka. Powiódł wygaśłym wzrokiem i zamiast podziękować przysięgłym za to, że uszedł z życiem, zamiast żywić w sercu nadzieję wszystkich więźniów na świecie, że owych dwadzieścia lat nie upłynie wprawdzie tak szybko, ale że może będzie mógł skorzystać z prawa łaski — wygłosił tę oto dziwną prośbę:

— Nie czuję się winnym. Pomogłem wszystkim chorym. Dałem im szczęście. Przyjdzie dzień, kiedy szczęście rozdawać się będzie wyłącznie w ten sposób. Ale mam jedną prośbę, o ile sąd będzie mógł ją spełnić. Teraz, kiedy życie moje zostało zdruzgotane, straciłem odwagę i radość. Uległem ciężkiej depresji. Proszę o pozwolenie, ażeby mój asystent dokonał na mnie tej samej operacji, jaką ja wykonywałem na świadkach. Myślę, że jest to możliwe, chociażby jako kara. Zrobicie ze mną dokładnie to samo, co ja robiłem z innymi, i ocalicie mi życie, ponieważ życie melancholika nie jest życiem, ale udręką. Proszę, ażeby panowie przysięgli wypowiedzieli się na temat mojej prośby i aby się do niej łaskawie przychyliłi.

W audytorium powstał szum. Pierwszy zabrał głos prokurator:

— Protestuję! Jeśli skazanemu zapewniono by w sztuczny sposób dobry humor, kara minęłaby się z celem. W takim razie więzienie byłoby dla niego nie karą, a przyjemnością, a taka rzecz nie była intencją ustawodawcy wymierzającego kary za zbrodnię.

— Sąd wymierzył już wyrok, a moja rola jest skończona — oświadczył Brandeis. — Niemniej jednak słowa pana prokuratora wprawiają mnie w zdumienie. Przed chwilą żądał kary śmierci dla skazanego, twierdząc równocześnie, że pacjentom swoim skazany zadał śmierć przez zabicie duszy. A teraz, kiedy tego rodzaju śmierci żąda dla siebie, pan prokurator się sprzeciwia. Proszę pana prokuratora o wyjaśnienie i popieram prośbę skazanego, która moim zdaniem nie pozostaje w sprzeczności z wyrokiem. Chodzi o leczenie chorego więźnia, leczenie, które skazany, sam jako były lekarz, proponuje.

— Sąd musi się w tej sprawie naradzić — oświadczył przewodniczący i sędziowie przysięgli ponownie udali się na naradę. Trwała ona kilka godzin, na koniec musiano zawezwać jeszcze biegłych lekarzy i mimo to nie mogli się pogodzić. Z jednej strony wymierzona kara rzeczywiście nie byłaby żadną karą, gdyby skazanemu zapewniono na stałe dobry humor, z drugiej strony, o ile cierpi na depresję, a lekarz więzienny stwierdził, że cierpi, ma prawo do leczenia, i to leczenia, na które się godzi. Jak z tego wybrać? Przysięgli zdecydowali wreszcie po salomońsku, czyli zgodnie z zasadą, żeby wilk był syty i owca cała. Na dworze była już ciemna noc — jak to zwykle bywa o tej porze roku o godzinie dziewiątej wieczorem — gdy przysięgli wrócili na salę rozpraw, a przewodniczący oświadczył:

— Prośba skazanego zostaje odrzucona z dwóch powodów: Po pierwsze, o ile cierpi na melancholię, zostanie poddany leczeniu, ale wyłącznie metodami do tej pory w medycynie praktykowanymi. Nadżeranie mózgu trypsyną, które skazany kiedyś na zjeździe lekarskim

zaproponował i sam w zbrodniczy sposób praktykował, nie jest przyjętą metodą w medycynie, sąd nie może więc wyrazić na nią zgody, ponieważ w ten sposób stwarzałby precedens decydowania o metodach leczniczych, co nie leży w kompetencji tego sądu. Po drugie, gdyby sąd zgodził się na operację, niewątpliwie miałyby to wpływ na wyrok. Kara byłaby łagodniejsza aniżeli zamierzenia ustawodawcy, ponieważ zapewnienie skazanemu w sztuczny sposób dobrego nastroju byłoby równoznaczne ze złagodzeniem wyroku. W przeciwnym wypadku — gdybyśmy pominęli ów dobry nastrój i nie uważali go za złagodzenie wyroku — cierpienie, jakim jest operacja pod narkozą, byłoby zaostreniem wyroku, którego sąd nie przewidywał i na które wobec tego nie może się zgodzić. Ewentualny zarzut, że cierpienie podczas operacji zostałyby skompensowane późniejszym dobrym nastrojem, nie może być brany pod uwagę, ponieważ nie jest rzeczą przysięgłych decydowanie o tym, czy skazany w wyniku owe-go niezwykłego zabiegu zyskał czy też stracił, lecz rzeczą sądu jest trwać przy wymierzonej karze. Wreszcie sąd uważa, że funkcja jego skończyła się z chwilą ogłoszenia wyroku, a swoją prośbę może skazany przedłożyć dyrekcji więzienia, której jednakże zakomunikowane zostaną powody odrzucenia prośby skazanego. Dyrekcja więzienia zostanie również dokładnie pouczona, że obowiązkiem jej jest staranne przestrzeganie wykonywania wyroku w dosłownym tego słowa znaczeniu i wyrok ten nie może być przez dyrekcję więzienia, mającej jedynie władzę wykonawczą, ani złagodzony ani zaostroszony.

„Cwaniaki” — pomyślał sobie Salak.

ROZDZIAŁ OSTATNI

Wielki parowiec Manhattan odbijał właśnie od brzegu. Było południe, październikowe słońce wznosiło się nad miastem otaczającym port. Fale pluskały o burty, z daleka błyszczała w promieniach słońca statua Wolności i drapacze chmur, na pokładzie orkiestra grała marsza. Chustki powiewały ocierając na przemian łzy zarówno podróżnych, jak i tych, którzy pozostali na molo.

Na pokładzie drugiej klasy zwanej turystyczną, stał Salak i machał ręką. Cieszył się, że wraca do domu, że zobaczy swoich starych rodziców i przyjaciół, a równocześnie żał mu było opuszczać tych, z którymi tu się zaprzyjaźnił i którzy przyszli go pożegnać. Na molu stał bowiem zadyszany Brzeciczka, obok niego panna Freeze i wielu przyjaciół z International House. Stał tam również Theiler i gruby Brown i wszyscy żegnali tego człowieka, który nie mógł zrozumieć, dlaczego tak go tu polubili.

Czuł równocześnie rozpierającą go radość: słońce przygrzewało, chłonał przyjemne dźwięki marsza, cieszył się z czekającej go podróży, z powrotu do domu, a również z tego, że jeszcze tu kiedyś powróci. Był tak szczęśliwy, jak gdyby mózg jego został poddany działaniu trypsyny, naturalnie bez naruszenia świadomości. A przede wszystkim głównym powodem radości Salaka był fakt, że depresja jego zniknęła bezpowrotnie.

*

W tym samym czasie w celi więzienia Sing Sing siedział w zupełnym osamotnieniu Takamine. Był przygnębiony i czuł wstręt do wszystkiego. Obrzydł mu promień słońca przenikający przez kraty i kreślący na podłodze świetlistą szachownicę, zbrzydło mu jedzenie, zbrzydło mu myślenie i o ile myślał, to jedynie o tym, jakie życie jest bezużyteczne i marne. Wszystko miało dla niego nieprzyjemny smak, każda myśl była wstrętna, nie mógł skoncen-

trować się na niczym, co by mu sprawiło ulgę. Starał się wyzwolić z tego stanu, ale bezskutecznie. Zawezwał najpierw za zgodą dyrektora więzienia lekarza, ale ten usiłował wyperswadować mu jego depresję, dokładnie w ten sam sposób, jaki znał z podręczników, a wtedy poczuł się jeszcze gorzej, ponieważ zrozumiał, że to do niczego nie prowadzi. Siedział nie ruszając się z miejsca całymi godzinami. Twarz miał żółtą i wychudł, ponieważ jadł niewiele, oczy jego stały się jeszcze bardziej skośne, zdradzające ponad wszelką wątpliwość jego japońskie pochodzenie. Nie miał jednak owego azjatyckiego spokoju, krew jego białych przodków wносиła mu do mózgu europejski niepokój i smutek.

— Panie Takamine, ma pan gościa — zameldował strażnik. Nie był już doktorem, odebrali mu dyplom, był tylko mr Takamine.

— Kto to taki? — spytał apatycznie Takamine.

— Kapłan japoński.

— Niech wejdzie.

Do celi wszedł stary, zgarbiony człowiek z rzadkim zarostem na brodzie, w cywilnym ubraniu, z małą walizką w rękę. Dozorca zamknął drzwi i taktownie odszedł od okienka na korytarz, ponieważ Takamine został już skazany i nie trzeba było kontrolować, o czym z kim mówi. Walizka gościa została na portierni zrewidowana, było w niej obrzędowe japońskie kimono, nic poza tym.

— Jestem kapłanem — przedstawił się więźniowi ów człowiek. — Znałem twojego dziadka. Nie możesz mnie pamiętać, synu, ponieważ wtedy nie było cię jeszcze na świecie.

— Dlaczego pan tu przyszedł? — spytał zdziwiony Takamine.

— Znajdujesz się w ciężkim położeniu, a w żyłach twoich płynie część naszej krwi, posiadasz również i część naszej umysłowości. Dlatego tu przyszedłem.

— Nie narzekam na nic — powiedział Takamine. — Więzienie mi nie szkodzi. Dręczy mnie moja choroba.

— Jakaż to choroba?

— Cierpię na melancholię, życie zupełnie mi obrzydło.

— Synu wschodzącego słońca, dzieje się tak dlatego, iż sądzisz, że przegrałeś życie! Jesteś przywiązany do życia i żałujesz, żeś go przegrał. Nie masz już naszej odwagi.

— Na co by mi się przydała?

— Osiągnąłbyś spokój.

— Dlaczego pan tu przyszedł?

— Był to mój obowiązek. Ten, kto bodaj trochę ma naszej krwi, nie jest sam.

— Dziękuję.

Takamine wydawało się, że sływa nań jakiś szczególny czar. Burza w jego myślach zaczęła się uspokajać. Nie był szczęśliwy, ale już nie cierpiał. Ogarniał go przedziwny spokój. Czuł się tak, jak gdyby po długiej podróży wrócił do domu, do domu, w którym może się wypaść, mimo że już w nim nikogo nie zastał. Wstręt do życia zaczął ustępować, ale chęć do życia nie powróciła. Powolne i spokojne słowa kapłana zdawały się go usypiać.

— Czy bardzo cierpisz? — spytał starzec.

— W tej chwili już nie.

— Mężczyzna nie cierpi. Nasi przodkowie nigdy nie cierpieli, ponieważ nie bali się śmierci.

— Ja również się jej nie boję. Czasem mam wrażenie, że powinienem ją przywołać.

— Tak, to najlepsze, co może zrobić człowiek, który przegrał bitwę o życie.

— Przywołać śmierć?

— Taki jest nasz zwyczaj. Spokój jest lepszy aniżeli cierpienie.

— Co mam więc zrobić?

— Przyniosłem ci coś.

Starzec wyjął z kieszeni zwitek papieru, podał go Takamine i podczas gdy ten powoli i

obojętnie rozwijał papier, kapłan otworzył walizeczkę i narzucił na siebie kimono. Potem usiadł w rogu na ziemi i patrzył na Takamine. Było widoczne, że jest mu zupełnie obojętne, czy strażnik zajrzy w tej chwili przez okienko. Rzeczywiście strażnik raz zajrzał, ale ujrawszy obrzędowe szaty i starca siedzącego w kącie, a w drugim kącie więźnia, odszedł i już więcej się nimi nie interesował.

Takamine rozwijał powoli papier, a gdy go rozwinął, w rękę jego ukazał się ostry jak brzytwa nóż, z cienkiej stalowej blachy, z rękojeścią wykładaną masą perłową i opalami.

Żrenice mu się rozszerzyły i ostatni dreszcz strachu zmroził mu krew w żyłach niczym ostatnie pozdrowienie jego zamierającej natury białego człowieka. Kapłan to zauważył i rzekł:

— Tak, to jest spokój. Lepszy niż wieczna udręka po przegranym życiu. Czym jest nasz doczesny żywot, jeśli nie czekaniem na śmierć? Nadejdzie tak czy owak, prędzej czy później, a ten, kto się jej nie obawia, przywoła ją zaraz.

W głowie Takamine błysnęło jeszcze ostatnie pytanie zrodzone z resztek amerykańskiego sposobu myślenia.

— Dlaczego ty nie skończyłeś w ten sposób?

— Nie przegrałem życia. Nie zostałem poniżony. Nie dręczą mnie własne myśli. Jeśli się tak stanie, nie będę się wahał ani chwili. Również i ty nie musisz wybierać spokoju, możesz dręczyć się dalej. Masz w sobie przecież i część innej krwi.

Słowa te pobudziły Takamine do czynu. Trzęsącą się ręką zaczął rozpinąć odzież. Patrząc na twarz kapłana, poczuł, że bierze w nim górę azjatycka połowa jego natury i zdawało mu się, że śmierć jest niczym. W tym momencie nie obawiał się nawet bólu.

Dopiero gdy obnażył brzuch, zaczął się zastanawiać, czy się zdecydować, czy nie. Gwałtownie zmieniające się doznania wywołały w nim jak gdyby uczucie torsji i chcąc owym wstrętnym uczuciom zapobiec, przyłożył nóż do lewej, dolnej części brzucha. Nie naciskał zbyt mocno, ale ostrze przenikło skórę, wywołując palący ból. Ból ten doprowadził go do wściekłości, więc wbił ostrze aż po rękojeść i pewną dłońią ciął na prawo.

Przez ziejącą ranę wybiegła pętla jelita cienkiego. Robiła wrażenie nie własnych jego wnętrzności, ale obcego stworzenia, rzucającego się na jego skórę i znowu chowającego się do środka. Oczy zaszyły mu krwawą mgłą, poczuł zdrętwienie we wszystkich członkach, wstręt do życia wzmógł się jeszcze bardziej, więc ciął ponownie, a nawet obserwował z ciekawością, jak skóra rozwiera się pod ostrzem. Krew poczęła bluzgać na podłogę, a Takamine poczuł ból jeszcze gwałtowniejszy, ale równocześnie jak gdyby radość życia i chęć ocalenia. Depresja zniknęła jak u każdego samobójcy, ale było już za późno. Czuł, że ciśnienie krwi słabnie i że traci przytomność. Chciał gwałtownie wołać o pomoc, ryczeć nawet, ale rozległo się tylko słabe charczenie. W kącie siedział w kucki kapłan i patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

Takamine leżał na boku. Gdy pierś jego przestała się poruszać, kapłan wstał, położył martwe ciało na wznak, przykrył kałużę krwi i jelita kimonem i zapukał na strażnika.

— Śpi — powiedział — to nasz religijny rytuał. — Potem odszedł spokojnie.

W pół godziny później strażnik znowu zajrzał do celi, a widząc, że Takamine jeszcze leży na ziemi, usiłował go zbudzić i namówić do położenia się na łóżku. Gdy uchylił kimona, ujrzał co się stało.

Wszczął alarm, w ciągu 20 sekund przybył lekarz i stwierdził śmierć w wyniku klasycznego harakiri.

*

W pięć lat po opisanych wypadkach opublikowana została seria prac naukowych o tym, że melancholię da się z powodzeniem leczyć drogą operacji, przy której przednie płaty

mózgowe zostają oddzielone ostrożnie od reszty mózgu. Ponieważ do mózgu nie wprowadza się cieczy, funkcjonowanie jego pozostaje nienaruszone, a pamięć i świadomość utrzymane są prawie w całości. Ale stwierdzenie to nie pomoże ani dwustu trzydziestu pięciu ofiarom doktora Takamine, ani jemu samemu, ponieważ dostąpił już prawdziwie azjatyckiego spokoju. Śpi snem wiecznym na cmentarzu więziennym w Sing Sing. W ten sposób wypełniło się życzenie prokuratora Gassera, ponieważ Takamine został ukarany śmiercią, być może za to, że mordował dusze robotników, aby zyskać tanią i zadowoloną siłę roboczą.